

KORNEL

MAKUSZYŃSKI

NASZA KSIĘGARNIA

Panna z mokrą głową



Kornel Makuszyński

Panna z Mokłą Głową

Rozdział pierwszy

Życie słynnych ludzi opisuje się zwykle od chwili ich narodzin; jest tedy sprawą słuszną, by żywot „Panny z mokłą głową”, którą należy zaliczyć do najwybitniejszych postaci naszego wieku, rozpocząć od owego dnia, kiedy ujrzała ona światło słoneczne. Był to dzień szary, bardzo zwyczajny i niczym nie wyróżniający się od pospólstwa dni, chociaż powinien zaliczyć w kalendarzu, wybuchnąć jak wulkan i zakrwawić wielką łuną chmurne i przepaściste niebo historii. Tak się bowiem często działo w bardzo dawnych czasach, że kiedy na świat przychodził ktoś taki, co miał zaważyć na jego losach - jakiś potężny król, wspaniały geniusz czy też potwór, co miał rozlać morze krwi - dziwne w naturze działy się rzeczy: ziemia trzęsła się jakby w wielkiej trwodze, padały góry, jakby chciały czołem uderzyć o struchlałe padoły, morze występowało z brzegów, lwy ryczały na pustyni, wybuchały pożary, a wszystkimi ludźmi wstrząsał tajemniczy dreszcz. Nic podobnego - ku powszechnemu zdumieniu - nie stało się owej chwili, kiedy „Panna z mokłą głową” zjawiała się na świecie. Być może, że natura dlatego nie objawiła swojej oszalałej radości czy też groźnej trwogi, że w pobliżu miejsca narodzin owego stworzenia nie było ani wulkanu, który by zapłonął, ani oceanu, który by wznosił fale pod niebo, ani lwa, który by zaryczał. W pobliżu były jedynie konie i krowy, które nie kiwnęłyby ogonem, nawet gdyby się w ich obecności narodził chiński cesarz, i była jedna, jedyna, bardzo z natury smutna koza, tak obojętna wobec wielkich zdarzeń, że pod tym względem mógł ją prześcignąć jedynie taki arcybałwan, jakim z dziada i pradziada zwykł być - baran.

Jedynym szczególnym zdarzeniem w owym dniu było pojawienie się dwóch wron, które przysiadły na dachu, pokryły dom cały czarnym krakaniem. Nie można było jednak temu zdarzeniu przypisać historycznego znaczenia, nie zwrócono też na nie większej uwagi. Rozważywszy to wszystko, przyznać należy ze smutkiem, że „Pannie z mokłą głową” stała się krzywda już w pierwszym dniu jej istnienia, bo jak się to później okaże, godna była małego trzęsienia ziemi. Nic nie zapowiedziało narodzin istoty wyjątkowej. Więcej na świecie czyni się hałasu, kiedy się narodzi ciele o dwóch głowach, mało zaś kto rozprawiał o tym, że się narodziła dziewczyna, której bujne dzieje postanowiliśmy opisać. Nie zdumiała ludzi tym nawet, czym zasłynął tuż po urodzeniu jeden z francuskich królów, który się narodził z czterema zębami, jak gdyby pragnął od razu zapowiedzieć Paryżowi, że będzie jadał więcej niż najmniej dziesięciu jego poddanych, a zapowiedź sumiennie spełnił.

O ludziach błękitnie i beztrosko szczęśliwych mówi się, że urodzili się w czepku. Nadaremnie usiłowałem dowiedzieć się, czy to nie zdarzyło się naszej dziewczynce. Ludzie, którzy pamiętają chwilę jej narodzin, zgodnie przeczą temu, jakoby widzieli czepkę na jej małej głowie. Słyszano jedynie przenikliwy wrzask, pełen rozczarowania i gniewu. „Panna z mokłą głową” wyznała później, nauczony się boskiej sztuki mowy, że kiedy ujrzała światło słońca, usłyszała słowo, które ją

przejęło zgrozą, zdumieniem i gniewem: oznajmiono światu, że narodziła się dziewczynka. Było to tak przeraźliwe dla niej nieszczęście, taka dla jej bujnej i rozwichrzanej duszy niespodzianka, że postanowiła raczej umrzeć od razu niż być dziewczynką. Ponieważ nikt z obecnych ani nie rozumiał, ani nie mógł pojąć głębi jej rozpacz, że nie urodziła się chłopcem, gwałtownie utrzymano ją przy życiu. Nie mając tedy innego sposobu, ogłosiła protest przeciwko fatalności i przemocy przeraźliwym krzykiem, do którego dołączyła po niewielu dniach wierzganie nogami. Nieustanny, a żadnym rozumnym argumentem nie uzasadniony wrzask dał jej piastunce sposobność do wygłoszenia zwięzłego prorocstwa, które ujęte w formę uroczystą brzmiało tak: „Nie daj, Boże, ale pyskata to będzie panienka”. Ponieważ piastunki myślą się rzadko kiedy, przyszłość młodej istoty zapowiadała się w wysokiej tonacji, groźnej dla wieczornej ciszy świata i dla spokoju spracowanych nocy.

Młoda osoba uciszała się czasem. Mądrą uprawiając politykę doszła do przekonania, że nie warto krzyczeć wtedy przede wszystkim, kiedy nikt nie słyszy, bo po co nadaremnie zdierać sobie płuca? Tym potężniejsze wydawała z siebie wrzaski, rozsądnie wypoczęta, kiedy zbliżano się do niej. Zauważyła równocześnie, że nie należy drzeć się nieustannie, gdyż nieprzerwana, ciągła awantura traci na sile, staje się nudna i można do niej przyzwyczaić się. Nową przeto wymyśliła metodę i chytrze wszystkich zwiódłszy, czekała cierpliwie i w wielkiej ciszy takiej chwili, kiedy jej nagły, niespodziewany wrzask musiał sprawić wrażenie i zrywał wszystkich na nogi. Była to diabelska przemyślność dziewczyny obrażonej na cały świat, że nie narodziła się chłopcem. W objawach tej niechęci tkwiła widoczna przesada, bo nawet chłopak, mocnymi obdarzony płucami i ciosem najbardziej przeraźliwym, nie mógłby tego dokazać, co dla niej było drobnostką.

Aby ukoić to wrzące źródło najbardziej rozkrzyczanych namiętności, usiłowano je zasypać prośbami i groźbami. Przemawiano do wrzaskliwego berbecia płci żeńskiej słowami pełnymi słodyczy, miodu i konfitur. Czarne oczki patrzyły przedziwnie roztropnie, tak że się wszystkim zdawało, iż z osobą, patrzącą tak rozumnie, można pogadać „na rozum”. Przeważające to było złudzenie. Osoba wysłuchiwała pochlebstw, słodkich słówek, rozkosznych przyrzeczeń i obietnic, a kiedy ostatnie słowo spadło na nią jak ciężka i złota kropla miodu, rozpoczynała nowy koncert na znak, że wolnej duszy, która chce wrzeszczeć, nie można przekupić cukierkowym gadaniem. Wtedy usiłowano wolną duszę pognać strachem i przywalić brzemieniem groźby. Wywoływano niewinne, białe w sercu i czarne na gębie widmo kominiarza, z najodleglejszych krajów zwoływano czarownice, zbójców i niedźwiedzie. Na rozkrzyczanej paniencie nie czyniła ta piekielna menażeria najmniejszego wrażenia, z tego przede wszystkim powodu, że zgoła nie znała ani osobiście, ani z widzenia wszystkich tych strachów, i nowym krzykiem prosiła uprzejmie pochylone nad nią zgromadzenie, aby jej nie zwracano głowy historiami, których nie rozumie i nie ma zamiaru zajmowania się nimi aż do czasu dojścia do jakiegoś takiego rozsądku, co wedle jej obliczeń powinno nastąpić dopiero za lat siedem.

Zrozumiano wreszcie, że ta dziewczyna nie jest zwyczajnym dzieckiem, lecz opinia ta podzielona była na dwa bardzo rozmaite głosy. Jeden obóz, złożony z matki i ciotek, oświadczył, że jest to dziecko wyjątkowe, niepospolicie mądre, dowcipne i odrobinę przekorne. Obóz drugi: niańka, służąca i obcy, którzy widzieli i słyszeli to niemowlę starające się zagłuszyć lokomotywę - dając świadectwo ponurej prawdzie - mówili po cichu, że jest to niemowlę pomyłone, czarnooki diabeł, zbrodniczy berbec, przedziwnie mądry, co swoim zachowaniem wstyd przynosi słodkiej płci niewieściej. Ten drugi obóz, któremu nie można było nie przyznać wiele słuszności i rozsądku w rozumowaniu, wiele nadziei pokładał w akcie chrztu świętego i w tajemniczej mocy wody.

Oczekiwano tedy niecierpliwie owego dnia, w którym zwariowaną już w kołysce panienkę miano wprowadzić w szeregi spokojnych i ciszę miłujących chrześcijan. Stało się to po pokonaniu najdziwniejszych przeszkód, niemowlę bowiem usiłowało na wszystkie sposoby trwać w pogaństwie, tym zapewne zatrwożone, że po chrzcie świętym będzie musiało przerwać swoje niecne praktyki, słuchać starszych i przestać budzić wśród nocy dobrych ludzi. Trzeba było użyć połączonej przemocy, aby to dziewczynisko, wierzgające wszystkimi kończynami na wszystkie strony świata, obezwładnić i owinąć w poduszki jak w kaftan bezpieczeństwa. Widząc wreszcie czarnymi jak główki szpilek oczyma, że przeciwko zrzeszonej przemocy niczego nie zdoła, przestała wierzgać przeciw ościeniowi. Piastunka, która już umiała czytać w owych mądrych oczach, byłaby przysięgła, że wyczytała zaczajoną w nich groźbę: „Dobrze, dobrze! Prawdziwe przedstawienie odbędzie się w kościele!”

Z wielkim tedy strachem niosła ją do wiejskiego kościółka, dokoła którego rosły potężne lipy pachnące miodem, a niepoliczone mnóstwo pszczoł mruczało sennie swoje żółte, pracowite modlitwy. W kościele tym jak w drewnianej chacie mieszkał siwy Pan Bóg jak sędziwy bartnik, zbierając miody dla najbiedniejszych ludzi na czas wielkiego głodu. Ksiądz proboszcz, dobry i wierny Jego służka - z wyglądu taki staruszek, jakby jednych lat był z Panem Bogiem - przechadzał się pod lipami i burczał na pszczołę, co usiadła na rękawie jego sutanny:

- Po co tu siedzisz i czas tracisz? Na takiej jak ja pokrzywie miodu nie znajdziesz.

Wobec tego pszczoła usiłowała usiąść na jego ustach, na których wiele było słodczy, ale ją spędził ręką, gdyż orszak z pobliskiego dworu wchodził właśnie na kościelną ziemię, niosąc diablika, aby go zmienić w anioła. Ksiądz proboszcz wiedział już coś niecoś o niezwykłych, bojowych zdolnościach tego niemowlęcia, albowiem zła jego sława, wędrując opłotkami, doszła i do jego ciszy. Przybrany do uroczystości, spojrzął na nie ciekawie i uśmiechnął się do czarnych oczów dziewczynki swoimi oczyma, tak niemal siwymi jak jego włosy. Wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Dziewczynka, która miała serdeczny zamiar urządzenia piekielnej awantury w domu bożym i niebywałego skandalu podczas podniosłej uroczystości, spojrzała ciekawie w twarz tego olbrzymiego, uśmiechniętego staruszka i - uśmiechnęła się również. Było to wyraźnie powiedziane: „Podoba mi się twoja twarz, więc będzie spokój. Co się odwlecze, to nie uciecze!”

Chrzest odbył się w podniosłym nastroju; w pewnej chwili słońce, zajrzawszy przez okno i dostrzegłszy okruszynę właśnie Bogu ofiarowaną, ucałowało ją w czoło złotym, gorącym pocałunkiem. Nie należy jednak ukrywać, że równocześnie w owej chwili dokonane zostało jedno z najgłośniejszych kłamstw w historii ludzkości; najbardziej bowiem rozwrzeszczanemu niemowlęciu nią kuli ziemskiej nadano imię Ireny, a nikomu do głowy nie przyszło, że „Irena” znaczy „pokój”.

Od stworzenia świata nigdy i nikt nie widział bardziej niespokojnego pokoju. Gdyby istniało imię Wiercipięta, byłoby ono jeszcze za dostojne i zbyt poważne dla tej Ireny, której święta patronka w dniu tym usiadła na wełnistej chmurze i skarżyła się gwiazdom, że jej opiece poświęcono niemowlę, więcej z siebie wydające hałasu niż gromada oszalałych srok przed deszczem.

Irenkę odniesiono do domu z największymi ostrożnościami, aby nie budzić licha, które albo naprawdę śpi, albo tylko udaje, że śpi. Widać jednak, że razem z promieniem słońca spadła na nią łaska boska i ukoїła niedowarzony jej rozum. Brak piątej klepki, o który z wielkim

prawdopodobieństwem pomawiano to dziecko, nie był już tak bardzo widoczny. Piastunka patrzyła na nie nieufnie, z mętną i płochliwą radością, niosąc je ukwieconą drożyną wśród pola do wielkiego, białego domu. Był to dom wspaniały, a tak stary, że jak człowiek wiekiem potężnym zgarbiony na kijach się wspiera, tak on wsparł się na sześciu kolumnach, aby się nie pochylić ku ziemi, która jest grobem ludzi i domów. W tej chwili otworzył szeroko drzwi na przyjęcie radosnego orszaku, a oczami okien patrzył ciekawie, jak ostrożnie niosą nowego małego człowieka, co przez całe swoje życie ma tutaj mieszkać i kochać go tak, jak go liczne przedtem kochały pokolenia. Dusza starego domu, piastunka odwieczna, zgarbiona i siwa, wzruszona była i pełna szczęścia. Za chwilę usłyszy, jakie w innym domu, należącym do Pana Boga, nadano imię tej okruszynie. Dom musi wiedzieć wszystko o wszystkich. Uradował się, kiedy narodziło się to maleństwo, i z wyrozumiałym mądrym spokojem słuchał jego płaczu i wrzasków, teraz zaś nadstawia uszów, aby usłyszeć, jak na nie ma wołać. (Uszy domu są to dwa otwory w dachu, pomiędzy kominami, którędy koty wyłażą ze strychu na dach).

Uroczystość przyjęcia Irenki do gminy chrześcijańskiej obchodzona była z wielkim przepychem. Piastunka pomyślała sobie, że radość powszechna jest zbyt mała, niezmiernej bowiem dokazano sztuki, skoro ta dziewczyna tak łatwo i bez potężnych protestów wyrzekła się diabła. Należało to zawdzięczać przede wszystkim temu, że ksiądz proboszcz, człowiek niemal święty, tak niezmierne ma w sobie moce. Kto inny może nie dałby był rady tak szybko i skutecznie. Ona zna dobrze to dziecko i wie, co wie.

Na razie Irenka leżała spokojnie i cicho, jak gdyby chcąc dać poznać, że nie myśli mącić uroczystości, podczas której ona jest osobą główną. Gdyby to szło o kogo innego, wtedy nie odbyłoby się wszystko tak spokojnie i zgodnie, chociażby dlatego tylko, że w wielkim zielonym salonie zebrało się wielu krewnych i sąsiadów; nie ma zaś nic przyjemniejszego na świecie, jak rozpocząć opętany wrzask wtedy właśnie, kiedy tylu zebrało się słuchaczy. W takich wypadkach każdy koncert ma zwyczajne powodzenie, ludzie spoglądają niespokojnie, podnosząc oczy ku niebu, błagają je o litość, a uszy zatykają rękami. Być może, że obecność tego słodkiego, starego człowieka, który podczas chrztu uśmiechał się do niej, powstrzymała Irenkę przed zbrodniczym występem. Słyszała jego głos i postanowiła nie obrażać nikogo z obecnych. Wyznała znacznie później, że ją to wiele kosztowało trudu i że dała dowód wielkiego poświęcenia. Nie mogła jednak nawet wtedy powstrzymać się od straszliwej myśli. Kiedy ją pokazano raz jeszcze w pełnej chwale wielu zebranych, otworzyła czarne oczy i przenikliwie spojrzała na całe zgromadzenie, stojące pod wielkim i ciężkim świecznikiem, co jak olbrzymi pajak zwisał z pułapu. Pomyślała wtedy, że byłaby to awantura pierwszorzędną i godną tego uroczystego dnia, gdyby ten świecznik nagle zerwał się i wpadł z hukiem pomiędzy uśmiechniętych i cmokających nad nią z zachwyty zebranych gości.

Widać z tego, że wprawdzie dziewczynka wyrzekła się diabła, ale diabeł nie tracił nadziei i krążył w pobliżu.

Rozdział drugi

Biały dom, na sześciu wsparty kolumnach, panował dawniej nad tak szerokim kręgiem ziem, że krańca ich nie można było dojrzeć z największego nawet komina. Skowronek Szaragrudka, na tych ziemiach śpiewający, musiał wzlecieć bardzo, bardzo wysoko, aby je ogarnąć bystrym spojrzeniem. Tak się z czasem zaczęły te ziemie kurczyć, bo z nich obcy ludzie całe zabierali połacie, że można je było zmierzyć oczyma: najpierw z okien pierwszego piętra, potem już z okien tych komnat, do których zaglądały wysoko urodzone kwiaty. Wreszcie, kiedy Irenka zjawiła się w białym domu na sześciu wspartym kolumnach, dom ten otoczony był małym tylko skrawkiem ziemi: wyglądał jak świetny grobowiec, co włada już tylko trawnikiem i kilkoma ścieżynami. Jeszcze spozierał dumnie i wyniośle, lecz serce domu toczyła zgryzota i czasem, kiedy nikt tego nie widział, w posępne noce jesienne grube łzy spływały po jego szklanych oczach. Wyglądał jak olbrzym, któremu odebrano jego moc, dumny i biedny był jak ów król Jan, który zwał się „bez Ziemi”. Niwy dokoła domu zjadał czas, co wszystko pożera, i czarny, zachłanny smok, którego podjudziła wojna, aby pożarł las, jeden i drugi, potem słodkie łąki, aby wypił stawy, a groble rozdarł pazurami. Ojciec Irenki piersią własną zasłaniał te umiłowane ziemie i o każdą ich piędź walczył z uporem, lecz jak rybak wątlą piersią nie zdoła powstrzymać naporu morza, tak i on nie mógł ziemi swojej zasłonić przed tą falą kąśliwą i żarłoczną, co wciąż gruda po grudzie zbierała ziemię i niosła między obcych ludzi. Z przerażeniem w struchlałym sercu czekał owej chwili, kiedy będzie musiał pozbyć się ostatnich zagonów, a wtedy fala daleka przypełźnie aż do drzwi białego domu i będzie go szturmować jak skałę wśród morza, na której kilkoro ludzi mieszkało jak mewy. Podczas bezsennych nocy nasłuchiwał, jak pluszcze i niecierpliwie wirem bulgocze - daleko jeszcze - lecz się już oznajmia, lecz nieuchronnie się zbliża. Obliczał, dodawał i mnożył; walczył o tę swoją ziemię i ostatkiem sił utrzymał jakby niezbyt rozległą wyspę z białym domem pośrodku.

Irenka nie знаła jeszcze tych zmartwień, bo nigdy czarnymi swymi oczyma nie widziała zmartwienia. Zmieniły się te oczy z czarnych główek od szpilek na dwa węgielki, w których czasem błyskały świetlne, złociste iskierki. Pomimo takiej piekielnej, smolnej czarności cały świat odbijał się w nich błękitnie i jasno. Wszystko na świecie było uśmiechnięte i kwitło uśmiechem. Drzewa pokryte nim były jak kwiatami, wody śmiały się najśliczniej; każda trawka śmiała się i każde stworzenie; wiewiórka nosiła swój uśmiech na końcu wesołej kity ogona, pies gryzł swoją uśmiechniętą radość w białych, lśniących zębach, ptaki były pełne radości rozspiewanej, prócz kury, która radość swoją objawiała krzykliwie jak stara przekupka, co ma na sprzedaż jedno mizerne jajko. Irenka śmiała się do wszystkich, a wszyscy do niej. Najdziwaczniej śmiał się dom: stary był i nieruchomy, więc nie mógł, oczywiście, fikać kozłów, lecz objawiał swoją radość trzaskiem podłóg, brzękiem szyb i stukaniem drzwi. Śmiał się i cieszył jak staruszek ksiądz proboszcz, któremu też trzaskały palce, kiedy z wielkiej radości zacierał ręce. Mądre, czarne oczy Irenki szybko spostrzegły, że na świecie nie ma rzeczy martwych; są czasem nieruchome, lecz zawsze żywe. Wszystko żyje, a ponieważ żyje, więc albo cieszy się, albo smuci. Kamień jest smutno zadumany, bo nie może ruszyć się z miejsca. Zawodowo smutna jest wielka brama na zardzewiałych zawiasach, bo jej ciągle wyłamują stawy i nigdy nie zamkną jej dobrotliwym ruchem, lecz z silnym, nagłym trzaskiem. Żuraw przy studni mógłby być wesoły, gdyby mu dano odpocząć, jakże jednak nie ma skrzypieć albo czasem jęknąć boleśnie, skoro sto razy dziennie zanurzają nieszczęsny jego dziób w zimnej wodzie? Niewiele poza tym istot okazuje smutek, więcej, stokroć więcej jest takich, które radują się życiem. Czynią to jedne mądrze i roztropnie, inne bez opamiętania. Są też takie boże stworzenia, które radość z życia okazują w sposób zgoła wariacki i do niczego niepodobny; do nich przede wszystkim należy ciełę, którego formy radości wszelkie dozwolone przekraczają granice i budzą niesmak nawet w ośle wożącym beczkę z

wodą, objawiającym swoją radość w sposób wzniosły i rozumny: rykiem niespodziewanym i pełnym serdecznej rozpaczy.

Najdziwaczniej objawiał swoją radość zaprzysięgły i najwierniejszy przyjaciel Irenki: pies nazwany Drab. Nigdy więcej prawdy nie było w psim imieniu. Gdyby psy sądzono wedle ludzkiej sprawiedliwości, pies ten powinien być skazany co najmniej dziesięć razy na śmierć przez powieszenie. Najłagodniejszy sędzia podpisałby taki wyrok szybko i bez drgnienia ręki, nie było bowiem na sto mil dokoła większego złodziejaszka, urwipołcia, rzezimieszka, włóczykija, łgarza, kurokrada i fanfaron. Kiedy w okolicy ukradziono konia, było rzeczą oczywistą, że pies nie mógł ukraść potężnej kobyły, mimo woli jednak patrzono podejrzliwie najpierw na Draba. Był to kundel z nieprawdziwego zdarzenia. Nie wiedzano, skąd się wziął. Znaleziony pod płotem, wychudzony jak szkielet i więcej umarły niż żywy, zdołał pocziwym spojrzeniem tak ocyganić Irenkę, że został oddany pod jej opiekę. Był to pierwszy dzień jego grzesznego żywota. Mądry był nad podziw i nieskończenie brzydki. Minę miał zawsze uśmiechniętą, po kilku zaś dniach Wiedział wszystko, a sto razy więcej niż psy miejscowe, z dawna tu osiadłe. Poznał wszystkich na wylot, wybornie rozumiał, kogo należy unikać, a przed kim merdać ogonem. Najdokładniej zaś wiedział, gdzie, co i kiedy można ukraść tak zręcznie, że nigdy go nie schwytano na gorącym uczynku. Stare kury płakały rzewnymi łzami i strasliwymi głosami skarżyły się przed całym światem, bo najszlachetniejsze z nich, najbardziej tkliwe i przystojne ginęły bez śladu. Kiedy zaś szukano ich z wielkim rwetesem i narzekaniem. Drab wzdychał ciężko i dawał do poznania, że serce w nim pęka z wielkiego żalu, bo nie może bez wzruszenia słuchać o mordowaniu niewinnych skrzydlatych stworzeń. Groza padła na zające, które wytrzeszczały ślepią podczas miesięcznych nocy, nie wiedząc, skąd wychynie nagle i bez szelestu kudłate, obłudnie uśmiechnięte widmo tego piekielnego psa. Umiał on nie tylko śmiać się całą gębą, umiał też i płakać, i stroić śmiertelnie smutne miny. Świat nie widział tak przemyślnego oszusta, kradnącego w jasny dzień spod ręki i pomagającego w chwilę potem szukać złodzieja. Ten arcyrzezimieszek umiał otwierać drzwi, wskakiwać do kuchni przez otwarte okno i wiedział dokładnie, kiedy klucznica pójdzie na plotki do kucharza. W porze dojrzewania owoców stawał się jaroszem, przestawał kraść kury, a kradł za to z krzaków maliny i porzeczki. Kiedy był najbardziej obżarty, udawał głodnego i wypraszał żebraczą miną jakiś ochłap, który porzucał na śmietniku. Mianował się sam psim władca całej okolicy i jak gdyby miał sto oczów, wszystko widział i o wszystkim wiedział. Kiedy jego łajdactwa stały się zbyt głośne, przepadał na czas niejaki i wracał po kilku dniach niezwykle wesoły, wierząc w krótką pamięć i dobre serce pocziwych ludzi. Szczytem jego perfidii było skierowanie podejrzeń w stronę pocziwego biedaczyny, starego psa na uwięzi: zakatrupiwszy mizerne kurczę, zaniósł je i podrzucił pod buda starowiny, który, swoim kaprawym i załzawionym nie wierząc oczom, począł zajadać nieszczęsnego kurczaka. Wtedy Drab narobił piekielnego hałasu i zwołał całą ludzka czeredę, aby wszyscy jasno ujrzeli, kto jest złoczyńca i kto morduje kury. Przez cały dzień uchodził za uczciwego psa największy wisielec, jakiego znają nowożytnie dzieje.

Nie uznawał żadnego pana prócz Irenki. Na pochwałę tego obwiesia powiedzieć należy, że dla niej byłby poszedł naprawdę na śmierć. Była to jego królowa i jego bóstwo. Dla niej byłby wymordował wszystkie kury świata i najmniej połowę zajęcy, sam zaś chętnie umarłby z głodu. Śmiał się na jej widok oczami, zębami i ogonem, wydawał z siebie niepojęte głosy radości i aż płakał czasem z zachwyty. Jej wolno było wszystko, na jej rozkaz ciskał się jak kula w głąbię stawu, chociaż woda gardził ponad wszelkie pojazdy, wlaził za nią na rosochate drzewo i nie odstępował jej jak kudłaty

cień. Razem tworzyli groźną parę zabijaków, oboje włóczyli się po lesie i wertepach. Pies rozumiał każde jej słowo: wył na jej rozkaz i na jej rozkaz milczał. Wiedział, że go to bóstwo zawsze ochroni, skoro wpadnie w takie tarapaty, że sam wyłgać się nie zdoła. Przed nią nie łągał nigdy i wyszczeniwał swoją smutną prawdę jak skruszony morderca. Rozżalonym spojrzeniem obiecywał poprawę, zwalając ponure grzechy na swoją psią naturę i na brak uczciwego wychowania. Karę z jej rąk przyjmował z pokornym poddaniem, tym tylko zdumiony, skąd to drobne ludzkie stworzenie mogło dowiedzieć się o tym, o czym nie wiedział ani kucharz, ani klucznica.

Irenka wiedziała o wszystkim równie dobrze jak sam Drab. Była na wszystkich strychach i na dnie studni, znała wszystkie zakamarki i schowki, wiedziała o każdej truskawce w ogrodzie i o najmniejszym słoiku konfitur w spiżarni. Czarnymi oczkami wypatrzyła najmniejszą szczelinę, wiedziała, gdzie się lęgną myszy i gdzie w stajni mają nory króliki. Znała każde gniazdo os i wszystkie gniazda ptasie. Można było mniemać, że rozumie mowę zwierząt i ptaków i że słyszy, jak trawa rośnie. Rozpacz z tego powodu, że urodziła się dziewczynką, osładzała sobie szataństwami, będącymi wedle naturalnego porządku rzeczy udziałem chłopców bez piątej klepki, bez której wycieka woda z głowy wraz z odrobiną rozsądku, danego znarowionym pędrakom przez łaskawość nieba. Diabeł, odpędzony od tej dziewczyny za sprawą święconej wody, teraz wcielony w jej oszalałego psa, towarzyszył jej zawsze i wszędzie. W płonących, czarnych oczach Irenki przyciała się swawola najlepszego gatunku, wybrana z wybranych. Były to nieustannie uśmiechnięte oczy drapichrusta, który nie tylko łązi po drzewach jak zawodowe małpiątko, nie tylko wschodzi ustawicznie tam, gdzie go nikt nie posiał, i wszędzie wetknie swoje trzy grosze, lecz także nad tym rozmyślała, jak to sprawić, aby cały dom stanął na głowie. Ta rogata dziewczynka, śliczna jak anioł, mądra jak filozof, ale taki, któremu coś w mądrej pomieszało się głowie, wesola jak szczygieł o poranku, gotowa była na każde szaleństwo, łącznie z połamaniem rąk i nóg, aż do skręcenia karku. Więcej bowiem, mimo najszczerzych chęci, ani połamać, ani skręcić już nie było można. Człowiek nie jest stonogą i ma, licho wie czemu, ograniczoną liczbę kruchych członków. Gdyby istniał urzędowy wykaz oszalałych przygód tej dziewczyny z okresu jej lat cielenych, kiedy dźwigała na sobie straszliwe brzemie lat sześciu, musiałby być spisany na wołowej skórze, a w każdej przygodzie brakowało jej trzech ćwierci do śmierci.

Obok tysiąca zdarzeń tak zwyczajnych jak sińce, zadrapania, krew z nosa, przebicie gwoździem bosej i na czekoladę opalanej nogi - grubymi literami pisane pyszniłyby się takie przygody, jak: dwadzieścia siedem przypadków zlatywania z drzewa; czterokrotna, nieudana próba utonięcia na głębokiej wodzie; trzykrotne wywrócenie się wozu z sianem, na którego szczyt siedziała Irenka i jej pies; cudowne jej ocalenie, kiedy mogła ugotować się w kotle, czemu przeszkodzono w ostatniej chwili przez schwycenie jej za nogi; niedoszła śmierć od kuli, kiedy chcąc uczcić imieniny matki, dwukrotnie wystrzeliła z dubeltówki i nakryła się nogami z niezwykłego wrażenia; trzydziestokrotne zlatywanie z grzbietu konia, wysokiego jak słoń; awantura ze zwariowaną krową, która powzięła niespodziewany, wesoly zamiar chwycenia jej na rogi; wielka wojna z gniazdem os, które wyprowadzone przez nią z równowagi, postanowiły zjeść ją na surowo; wreszcie głośna na całą okolicę awantura, kiedy usiłowała na grzbiecie starej, statecznej kobyły wjechać po drabinie na dach stodoły co się skończyło nagłym obłąkaniem poczciwego zwierzęcia, złamaniem drabiny i dwóch panięskich żeber. Należy nadmienić, że strata pożytecznej drabiny była nierównie większa niż mizerna szkoda nadwężenia dwóch żeber. Ludzie w ogóle byli zdziwieni, że osoba zwana Irenką nie rozleciała się dotąd na drobne ułamki przy jej zwariowanym trybie życia, któremu nie

dałoby rady dziesięciu zrzeszonych urwipołciów płci męskiej. Zdawało się czasem, że Irenkę przyniosą do domu w osobnych pakunkach, osobno głowę, osobno ręce i nogi, a ktoś litościwy będzie niósł na dłoni, jak ziarnka młodej kukurydzy, jej nieliczne jeszcze zęby. Straszliwa ta kobieta postanowiła bowiem zwiedzić ziemię i niebo, przekonać się naocznie, co się dzieje na dnie rzeki i stawu i co się odbywa na szczycie najwyższych drzew. Pieniła się w niej żądza przygód jak rozrobione mydło w balii. Nie bała się niczego i nikogo. Kiedy cały dom, zasłoniwszy oczy ciężkimi powiekami okiennic, spał sprawiedliwie, małe półdiablę, cicho gwizdnąwszy na swego piekielnego towarzysza i współnika zbrodni. Draba, wyłaziło z nim przez okno, aby zapolować na starego puchacza, który na szczycie stajni popłakiwał rozdzierającym głosem. Wtedy nagle, wśród nocnej ciszy, rozpoczął się diabelski rwetes: Irenka wykrzykiwała groźnie, Drab odchodził od zmysłów, a mądry puchacz, nie kiwnąwszy im nawet ogonem, odlatywał miękko, puszyście na kościelną wieżę. Nazajutrz odbywał się sąd, na który pies przezornie nigdy nie stawał, bo przeczuwając awanturę zmykał przed srogim okiem sprawiedliwości, na Irenkę zaś sypały się klęski, groźby i narzekania. Stojąc potem długo w kącie miała wiele czasu, aby wymyślić wyborną wyprawę do lisiej nory, nieustraszoną i przemyślną.

Wśród takich zajęć, wymagających natężenia umysłu i hartu serca, zaledwie zauważyła, że narodził się jej braciszek, którego zwano krótko Janem. Dowiedziawszy się o tym, zdziwiła się powszechnej radości: wzruszyła ramionami, kiedy dostrzegła bezradne maleństwo, ssące gorliwie własny palec, pomyślała bowiem, że dużo wody upłynie, zanim takie chuchro wylezie na szczyt drzewa albo kamieniem będzie trafiało w szczura. Tym skwapliwiej wzięła się do roboty, westchnąwszy ciężko, gdyż musiała pracować za dwoje. Miała przed sobą dokładne zbadanie tej części strychu, do której dostęp był trudny i dokąd nie dotarł jeszcze żaden z uczonych geografów, badających nieznane ziemie. Przez dwa lata obmyślała drogę przez komin wiodącą przez wielki kominek w salonie aż na dach. Historia tej wyprawy została przerwana w połowie, kiedy ją na poły uduszoną wydobyto z czeluści komina i prano długo w gorącej wodzie. Jej nieodłączny pies został wytrzepany z sadzy na sucho, przez czas długi jednakże żywo przypominał kosmatego diabła zajętego przy fabrykacji smoły.

Był to okres wielkich w jej życiu burz i niepowodzeń. Wszyscy wielcy ludzie, potężni zdobywcy i nieustraszeni podróżnicy, mają takie chwile, kiedy ich ratuje cud i łaska boska. Ją wyratował wtedy słodką wymową ksiądz proboszcz, siwy gołąb, który miał niepojętą słabość do tego jastrzębiego pisklęcia. Dobry ten człowiek dawno już zapomniał o tym, że to kochane przez niego dziewczysko, wpuszczone nieopatrznie do jego ubożuchnej spiżarni, aby sobie wzięło z półki odrobinę piernika, pozostawiło w spokoju żółty ze zgryzoty piernik, spustoszyło natomiast kilka słoików z konfiturami, w czym jej niepospolicie musiał pomagać jej hańbą okryty pies. Niemożliwą bowiem było rzeczą, aby człowiek, mający osiem lat, mógł zjeść tyle konfitur, że na jeden rok żywota jeden przypadał słoik. Według takiego rachunku człowiek siedemdziesięcioletni byłby smokiem, co potrafi pożreć siedemdziesiąt słoików. Święty ksiądz i o tym zapomniał, że jego ukochana Irenka, dobrawszy sobie kompanię basatyków, pasących gęsi i krowy, wprawiła w jedno ciche, senne popołudnie wszystkie kościelne dzwony w ruch tak gwałtowny, że ludzie przerażeni przybiegli z pól, głośno wołając boskiego zmiłowania, a z pobliskiego miasteczka przypędziła na złamanie beczki straż pożarna, wioząc dwa wiadra wody.

Ksiądz kochał tę dziewczynkę całym sercem, jak zawsze wielka mądrość kocha niewinną słodycz. Czarne Cyganiątko siadało nieraz obok świętego męża i słuchało z rozgorzałymi oczyma, w których

zapalały się płomyki, jak opowiadał o ziemi, którą kochał, i o niebie, do którego tęsknił. Mówił jej o pszczołach i o ptakach, i o tym, że najmniejsza trawka cierpi i że gwiazdy śpiewają złotymi głosami, aby się spracowanej ziemi słodko spało. Opowiadał jej o Panu Bogu tak ślicznie, że oczarowana dziewczynka patrzyła na zapyłone słońcem pola i łąki, szukając oczami tego Pana Boga, co chodzi po miedzach, kiście kłosów bierze w drżące dłonie i bada, czy w nich jest dość ziarna, aby głód nie przyszedł na ludzi, potem jednym skinieniem odgania chmury jak ciężkie, brunatne krowy, co leżą nierozumnie w szkodę, albo czasem krzyknie na pioruny, jak na złe psy, aby poszły sobie precz i biednej wiosce nie czyniły krzywdy. O zwierzętach mówił przedziwnie pięknie i wzruszająco, że są bardzo czasem nieszczęśliwe i że należy być dla nich dobrym i miłosiernym. Już tego samego dnia, kiedy zapadł rosisty zmierzch, Irenka dała dowód, że święty ksiądz nie gadał do niej jak do obrazu: przekonana, że spętane konie zostały pokrzywdzone, zwołała tajną radę wyrostków i potęgą wymowy to sprawiła, że rozpętano konie, gwałtem i namową wpędzano je na zagony młodych zbóż, aby sobie biedactwa podjadły. Gruba się z tego uczyniła awantura, kiedy Irenka z wielką prawdą w piskliwym głosie oznajmiła przed trybunałem domowym, że dokonała zbrodniczej wyprawy, bo „ksiądz proboszcz tak nauczał”. Wszystkim sędziom ręce opadły, a oskarżyciel publiczny, ekonom, uderzał głową o twardy róg stodoły, przekonany, że zmysły postradał i że nastąpił koniec świata, kiedy ksiądz proboszcz każe liczną czeredę koni pędzić na młoda pszenicę. Staruszek jednak nigdy nie gniewał się na tego małego herszta, co najdziwniejsze wymyślał zbrodnie. Czasem srogo do niej zagadał i niby mocno burczał, kiedy wszyscy słuchali, uprosiwszy go, aby swoją siwą powagą przywiódł do Opamiętania zwariowaną dziewczynę. Ona słuchała niezmiernie skruszona, ale, kiedy nikt nie widział, mrugała znacząco w jego stronę, dając mu do poznania, że rozumie jego przykre położenie. Biedny staruszek urywał w połowie słowa, jękał się, bladł i czerwieniał, wreszcie nie dokończywszy wzniosłej nauki, porywał kapelusz i parasol i uciekał, aby nie być współnikiem jakiejś wyrafinowanej awantury.

Nazajutrz czekał niecierpliwie na dziewczynę i pytał zatroskany:

- Bardzo było gorąco?

- Troszeczkę - odpowiadała Irenka - Sześć klapsów.

- Sześć? - zdumiał się ksiądz, drapiąc się za uchem. - Należało ci się dwanaście, ale, prawdę powiedziawszy, sześć to było za wiele.

Wobec tego szybko dreptał po pachnący miód, aby nim osłodzić boleść swojej dziewczynki, na której cała kopa klapsów byłaby przyschła jak na młodym psiaku, a sześć najmizerniejszego na niej nie czyniło wrażenia.

Nad tym tylko staruszek pilnie czuwał, aby mu kiedy nie podpaliła przypadkiem białej jego plebanii, ukwieconej i pachnącej rumiankiem. Na razie nie leżało to w jej zamiarach, więc żyli sobie w rozkosznej zgodzie, bardzo w sobie rozkochani. Kiedy ten uprzykrzony pędrak zaczął rósć szybko jak malwa pod oknami i doszedł dość już zażywnej liczby lat dziewięciu, awantury działały się niepoliczony i coraz bardziej zdumiewające. Przepłynąć rzekę w najgłębszym miejscu, siedząc jak małpa na grzbiecie przerażonej szkapy - było dla Irenki drobnostką. Podczas powodzi potrafiła, siadłszy okrakiem na belce, dotrzeć do płynącej po mętnych rozlewiskach chałupy i wyratować z niej zapomnianego psa. Odprawiała sądy wśród wiejskich niedorostków, kiedy zaś nie można było

zagnatwanej sprawy rozwikłać rozumem, staczała bój i winowajcą, który długo potem nosił jej pieczęć i podpis w kształcie sińca pod okiem. Wtedy to ksiądz proboszcz miał do niej długą mowę i usiłował wydobyć ze swoich siwych oczów dwa pioruny; już jej zagroził pogardą świata i gniewem bożym i już sięgał po piorun, kiedy Irenka rzekła:

- Albo się mylę, albo rój pszczoł siadł na jabłoni! Ksiądz opuszczał wzniesioną do karcenia rękę, piorun padał na trawę i bzykał w niej nieszkodliwie. Staruszek wolał zdyszany:

- Gdzie, gdzie??

Irenka bardzo długo i pilnie patrzyła w stronę drzew.

- Zdawało mi się: to nie pszczoły - mówiła z wielkim żalem.

Staruszek na próżno starał się odnaleźć w sobie furię i pioruny. Machnął ręką i mruczał:

- Ciebie to nawet w piekle nie przyjmą!

- Tak? Za to, że się pomyliłam, to mi ksiądz proboszcz piekłem grozi? Mój Boże! Mój Boże!

Wsadzała piąstki w oczy i, uśmiechnięta, patrzyła przez palce, jak zacne, przedobre księżysko czerwienił się jak piwonia i, objąwszy straszliwie pokrzywdzoną, mówił szybko:

- Wcale tego nie powiedziałem!..., A jeśli powiedziałem, to w gniewie, boś mi pszczołami zawróciła w głowie... Nie płacz, na Boga, bo mi się serce kraje! Przestań, dziecino...

Dziecina dawała się wreszcie ukoić i rzucali się sobie w objęcia, bo jedno bez drugiego żyć nie mogło, młody diabeł ze starym aniołem.

Ksiądz ją nazwał „Panną z mokrą głową”. Sprawiedliwe to nazwanie było odmianą popularnego określenia człowieka, który postradał piątą klepkę i wskutek tego najdziwsze wyprawia swawole. O takim mówi się wesoło, że to „wariat z mokrą głową”. Wsadza łeb do wody bez najmniejszej potrzeby. Ponieważ Irenka była wspaniałym okazem tego gatunku, co łeb wsadziłyby nie tylko do wody, lecz między pokrzywy, w mąkę albo w smołę, przydomek nie był dla niej zbyt krzywdzący. Przyjęła go z uznaniem, jak medal za waleczność, słusznie rozumując, że lepiej mieć mokrą głowę niż żadnej. Nazwanie pochodziło zresztą z najśodszych ust i serca pełnego miłości, więc zgodziła się na nie z radością i odtąd sława jej pod tą zaczęła się szerzyć firmą. Na dziesięć mil wokoło wiedziano o „Pannie z mokrą głową”, co była śliczna, do Cyganiątka podobna, co nikomu - chyba sobie - nie uczyniła krzywdy i co odjęłaby sobie od ust ostatnią kruszynę chleba, aby nią nakarmić człowieka lub zwierzę. O tym, że posiadała maniery rozbrykanego cielaka, wiedziano również; jednym było to obojętne, innych to gorszyło, ona zaś, ponieważ mało ją to obchodziło, co mówią o niej „za granicą”, nie zwracała na to uwagi. Większe miała zmartwienia. Z wysokiej gruszy zleciał, jak dojrzała gruszka, pękaty Wojtek, jej adiutant, a koń kopnął kowala, swego żelaznego dobrodzieja. Brata jej, Janka, bolał brzuch, więc w domu był rwetes i bolejąca awantura. Poza tym pan leśniczy głośno oświadczył, że przy pierwszym spotkaniu w lesie zastrzeli Draba, największą hańbę psiego rodu. Z tych wszystkich zmartwień najdotkliwsze było to, że lato przymykało już oczy i stawało się senne:

zmęczone było ogromnym urodzajem i spieczone na słońcu, więc, nie czekając końca dnia, owijało się o zmierzchu we mgły i, oddychając ciężko, kładło się na spoczynek na posłaniu z pachnącego cudownie siana. Ze schyłkiem lata kończyła się wolność, ta obłądna i śliczna, łażąca po drzewach jak wiewiórka i jak srebrna ryba w srebrnej pluskająca się wodzie. Zbliżała się za to smętna niewola, chmurna jak jesień i niosąca pod pachą niezliczoną ilość książek, a wśród nich najstraszliwszą, przemądrą, nielitościwą i nie znającą pomyłki: arytmetykę. Wszystko zwiastowało zbliżanie się uczonej pory i, widać, przed nią chciały uciec mądre bociany, i przed nią wesołe uciekną jaskółki. Twarde jest życie. „Trzeba się uczyć”, przeminęło lato.

Irenka, płosząc nierozumne żaby, które skakały w wodę na łeb, na szyję, patrzyła jak słońce siało się powietrzem przez przetak nieba jakby złota mąka. Wałęsała się przez ścierniska, które orano. Pomyślała wtedy, że rzeka powinna wezbrać od ludzkiego potu, który spływa po twarzach i grzbietach ludzi, co w spiecenie słonecznej żęli niedawno zboże, a teraz orzą w trudzie.

W powietrzu latała srebrna przędza, z której w niebie robią sukienki dla Matki Boskiej. Jaskółki pokrzykiwały niespokojnie jak panny przed daleką podróżą. Dziki gołąb frunął jak strzała, nieufny i szybki. Leniwy wiatr pędził łaciaste chmury na zachód, jak senny pastuch pędzi krowy. Już pachniał zmierzch paloną macierzanką i gorzkim dymem rozpalonego gdzieś na ściernisku ogniska. Było słodko i wonnie. Szczęśliwy dzień szedł wolnym, miękkim krokiem na spoczynek, a ziemia patrzyła w słońce jak w zegar, czekając tej godziny, w której będzie jej wolno przemyć oczy rosą i usnąć z uśmiechem. Okna białego domu, wspartego na sześciu kolumnach, wyłocili się i przenikliwym szkliły blaskiem, a niedaleko, wśród lip, żegnał się ze słońcem drewniany kościół i domek księdza, mrugający wesołymi oczkami małych szybek, które pannom malwom służyły za zwierciadła.

Irenka dojrzała białą głowę księdza. Wszedł z domku pomiędzy ule i, wędrując drożyną, czytał brewiarz. Czasem przystanął i siwiutką głowę podnosił jak człowiek, co patrzy na lot ptaków. Dziewczyna pomyślała, że te święte słowa, które wymawia, lecą jak ptaki w górę, a on, prostaczek boży, patrzy, czy nie zmyliły drogi i czy prosto kierują lot w niebo.

Podeszła bliżej i patrzyła przez badyle umierających malin, mając w roześmianych oczach wilgotne jakieś rozrzewnienie. Śliczny był ten srebrny staruszek, gadający sobie z Panem Bogiem dobrotliwie i mądrze. Chciała krzyknąć wesoło, ale nie śmiała, bo ksiądz patrzył wciąż jeszcze w brewiarz; czasem odpędzał ręką pszczoły wracające z daleka, czasem przystawał i trzęsącą się ręką dotykał serca. Znowu iść zaczął, lecz jakoś niepewnie i jakby błędnie. Brewiarz wypadł mu z ręki. Irenka przesadziła płot jak sarna i w jednej chwili była przy nim. Właśnie się słaniał i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała silnymi rękami.

Drogi mój, złoty! Co księdzu proboszczowi?

On spojrzał na nią jakby bardzo zdziwiony niespodziewanym zjawieniem, i z trudem uśmiechnął się.

- Irenka! - szepnął ze słodyczą.

Usta miał bardzo blade i drżące.

Dziewczyna obejrzała się w stronę domku i zaczęła wołać.

- Daj spokój - szepnął ksiądz - nie ma nikogo.

Nie mógł iść, a ona nie miała dość sił, aby udźwignąć potężną jego postać. Pomogła mu ułożyć się na cieplej trawie i głowę jego oparła o zielony ul, w którym drżało cicho rozszemrane, złote życie. Serce się w niej tłukło, kiedy pobiegła po wodę i kiedy poila go, jak dziecko bezbronne i jakby bardzo chore.

Przez lipy sączył się zmierzch, jak różana woda, i coraz bardziej gasły dalekie głosy z pól i łąk. Tylko spóźnione pszczoły brzęczały cichutko, lecz niespokojnie, i zaczęły krążyć nad jego głową. Czasem któraś, ciężka jak kropla miodu, padała w trawę, jakby chcąc być przy tym, który im królował. A on ciężko dyszał, coraz bledszy i bledszy, taki bez krwi, jak ten gasnący dzień.

Wielka, lodowata trwoga wionęła na serce tej dziewczyny, która nigdy nie знаła trwogi. Objąwszy ramieniem ukochaną, starą głowę mówiła cichutko jak matka do dziecka:

- Czy księdzu lepiej? Co mam robić? O, mój złocisty! Przecież ksiądz nie umrze.

- Zdaje mi się, dziecinko, że umrę - mówił on z trudem.

- Matko Boska!

- Nie odchódź ode mnie... Zanim ktoś przyjdzie, już mnie nie będzie... Zbyt długo żyłem i zabierałem zbyt długo miejsce na bożej ziemi... Miło jest umierać pod lipami... Co to tak szumi?

- To pszczoły...

- Dobre i poczciwe pszczoły. Czy ja ci nie ciężę, Irenko?

Dziewczyna nie odpowiadała, bo nie mogła schwytać oddechu. Oczy jej napełniły się łzami, które ciężko zaczęły padać na jego twarz, białą jak ściana domku.

- Rosa pada... Fiorate coeli... Czy to już noc?

- Nie jeszcze...

- Ach, to moja lampa zagasła... Czy mnie słyszysz?

- Słyszę...

Serdeczny płacz wstrząsnął nią nagle jak burza młodym drzewkiem.

- Bardzo cię kochałem... Bądź zawsze dobra, dziecinko...

Wariat jesteś, ale serce złote. Zostań już taka! Czasem cię zburczałem... ale chyba mi przebaczysz...

- O, Jezus Maria... - łkała dziewczynka.

On odpoczął, ciężko dysząc. Potem mówił cichutko:

- Módlmy się!

Zaczął szeptać jakieś urywane słowa, a ona, załzawionym spojrzeniem objawwszy jego świętą głowę, zaczęła się też modlić bez ładu i składu:

- Matko Boska, nie daj mu umrzeć! Panie Boże, jeśli chcesz, abym była jaka taka, nie daj mu umrzeć! Lepiej niech ja umrę, bo jestem wariat, ale nie on, ale nie on. Co to za urządzenie, abym ja żyła, a ten najlepszy człowiek umierał? Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... O, już się uśmiecha!... Bądź wola twoja, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Uśmiecha się, uśmiecha! Księżę proboszczu!

Już jej nie odpowiedział, choć ze słodkim uśmiechem patrzył na nią. Przytuliła do piersi jego głowę, zdumiona i niewiedząca. Już nie było w niej lęku. Czuła, że się stało niezmierne nieszczęście i że pewnie umarł, bo jej nie odpowiada. Serce w niej dygotało, bardzo rozżalone i pełne płaczu. Oparła znowu jego biedną głowę o szumiący ul, podniosła się, pomyślała o czymś i błędnym krokiem poszła ku dzwonnicy. Ujęła sznur największego dzwonu i, wszystkich z siebie dobywając sił, poczęła dzwonić.

Serce dzwonu było takie ciężkie i rozplakane jak jej serce.

Rozdział trzeci

Kiedy umarł zacny ksiądz, Irenka czuła się tak, jak spartański wojownik, co postradał tarczę i nie ma czym zasłonić się przed chmura barbarzyńskich pocisków. Wyteżyła przeto baczna czujność, jak drapieżca, co uszy nastawia pod wiatr, gotowa do zapamiętałej walki o swoją wolność, o której myślała, że ją można już było snadnie sprzedać na publicznym przetargu. Biały dom, na sześciu wsparty kolumnach, począł buntować się jak małe państwo przeciw tyranowi, który spędzał sen z jego powiek. Najpierw nieśmiało, potem coraz wyraźniejsze słyhać było głosy, jak podziemne pomruki, że „dziewczyna z kretezem zwariowała” - że „cygańskie dzieci lepiej są wychowane” - że „między tą dziewczyną a diabłem nie ma zbyt wielkiej różnicy” i że „kto nie słyha starszych, ten posłyha psiej skóry”. Poetycka ta metafora oznacza bardzo złożony środek na poskromienie małej wietrznicy: bierze się psa, oczywiście pozbawionego przedtem żywota, ściąga się z niego skórę, kraje się ją w cienkie paski jak makaron, wiąże się je w jeden pęk, przytwierdza do rzeczy tak niewinnie niewinnej jak sarnia nóżka i tym aparatem łoii się skórę, w której, jak w skórzanym worku, mieszka duch przekory. W białym domu niewielu było zwolenników tej metody, łączącej w sobie psa i sarnę, wiedziano bowiem powszechnie, że gdyby ją zastosowano wobec Irenki, Irenka albo rzuciłaby się z dachu, albo skoczyłaby do wody, ale nie przeżyłaby hańby. Wiedziała ona zresztą wybornie, że w tej groźbie jest więcej łoskotu słów niż poważnych zamiarów. Pomimo jej szaleństw kochano ją gorąco, bo diabełka tego musiało się kochać. Prawda, że rządziła domem, lecz rządziła sprawiedliwie. Nie skłamała nigdy i jeśli trzeba było dobrze komuś uczynić, byłaby bez namysłu skoczyła w ogień. Dlatego ludek, przy białym domu żyjący, uwielbiał ją. Stary woźnica opowiadał z

rozzewnieniem, że czarna panienska zawsze pomaga mu chwytac konie i ze wlasza po pas w bagienko na polnej drodze, aby uporządkowac splatana uprzaz: biedna kobiecina, wsród najgorętszych i najbardziej skutecznych błogosławieństw, opowiadała, jak ta cudowna panienska wyratowala jej berbecia, który z wysokiego nasypu wpadł do rzeki jak kamien: kucharce nikt tak nie wytłumaczył zawiłych snów jak to najmędrsze dziecko, a kiedy snila się jej szafa, w której zamiast kozucha wisiał żywy baran i czytał książkę, jedna Irenka umiała wyjasnic, ze syn kucharki przyjdzie na swięta ze szkół, co się nieomylnie stalo i o czym wszyscy z góry wiedzieli, a jednak nikt na to nie wpadł; dziesięcioro ludzi opowiadalo o tej dziewczynie, bo kazdemu uczynila cos dobrego. A Żyd, mleko kupujacy, nic juz nie mowil, tylko cmokal, z wielkiego zachwytu przymknawszy oczy.

Wszystkie te historie nie czynily jednakze zbyt wielkiego wzrazenia w bialym domu. Tam ządano, aby panienska dobrze wychowana wchodzila do domu przez drzwi, nie przez okno, nie wjezdziala konno po schodach, a co najwazniejsze, aby gosciom nie mowila prawdy w oczy, jak to uczynila z pania Targowa, która miała prawie siedemdziesiąt lat i malowala sobie brwi i rzęsy, bo chciala szosty raz wyjść za maza. Do jej pokoju przyszla Irenka i zamalowala zwierciadlo wapnem.

- Po co to czynisz? - zapytala ja matka,

Aby się ta pani nie przestraszyla, kiedy niespodzianie spojrzy w lustro! - rzekla Irenka uprzejmie,

Skutki tej uprzejmosci skonczyly się dla niej boleśnie, Ojciec Irenki, pan Borowski, smial się ze wszystkich jej awantur. Był to dobry czlowiek i tak zapracowany, ze patrzył w tę dziewczynę jak w promyczek słońca, co do smutnego zablakal się domu. Najwieksza sterta zboza na jego polu byla jeszcze mniejsza od tej sterty trosk, która go przywalila. Irenka patrzyła czasem z wielka zaduma na ślicznym swoim czole, jak on chodzil błędnie, sam do siebie gadal i taka czasem miał minę, jakby mu się plakac chcialo. Gładzil ja po czarnej glowie, ale myslal o czym innym i patrzył gdzieś w dal, na droge. Ta droga przejezdzal często powazny pan i wtedy pan Borowski był najsmutniejszy, bo ten pan dlugo siadywal w kancelarii, potem szedł między stajnie i stodoły, ogladal konie i krowy, i wciąż pisal i pisal.

- Nie podoba mi się ten gosć! - rzekla Irenka sama do siebie. Poszla potem do pana Borowskiego i mowi:

- Tatusiu, czy chcialbyś, aby ten pan nigdy juz tu nie przyjechal?

- Dalby Bóg! - rzekł pan Borowski.

- To się da zrobic! - mruwnęla na niego Irenka.

- Jakzeż to mozna zrobic?

- Jest kilka sposobów. Jeśli tylko nie bedzie o to awantury, to następnym razem ten pan wleci do potoku, bo mostek bedzie rozebrany, a tam jest dosć wysoko. Mogłabym też szepnac słowko Drabowi, który bedzie czekal na drodze przy lesie, a jakby juz tu dojechal, to mogę mu wsadzić do kieszeni szczura, a do jego teki ze trzy...

- Ani się waży! - zawołał groźnie ojciec. - Przyjeżdża, bo musi.

- To wielka szkoda, że nie można - zasmuciła się Irenka. - Za wiele robi się ceremonii na świecie.

Matka Irenki pochodziła ze wspaniałej rodziny, co krzywo patrzyła na jej małżeństwo z panem Borowskim, bo był dla nich zbyt małą i zbyt nieznaczną figurą. Nikt z tej rodziny nie bywał w białym domu. Było to i lepiej, gdyby się bowiem ta wspaniała rodzina pogodziła nawet z panem Borowskim, straszne działyby się rzeczy, gdyby dostojne, senatorskie ciotki i karmazynowe babki ujrzały Irenkę i jej psa. Dostojne ciotki i dostojniejsze jeszcze babki uciekałyby, jak gdyby ujrzały zarazę, i zrozpaczonymi, popękanymi głosami wołałyby rozszalonego gniewu nieba. Najbardziej atłasową panią, która przysięgła, że nigdy nie przebaczy hrabiance, że wyszła za mizeraka i byle szlachetkę, była jej ciotka, pani Zofia Opolska, strasznie bogata i siedząca na złocie jak kwoka na jajach. Irenka słyszała o niej często i przychodziły jej do głowy tysiąc dwa sposoby, których należało użyć, aby tę poślacaną, mityczną postać nauczyć szacunku dla biedaków. Na wszelki wypadek zakarbowwała ją sobie w pamięci i szepnęła Drabowi, że gdyby kiedy spotkał panią Opolską, ma „wolną rękę” w działaniu. Drab mrugnął, że będzie pamiętał.

Pani Borowska zdrowie miała wątłe, a nieustanne zmartwienia głęboko kochanego męża sprawiły, że patrzyła smutno i uśmiechała się rzadko. Była to kwietna w jej życiu niedziela, kiedy mogła zaśmiać się głośno. Irenka uwielbiała tę cichą, smutną matkę, której oczy gasły, chociaż były jeszcze młode. Łzy mogą zgasić oczy najbardziej płonące. Irenka byłaby bez wahania wsadziła obie ręce w ogień, gdyby to mogło działać, aby pani Borowska nie płakała.

Matka brała czasem czarną, murzyńską główkę Irenki w swoje ręce i tuliła ją z całej siły do piersi. Wtedy w Irence działy się najdziwniejsze rzeczy: harde jej serce topiło się jak воск przy ogniu, a oczy napęły się gorącymi łzami. Było jej wtedy niewypowiedzianie dobrze. Z obłąkanej radości włąziła potem na najwyższe drzewo, aby cały świat widział, jak bardzo jest szczęśliwa. Matka wzywała ją czasem do opamiętania, a czyniła to głosem tak słodkim i ciepłym, że dzika wolność Irenki zaczynała mruczeć pieszczotliwie jak kot. Najmniej przez dwa dni potem „Panna z mokrą głową” okazywała maniery świetniejsze niż infantka hiszpańska. Zawsze jednak tak zdarzało się, że trzeciego dnia trzeba było gołymi rękami łowić raki albo polować po dachach na kota, który dybał na gołębie. Trudno równocześnie łowić uszczypliwe raki i być hiszpańską infantką, co kiedy powie słowo, to się kłania, a kiedy wyjąka wreszcie całe zdanie, kłania się siedem razy. Zwariować można z takim ceremoniałem, podczas kiedy brodzenie po błocie jest sprawą zajmującą i zaostrażającą wrodzoną bystrość. Matka wiedziała, że Irenka jest to serce wśród złotych najbardziej złote, a Irenka wiedziała, że napuszona hrabina nie przyjedzie, więc nie warto krępować potężnego wołania wolnej duszy. Panowała wśród nich miłość najtkliwsza i wielka, wielka przyjaźń.

Brat jej, czteroletni Jaś, odgrywał w jej życiu małą rolę. Zgodziła się na to, zęby był. Usiłowała przez pewien czas natchnąć go duchem bohaterskim i nauczyć umiłowania swobody; kiedy jednak, wsadzony jednego razu na szczyt dachu w tym celu, aby samodzielnie zszedł i okazał hart woli i nieustraszoną, haniebnie stchórzył i krzykiem rozpaczony napęły świat, machnęła na niego ręką. Uczyniła jeszcze druga, łagodniejszą próbę i spuściła go w wiaderku na dno studni, aby ujrzał jej głęboką tajemniczość i aby oswoił się z grozą czeluści. Nierozumny berbec jednakże omal nie stracił mowy ze strachu, omal nie postradał żywota.

- Nic z niego nie będzie! - rzekła Irenka.

Wszystkie jej nadzieje, że go wychowa na bohatera, rozwiały się. Trzeba było dalej pracować w pojedynkę i samej przerabiać świat, aby się zaczął kręcić w przeciwną stronę. Nie mogła jednak zapomnieć chłopcu tej słabości i dawała mu poznać na każdym kroku, że go nie uważa za mężczyznę. Kiedy rozplakał się raz z powodu urojonej jakiejś krzywdy, Irenka rzekła surowo:

- Czemu Janek tak się drze?

- Kiedy byłaś mała, krzyczałaś więcej niż on - odrzekła jej piastunka.

- Być może, ale ja miałam powody...

Ponieważ młodzieniec nie chciał uspokoić się i nie można było znaleźć na to rady, Irenka znalazła sposób:

- Przywiążcie go za nogę do sznura i niech na mrozie wisi przez całą noc za oknem.

Brat spojrział na nią z nagłym przerażeniem i oniemiał, jak gdyby już zamarzl.

Matka, ojciec i brat to była rodzina ścisła, koło której żyła liczna gromadka rozmaitych krewnych, przygarniętych na tym skrawku ziemi, co siódmego z siebie dobywał potu, aby wszystkich wyżywić. Należy przyznać sprawiedliwie, że najmniej jadała osoba czcigodna, co miała już około dziewięćdziesięciu lat. Była to przyszywana babka pana Borowskiego, która zjechała tu przed dwudziestu laty w odwiedziny na dwa tygodnie i została na amen. Dokładnie nie wiedział nikt, ile ma lat, a ona sama raz twierdziła, że ma sześćdziesiąt, a innym razem, że dziewięćdziesiąt dziewięć. Właśnie przed trzema laty miała tych dziewięćdziesiąt dziewięć, lecz z właściwej sobie kokieterii nigdy nie chciała przekroczyć stu. Co poniedziałek zapowiadała w wielkiej tajemnicy, że nie przeżyje już tego tygodnia, ale we wtorek zapominała o przyrzeczeniu i żyła szczęśliwie. Codziennie o piątej rano odziewała się starannie i udawała się na dłuższą przechadzkę do sąsiedniego pokoju, okrążała znudzony tymi spacerami stół i wracała do siebie. Zdejmowała czarny szal, rękawiczki i kalosze, codzienny swój spacerowy rynsztunek, i zaczynała odczytywanie gazety sprzed lat czterdziestu, w której był ulubiony jej opis trzęsienia ziemi w owym czasie. Potem rozmawiała godzinami sama ze sobą, czasem dość kłótliwie i podniesionym głosem. Mówić lubiła namiętnie, kiedy zaś wpadła w wyborne usposobienie, co się zdarzało codziennie, Te dopuszczała nikogo do słowa: nieraz zdarzało się, że ostatni jej cierpliwy słuchacz dawno poszedł spać, a ona mówiła jeszcze. Mało dbała o słuchacza, więcej za to o sztukę wymowy. Nosiła się godnie ta babka całego świata, gdyż nikt jej nie nazywał inaczej. Babka była nawet dla księdza proboszcza, który, przerażony niepospolitą płynnością jej wymowy, za żadne skarby nie byłby z nią pozostał sam. Coś się dobrej babinie pokręciło w bystrym niegdyś rozumie, a czas tak się jej pomieszał, że różnica jakichś tam stu lub dwustu lat bynajmniej jej nie przestraszała. Twierdziła z wielką mocą charakteru, że znała osobiście każdego, o kim tylko była mowa. Nic to nie znaczyło, że mowa była o nieboszczyku, od stu lat zasiedziały w niebie. Gadającej babki nie zdołałby nikt przekonać, że go nie znała i że nie utrzymywała z nim serdecznych stosunków. Ktoś na ten przykład był tak lekkomyślny, że w obecności babki wymówił dostojne słowo: „Kościuszko”. A babka jak w dym:

- Kościuszko? Mój Boże! Znałam, znałam, i jeszcze jak znałam. Pamiętam, powiada on raz do mnie: - Panno Aniello, a gdybyśmy tak potańcowali? - a ja mu na to: - Nie mogę, bo jestem w żałobie! - Dałam mu wtedy kwiatek, aby się, biedaczysko, nie bardzo zmartwił, bo zaraz wszystko brał do serca. Co też się z nim stało? Dobrze się chłopiec zapowiadał...

- Babciu! - krzyczała Irenka, bo babcia była na lewe ucho mocno głucha, a na prawe trochę więcej. - Kościuszko dawno umarł.

- Dobrze zrobił! - rzekła z uznaniem babcia, która nie dosłyszała. - On był na to, jak na lato.

W galerii bliskich znajomych babci był słynny skrzypek Paganini, z którym (jak dziś pamięta) była w menażerii, kiedy raz do Suwałk cyrk przyjechał; był jeden arcyksiążę, bardzo przystojny, z którym jeździła na odpust na Bielany i który trzy razy jej się oświadczał, ale potem wyjechał. Szli parami w tym świetnym korowodzie wszyscy poeci, malarze, księżęta i hrabiowie, atleci, połykacze ognia i tenorzy.

Ludzie słuchali tych opowieści z tysiąca i jednej zwariowanej nocy i kiwali głowami. Kto babci nie znał i słyszał ją po raz pierwszy, kazał sobie po dłuższej z nią rozmowie lać wodę na głowę i szczypał się w ucho, tym domowym sposobem sprawdzając, czy jest przy zdrowych zmysłach, ci zaś, co ją znali, usiłowali wymyślić taką osobę, która, urodzona w Japonii, umarła na biegunie południowym, ale nie mogli dać rady. Babcia знаła wszystkich na świecie, żywych, dogorywających i umarłych. Nie narodzonych znała też.

Asystę jej stanowiły dwie tak zwane ciotki, tez dalekie krewne pana Borowskiego, które przytuliły się cicho do białego domu jak skromne malwy. Jednej było na imię Amelia, drugiej Barbara. Imię pierwszej było poetyczne i jak gdyby pełne łez, dlatego też może ciotka Amelia pisała wiersze; w imieniu drugiej była twardość, duma i hardość; i może dlatego bujny ten duch zajmował się twórczością malarską. Poetessa hołdowała dawnym strojom i dawnym zwyczajom. Była cienka w pasie, od lat bowiem używała przedziwnej maszyny, zwanej „sznurówką”. Wyglądała tak, jakby ją straszliwy jakiś siłacz chwycił w kleszcze rąk i tak ścisnął w pasie, że jej poetyczny żołądek wypchnął w stronę szyi, na której z tego powodu powstało niewielkie wzgórze. Była to osoba pełna wielkiej słodyczy, rozmarzona i tęsknie patrząca byle gdzie, w powalę, w szafę, w pień drzewa, ale nie tam, gdzie właśnie należało patrzeć. Kiedy zlatywał na nią anioł poezji, opuszczał ją zwyczajny ludzki rozum. Ciotka wpadała w natchnienie i w rów, nad którym właśnie znajdowała się, lub w wodę. Miewała potężne wizje i wtedy zamieniała się w wieszczkę, która potrafiła mówić niepojęte rzeczy o duchach, demonach i wróżkach. Dreszcz przechodził po grzbiecie słuchających, kiedy improwizowała i wołała: „Na kolana! Idą duchy, czy słyszycie już łańcuchy?!” Wprawdzie duchy nie przychodziły, ale łańcuchy często było słyszeć, kiedy prowadzono krowy do wodopoju. Wielkim cieszyła się poważaniem, tym bardziej że była przedziwnie dobra i cicha, oczywiście, jeśli nie była w transie. Pisała wiersze na wszystkie chwile życia, na każde imieniny i na każdą uroczystość. Wtedy deklamowała pięknie swoje wyborne utwory, z których jeden Pod tytułem: „Na bój” cieszył się sławą wielką i zasłużoną, Bohaterski ton tej pieśni brzmiał jak wojenna surma i wielka to szkoda, że nazbyt kończył się smutno. Oto on:

Hej, młodzianie, hej, młodzianie!

Weźmij jedna ze swych zbrój,

Wstań czym prędzej i w świtanie

Pędź na bój! Pędź na bój!

Ja ma wstęgą cię opaszę,

Błogosławieństw dam ci rój,

A ty, nasze ptaszę lasze,

Pędź na bój! Pędź na bój!

A gdy legniesz, bo tak tuszę,

Nocą przyjdę na twój grób,

Tam wywołam twoją duszę,

By śmiertelny wziąć z nią ślub.

W ślicznym tym wierszu tkwiła, jak gwóźdź w trumnie, ta tragiczna prawda, że nikt z żywych nie miał odwagi pojąć za małżonkę lubej Amelii. Umarłemu było wszystko jedno. Ponieważ ciotka Amelia była panną, więc skarga jej była uzasadniona, a tak rzewna, że ludzie głośno płakali, kiedy załamując ręce, zapowiadała swój ślub z młodzianem, co poległ „w jednej ze swych zbrój”.

Twórczość ciotki Amelii miała w sobie nie tylko tony tragiczne. Rozpięta, jak tęcza na lazurowym niebie poezji, lśniła wszystkimi kolorami, wśród których były i te, co wesołością barwy cieszą ludzkie oko. Dowodem tego jest inny jej śliczny wiersz, nazwany „Figlarna”:

Czemu oczy twe się śmieją

I cała tryskasz nadzieją?

Czemu swym się cieszysz zdrowiem?

- Ja to wiem, ale nie powiem!

Myślisz pewnie, że nikt nie wie,
Jak przy wielkim czekasz drzewie.

A kto skryty za listowiem?

- Ja to wiem, ale nie powiem!

Ej, dziewczyno, ej, figlarko,

Czemu tam tak bieżysz szparko?

Teraz powiem, by ci dopiec:

Tam kochany czeka chłopiec!

Taka jest moc i władza poezji, że sympatyczna ciotka Amelia, podobna z wykroju do litery X z powodu osiej cienkości talii, stawała się piękna, kiedy swoje rymy piorunowym wygłaszała głosem. Jednej tylko hołdowała manierze, tej mianowicie, że czy wiersz był smutny jak pogrzeb, czy wesoły jak przedstawienie w cyrku, ona wydzwaniała go niezmiennie głosem dzwonu pogrzebowego, tak że się zawsze serce krajało obecnym, nawet wtedy, kiedy „figlarka biegła szparko” i „cieszyła się zdrowiem”. Nie inaczej grecki wędrowny pieśniarz wygłaszał ustęp o śmierci Hektora niż ciocia Amelia wiersz: „Jestem dziewczuszka hoża i szczęśliwa, chłopcy mnie pragną, jak słodkiego piwa”. Tak to można potęgę i moc ognistą nalać do każdego najmizerniejszego nawet słowa. Czyniła to kobiecina wiotka i jagnięcej dobroci.

Przeciwieństwem jej całkowitym była ciotka Barbara. Pominąwszy jej imię, podobne do gryzienia zębami orzechów, w całej jej postaci była jasnokoścista twardość. Nosiła się zuchwale, wzorem tych malarzy jaskiniowców, co myli się przed Wielkanocą, a nie czesali nigdy. Miała krótką czuprynę, którą wstrząsała nieustannie, bo spadała jej na oczy, pluła na odległość ośmiu metrów sześćdziesięciu centymetrów (rekord światowy i olimpijski!), paliła krótką, angielską fajeczkę i gardziła całym światem. Było to właściwie jej główne zajęcie, poza tym dopiero zajmowała się malarstwem. Wysoka, chuda, sierdzista i zwalista, wszystkie części ciała miała w porządku - prócz serca, które było złamane od lat trzydziestu. W zamierzchłych tych czasach zakochała się w przystojnym młodzianie, który był jakimś zamorskim księciem, i gotowa była stanąć z nim na ślubnym kobiercu. Już ją krok jeden zaledwie dzielił od tego kobierca, kiedy księcia zamknięto w więziennym lochu za fałszowanie banknotów; była to zwyczajna zazdrość władz, okazało się bowiem, że on sporządzał banknoty piękniej i lepiej niż władze, czego obrażony rząd nie mógł przeboleć. Od tego czasu ciotka Barbara dotrzymała przysięgi, że nigdy nie uwierzy zakłębom i zachwytom żadnego mężczyzny. Przysięgła równocześnie pogardę światu, co odbijało się wyraźnie w malowanych przez

nią portretach, nie zdarzyło się bowiem, aby namalowany przez nią człowiek był podobny do człowieka. Stawał się podobny do szczura, lisa, wielbłąda lub barana, lecz przenigdy nie było w jego twarzy iskry człowieczeństwa. Gdyby namalowała nawet anioła, byłby on podobny do złośliwie patrzącego nietoperza. Portretowani przez nią ludzie mieli nieodmiennie dziwny sposób patrzenia: oko lewe takiego nieszczęśnika nigdy nie widziało, kędy patrzy prawe. Każdy portret patrzył zezem, a na domiar wszystkiego zdawał się zgrzytać zębami. Obrazy te jednakże sprawiały potężne wrażenie, szczególnie barwą twarzy portretowanej osoby, zawsze bladoniebieskiej, z zielonym odcieniem w okolicy ust i oczu.

Jeśli można było czynić niejaki zastrzeżenia jej malarstwu portretowemu, z całą sprawiedliwością należało przyznać niepospolite zalety uprawianemu przez nią malarstwu rodzajowemu. Zdumiewająca jego oryginalność polegała na tym, że wybitna ta artystka nie uznawała banalnych zasad perspektywy i stosunku wymiarów jednego przedmiotu do drugiego. Na tym samym na przykład obrazie jabłko było trzykrotnie większe od filiżanki, a kiedy na rzeźnym obrazku lis porywał kaczkę, kaczka była dwa razy większa od lisa, co nikogo razić nie mogło, każdy bowiem wie, że najmniejszy lis zjada kaczkę, a największa kaczka nie zje lisa. Myśl głęboka tkwiła w tym, że morderca zakatrupił niewinność, bo tak zawsze dzieje się na świecie. A obojętne jest, ile waży niewinność, a ile morderca. Proporcje te doprowadzały do rozpaczki Irenkę, znającą na wylot wszystko, co żyło w przyrodzie; jednakże uwagi jej, przyjmowane lekceważąco, nie mogły wpłynąć na twórczość mistrzyni. Wiodła ona równocześnie wojnę z księdzem proboszczem, który nie przyjął ofiarowanego przez nią dla kościoła obrazu pt. „Święta Barbara, patronka górników”, najśmielszy bowiem górnik uciekłby z kopalni, gdyby mu się tam pokazała taka święta, jaką namalowała ciotka Barbara. Najbardziej zatwardziały złoczyńca ma więcej słodyczy na gębie, niżli jej na swojej twarzy miała owa święta z wyszczerzonymi zębami i ze wzrokiem mówiącym, że patronka górników chętnie zjadłaby tłuste niemowlę.

Ciotka Amelia i ciotka Barbara żywiły wobec siebie wzajemną niechęć; malarka twierdziła, że poetka powinna wiązać nie rymy, ale kozie ogony, poetka zaś była zdania, że jeśli mowa o ogonach, w takim razie krowa, której do ogona przywiązano by pędzel, namalowałaby, oganiając z siebie muchy, arcydzieło wobec obrazów Barbary. Ulegając prośbom i groźbom, całowały się dwa razy do roku i czyniły zgodę: Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Były to jednak krótkie, jednodniowe przystanki wzdłuż nieprzerwanej kolei niechęci. Już nazajutrz cicha Amelia pisała w tajemnicy krwawą satyrę na malarstwo, a Barbara pluła dalej niż zwykle, własne bijąc rekordy, kiedy poetka całą duszą śpiewała odę na cześć wiosny lub zimy. Treść była zawsze ta sama, tylko trochę inne rymy, raz ciepłe, a raz zimne. Gniewy wzajemne były tak zaślepione, że kiedy przy obiedzie podano półmisek najpierw ciotce Amelii, ciotka Barbara nie tknęła już jedzenia pod pozorem, że nie jest głodna. Ponieważ tę politykę wzdargy uprawiała też i ciotka Amelia, więc podawano jedzenie jednego dnia najpierw poetce, a drugiego dnia, na odmianną, najpierw malarce, mogło się bowiem zdarzyć przy zaniedbaniu tego ceremoniału, że jedna z ciotek wyschnie jak szczapa i zembrze. Lecz, o dziwo! Kiedy ciotkę Barbarę bolały zęby i kiedy nadaremnie smarowała dziąsła spirytusem, rumiankiem i tytoniowym sokiem z fajki, ciotka Amelia odmawiała nieustannie nowennę do świętej Apolonii, patronki od bólu zębów, i piękną, wierszowaną poświęciła jej odę („Święta Patronko, weź te rymy w darze, lecz wylecz zęby nieszczęsnej Barbarze”). Wzruszona zacna święta podała - za pośrednictwem klucznicy - wyborny sposób pozbycia się bólu zęba wraz z zębem. Był to sposób z dawna praktykowany i niezawodny: przywiązywało się do zęba długą, mocną nić, a drugi jej koniec

należało uwiązać do klamki u drzwi; potem ktoś nagle otwierał drzwi i ząb wyskakiwał ze szczęki jak korek z butelki. Harda Barbara umiała odpłacić sercem za serce. Kiedy ciotka Amelia, chcąc z bliska ujrzeć grozę natury, co zawsze powinien czynić poeta, wychodziła sobie po jesiennym parku zapalenie płuc, ciotka Barbara spędziła przy niej wiele bezsennych nocy. Ciotka Amelia była bliska śmierci i wygadywała w gorączce niestworzone rzeczy, których słuchano jednak ciekawie, nie wiadomo bowiem było, czy dobra Amelia bredzi, czy też improwizuje, ale ciotka Barbara płakała ciężko. Tych łez zamiast wody użyła do akwareli pod tytułem: „Śmierć poetki”, zrobionej na wszelki wypadek. Poetka, z jednym okiem otwartym, a drugim zamkniętym, leżała w trumnie, na głowie miała wieniec laurowy, a w rękach książkę, zapewne przez siebie napisaną: nad nią pochylony stał kościotrup z węzami w oczodołach, z kosą w jednej ręce, a z gałązką choiny w drugiej, jak gdyby nią chciał od zwłok poetki odpędzić muchy. Ciotką Barbara tak cudownie jednak pielęgnowała nienawistną istotę, że wspinały ten obraz stał się bezprzedmiotowy na domowy użytek i mógł być ofiarowany do muzeum. Kiedy ciotka Amelia podniosła się z łoża boleści, ucałowała serdecznie tego dragona co nad nią czuwał, jasnokościstą ciotkę Barbarę i - rzecz oczywista - już tego samego dnia przestały z sobą rozmawiać. Irenka, chcąc wprawić dom cały w ruch, nie omieszkała pokazać cioci Amelci obrazka z jej zwłokami, zwróciwszy jej niewinnie uwagę na zbytnie, że złym zamiarem uczynione, wydłużenie nosa, co miało ten skutek, że dobrotliwa wątroba ciotki wywróciła się i stanęła na głowie. Skutkiem tego skutku był mocny wiersz pod tytułem: „Krótkowłosa wiedźma”, zaczynający się szatańskim okrzykiem: ..Ha! ha! Myślałaś, że już spocznę w grobie!” - a kończący się zjadliwą apostrofą: „Że młody zawsze starszego pogrzebie, przeto, Barbaro, ja pochowam ciebie!” Nie trzeba dodawać, że Irenka tego samego dnia odczytała ten wiersz Barbarze i przyprawiła ją o szaleństwo.

A najweselsze było to, co babcia mówiła o ciotkach:

- Ach, te dzierlatki! Kiedy sobie coś nuca albo przekomarzają się ze sobą, to tak jakby kanarki szczebiotały...

Rozdział czwarty

Irenka uczyła się wybornie; chłoneła w siebie wszelkie mądrości jak gąbka: szybko i łatwo. Wszystko, cokolwiek czyniła, było robione z radością, więc chociaż nauki nie można było nawet porównać z galopem na nie osiodłanym koniu albo z jazdą na tratwie ze starych drzwi przez staw, jednak cząstka wielkiej radości dostawała się i nauce. Pomagał jej w tej głębokiej dziedzinie młody człowiek w okularach, tak poważny, że zdawało się, jakoby tylko we dnie żył życiem ludzkim, na noc zaś tajemna siła zamieniała go w książkę i stawiała na półce bibliotecznej. Musiał być bardzo wygłodzony, bo zjadał niepomierne wiele, ile zaś razy któraś z ciotek nie chciała tknąć jedzenia, on nie dał mu zmarnować się nigdy. Nazywał się pan Podkówka i był bardzo sympatyczny. Można było wprawdzie przez lat sto i dwa czekać na to, aby pan Podkówka roześmiał się albo podskoczył w górę, ale wyborna jego powaga wiele miała w sobie wdzięku. Wyglądał tak, jakby każdej chwili był przygotowany do ułożenia się na katafalku, taki był spokojny, uroczysty i wpatrzony w głębinę swego ducha. Nauczał Irenkę sumiennie, nie podniósłszy nigdy głosu, ręki i spojrzenia. Przemawiał smutno,

a wielkie zdanie na temat, że osiem razy osiem jest sześćdziesiąt cztery, wygłaszał tak rzewnie, że się serce krajało. Wszyscy lubili go bardzo, a ciotka Barbara malowała go kilka razy, a choć każdym razem inaczej, wyglądał zawsze tak, jak gdyby słup telegraficzny wdział czarne ubranie, zbyt wielkie buty i zezem patrzył w dal. Wszystko, co zarabiał, posyłał biednej matce, sobie nie zostawiając ani grosza nawet na papierosy, które namiętnie lubił palić. Dlatego pewnie nigdy nie uśmiechał się, że nie miał na to czasu i uśmiech uważał za marnotrawstwo. Czasem ciężko westchnął, a wtedy Irenka pilnie patrzyła mu w oczy. Ona też jedna wiedziała, skąd w pokoju pana Podkówki znalazło się czasem trochę papierosów albo tytoniu. Równocześnie jednakże ciotka Barbara dziwiła się, że od pewnego czasu znacznie prędeziej wypala swój tytoń. Nikt nigdy nie mógł dojść tej zawilej sprawy.

Pan Podkówka przed dwoma laty sumiennie wygłodzony, zaczął nabierać połysku i tężyzny. Uczył Irenkę, a sam pilnie studiował grube książki i cienkie zeszyty. Przerażliwa jego melancholia cokolwiek po pewnym czasie zelżała, gdyż pan Podkówka coraz częściej spoglądał w niebo. Na swoją zdolną uczennicę patrzył szklanym wzrokiem, jak na ułamek dziesiątą albo nieprawidłowe słowo. Niczemu nigdy się nie dziwił, nawet nieporównanym opowieściom babki. Można go było zbudzić o północy i rzec: „Panie Józefie, już dziewiąta rano, trzeba wstać i rozpocząć lekcje!” - a on byłby wstał, ukłoniłby się i rzekł: „Zaczynamy!”

Irenka przyglądała się coraz bystrzej jego trumiennej powadze i jednego dnia, w drugim roku jego pobytu, powiada, jak gdyby nigdy nic:

- Proszę pana profesora, pójdziemy łowić raki!

Pan Podkówka spojrział na nią, jak gdyby jeszcze nigdy w swoim smutnym życiu nie widział wariata. Zdjął okulary, przetarł je sumiennie i spojrział raz jeszcze. Wesołe czarne oczy patrzyły w niego radośnie. Wtedy pan Podkówka wyrzekł tylko jedno słowo:

- Chodźmy!

Strasliwość zuchwałych podstępów Irenki brnęła coraz dalej. Nikt nie zdołałby tego opowiedzieć. Prawdą ostateczną jest to, że dnia jednego, kiedy jabłka padały na ziemię jak ciężkie, rumiane pociski, ciotka Amelia wyszła na boży świat pomiędzy drzewa. Nagle krzyknęła, jakby zobaczyła diabła, czym prędeziej pobiegła z powrotem do domu i wywiodła z niego wszystkich żywych. Babka dreptała na ostatku, pytając rozdzierającym głosem: „Kto umarł? Kto umarł?” Wszyscy, idąc za wskazówką drżącego ramienia ciotki Amelii, zadarli w górę głowy i stanęli jak wryci: na szczycie jabłoni siedziała Irenka i chwiała się na gałęzi jak młody pawian, a niżej na grubym konarze, rozparty w jego rozwidleniu, siedział pan Podkówka, gryzł jabłko i śpiewał wniebogłosy.

- Świat się kończy! - rzekła ciotka Amelia. - Ta dziewczyna świętego przywiedzie do obłądu.

- Dzielny Podkówka - z uznaniem rzekł pan Borowski. - A Irenka mądra dziewczyna. Jazda, ciotki! Leżcie na drzewo!

Ciotki spojrzały na niego jak na węża i odbiegły jak sarenki. Babka tylko, nie wiedząc, o co idzie, pytała pana Borowskiego, czego żąda, bo może ona to zrobi.

Tak to się stało, że poważny pan Podkówka wyraźnie postradał zmysły i od tego czasu widziano go i na tratwie, i na koniu, a czasem na dachu. Razu jednego zaśmiał się tak donośnie, jakby koń zarżał, i odtąd śmiał się ciągle. Lekcje stały się wesołe, różne i przyjemne. Pan Podkówka mówił pięknie, wymachiwał rękami i znać było, że kocha to, czego naucza. Do niedawna dyktował Irencie zdania wzniosłe, uroczyste i tak najeżone jak ryżowa szczotka:

- „Módl się i pracuj”. - „Cierpienie jest udziałem człowieka”. - „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!” - Teraz, w porywie radosnej lekkomyślności, wołał wskazując palcem na kajet: - „Kochajmy słońce!” - „Bóg cieszy się radością człowieka!” - „Bądź radosny, a będziesz szczęśliwy!” - „Unikaj łez, uciekaj przed smutkiem!” - Wreszcie wynalazł w jednej ze swych książek zdanie przedziwnie piękne, które kazał Irencie wypisać jak można tylko najstaranniej: „Stracony jest każdy dzień bez uśmiechu”.

- Wariat znajdzie wariata w korcu maku - uroczyście wyrzekła jednego piątku przy obiedzie ciotka Amelia. Ponieważ właśnie jadła rybę, więc jej te straszliwe słowa stanęły ością w gardle.

- Kara boska! - mruknęła ciotka Barbara.

Irenka mrugnęła w stronę pana Podkówki, który jednak wcale tego nie zauważył, gdyż, korzystając z zamieszania, jednym szerokim ruchem zgarnął wszystko z półmiska na swój talerz. „Panna z mokrą głową” myliła się jednak, sądząc, że ciotka Barbara jest po stronie tych, co wielbią radość, słońce, wiosnę i są napełnieni duchem wolności jak drzewo wiatrem szumiącym. Ciotka z twardym imieniem uradowała się na chwilę, że poetka z imieniem rozplakany jak wierzba nad grobem będzie miała niejakie trudności z przełknięciem ości. Była jednakże jednego z nią zdania, że Irenka i jej nauczyciel są dzikimi istotami, na które za życia czeka powszechna pogarda, a po krótkim życiu piekło. Dotąd otaczała szacunkiem tego ponurego okularnika, co smutno wałęsał się, jak gdyby codziennie za własnym chodził pogrzebem, kiedy jednak udało się Irencie powoli i z przemyślnym trudem napełnić radością ten żywy karawan i ponurej, zabiedzonej, posiwiałej, zmiętej młodości pana Podkówki przypiąć skrzydła, ciotka Barbara splunęła z niesmakiem. Obie ciotki nie mogły pojąć, jak ojciec i matka mogą pozwolić na to, aby ich córka przemawiała odważnie, rozsądnie i jasno, aby śmiała być samodzielna, silna i wesoła, zamiast mówić cicho, lękać się ciemnego pokoju, burzy i psa, rzewnie czasem popłakiwać i myśleć ciągle o kwiatkach zamiast o czarnym chlebie powszednim. Na domiar wszystkiego oszalał i jej nauczyciel i zaczął sprawiać takie wrażenie, że dnia jednego, kiedy szal przybierze ostre formy, zacznie płaszać jak król Dawid przed Arką. Ciotki zmarszczyły czoła, serca już miały dawno zmarszczone. Chociaż nie rozmawiały ze sobą wprost, udało im się jednak na tajnej konferencji pod prezydencją babki, która nic z tego wszystkiego nie słyszała, dojść określonymi drogami do przekonania, że niebezpieczeństwo jest groźne i że dziewczyna jest stracona. Postanowiły przedstawić groźbę położenia panu Borowskiemu, zażądać zmiany w systemie wychowania i natychmiastowego wygnania oszalałego Podkówki. Babka, usłyszawszy dźwięczne to nazwisko, wykrzyknęła uradowana:

- Podkówka? Znałam, doskonale go znałam!

Stańto na tym, że ciotki pójda w deputacji do pana Borowskiego. Kiedy się to stat.0, zaczęła mówić jedna przez drugą, długo, obficie i kwieciście. Przerażony ojciec dowiedział się, że ma córkę największe na świecie ladaco, półdiablę, kozaka, pędziwiatra, wariata z mokrą głową, co wszystko

razem musi skończyć się nie źle, ale najgorzej. Dziewczyna ma okropny wpływ na otoczenie, czego najlepszym dowodem jest pomieszanie zmysłów tego Podkówki, który będzie miał złamane życie, bo taki obszarpaniec, jak on, powinien pokornie się smucić, a nie śmiać się i weselić.

Pan Borowski słuchał cierpliwie, mrużył oczy, gładził wąsy, potem rzekł:

- Cieszę się bardzo, że Irenka jest taka, jaka jest. A pana Podkówkę uważam za wybornego nauczyciela, od czasu kiedy poweselał.

Ciotka Amelia zmieniła się w słup soli, a w ciotkę Barbarę uderzył bezgłośny i zimny piorun. Jej pierwszej wróciła przytomność; coś jej zaskrzypiało w szczękach, kiedy rzekła:

- Nas tak nie wychowywano!

- Otóż to, otóż to! - śmiał się pan Borowski. - Gdybyście przed stu czy iluś tam laty robiły to, co ona, byłybyście do dziś młode i wesołe! Nie chcę, aby z Irenki zrobił się dziwoląg.

Amelia spojrzała na Barbarę, a Barbara na Amelię z niemym pytaniem, czy która z nich wie, co to znaczy „dziwoląg”? Pan Borowski objaśnił uprzejmie:

- Dziwolągiem jest ciele z dwiema głowami albo kura mająca trzy nogi. Lepiej wprawdzie jest mieć dwie głowy niż żadnej, ale najlepiej mieć jedną, byle uczciwą. Irenka ma jedną głowę w doskonałym porządku, a serce cudowne. A wy co?

- Och! och! - wykrzyknęły ciotki po raz pierwszy w życiu zgodnie.

Irenka - mówił nielitościwie pan Borowski - nie da sobie napluć w kaszę, sama się broni i da sobie w życiu radę. Nie nosi wprawdzie gorsetu, opalona jest jak Cygan i je razowy chleb. Co to wam szkodzi, że dziecko jest jasne, radosna i silne? Niech sobie taka będzie! Ziemia ją żywi, a ona ją za to kocha jak wesoły ptak. Uwielbiam za to tego smarkacza, i rzecz skończona. A co się tyczy pana Podkówki, to czy on smutny, czy wesoły - to jego sprawa. Daj mu. Panie Boże, zdrowie, i tyle. A teraz, drogie ciotki, w tył zwrot i do widzenia! No! no! Tylko spokojnie! Jeśli która zemdleje, to ją każę oblać wodą.

Żadna z nich nie zemdląca; wypłynęły z pokoju pana Borowskiego jak dwie gradowe chmury. Za drzwiami ciotka Amelia westchnęła, jak gdyby jej wsadzono w serce nie nóż, lecz korkociąg, a ciotka Barbara plunęła na wspaniałą odległość.

- Wszyscy powariowali w tym domu! - krzyknęła Barbara do ucha babki. - Pan Borowski też...

- Borowski? - uradowała się babka. - Czekał no! Ależ tak! Znałam go, doskonale go znałam.

A niechże babka przestanie wreszcie - jęknęła ciotka Amelia.

Dobrze, zaraz ci opowiem dokładnie, ilu ja znałam Borowskich. Przede wszystkim...

Nagle uczyniło się pusto w pokoju, co niezłomną babkę zdumiało, ale nie bardzo; długiego wywodu

dokończyła sama dla siebie, mocno uradowana, że się okazało, jako jeszcze jednym Borowskim z tych, których znała, jest jakiś Borowski, który gdzieś blisko mieszka i którego dość często widuje.

W dwa dni później potępiona para (mistrz Podkówka i jego uczennica), ukończywszy lekcje, siedziała nad stawem, co wydymał swój połyskliwy brzuch i grzał się w słońcu. Paskudny pies Drab leżał obok i, łącząc przyjemne z pożytecznym, lewym okiem patrzył na śmiejąca się wodę, a prawym łupał w stronę zażywej muchy. Irenka zanurzyła długie nogi w wodzie, mając trochę nadziei, że jakiś głupszy cokolwiek rak do jednej z nich się przyczepi, a pan Podkówka, mile rozmarzony, ścigał oczami obłoki, których dotąd nigdy nie widział, bo bardzo niedawno odkrył niebo.

- Boże! Jakie to piękne - mówił cicho. - Panu Bogu powinno się przede wszystkim dziękować za to, że nam dał oczy. Ja nigdy dotąd z tak bliska nie oglądałem nieba.

- Czemu, proszę pana, przecież niebo jest wszędzie?

Pan Podkówka zaśmiał się cicho.

- Wszędzie? Niestety, nie zawsze. Ja w moim życiu nie widziałem go zbyt często. Mieszkaliśmy w takim podziemiu, skąd nie było widać nawet błękitnego skrawka, bo mój ojciec, Irenko, był szewcem, i to nie takim szewcem, co szyje nowe buty: łątał tylko stare, takie beznadziejne, na nic schodzono. To też był cud, że mogliśmy mieszkać nawet w tym podziemiu. Strasznie tam było mokro. Ze ścian lało się i z oczów ludzkich też się lato...

- Nie rozumiem.

- To jasne. Moja matka płakała nad nami, a nas było siedmioro: i my często płakaliśmy dlatego tylko, że ona nad nami płacze. Ciężko było...

- I długo tak?

- Potem było przestronniej, bo ojciec biedaczyna umarł i troje dzieci umarło. Chcieli nas usunąć z tej piwnicy, bo nie było czym płacić, ale matczysko zaczęło tak harować, żeśmy się jakoś utrzymali. Irenka nie ma pojęcia, jak matka potrafi pracować, aby dzieci nie pomarły z głodu. Myślałem sobie, że Pan Bóg, kiedy na to patrzy, to musi mieć łzy w oczach. O czwartej rano w zimie ona już stała przy balii. Ja to widziałem, bo też w tym czasie zaczynałem się uczyć. Na ścianach był szron, a zimno było takie, że kiedy chciałem odwrócić kartkę książki, nie mogłem tego uczynić, takie miałem zgrabiałe palce, i jakoś się wyżyło.

- Mój Boże! - szepnęła Irenka cichutko.

- Dlatego nie widziałem często nieba - mówił spokojnym głosem pan Podkówka. - Kiedy wychodziłem z tej stęchłej nory, nie miałem czasu na przyglądanie się obłokom, Biegłem, czym prędzej biegłem, aby zdążyć na drugi koniec miasta na korepetycje. Stamtąd z powrotem, tu, tam, do szkoły, znowu na lekcje. A kiedy wracałem do domu, była już noc. Wtedy oni, biedacy, jedli to, co ja przyniosłem.

- A pan?

- A ja leciałem z nóg i spałem, spałem. Ale teraz to nam wszystkim lepiej - dodał wesoło i pokazał zęby w uśmiechu.

- Teraz to sobie moja matka żyje jak hrabina, bo siostry szyją, a ja posyłam flotę. Za rok, za dwa czymś już będę i zacznę się życie. Moja starowina, kiedy o tym mówi, to płacze. To takie dziwne! Biedota płacze, kiedy się martwi, a kiedy się cieszy, płacze tym rzewniej. Dokąd pamięć moja sięga, widzę tylko łzy i łzy. Teraz niech sobie popłakuje, bo jej to sprawia przyjemność, byle nie płakała ze zgryzoty...

- Proszę pana!

- Co takiego, panno Irenko?

- Kiedy pan będzie pisał do matki, niech ją pan serdecznie ode mnie pozdrowi... Niech ją pan ucałuje...

- Masz tobie! - zaśmiał się Podkówka. - Będzie z rozczulenia popłakiwała ze trzy dni.

Irenka, której oczy uczyniły się wilgotne, roześmiała się w głos, bo Podkówka śmiał się szczęśliwie. Tak bardzo ucieszył się, że usiadłszy nagle na brzegu wetknął obute nogi w wodę i wtedy dopiero ryknął z radości i zawył tak przedziwnie, że ptaki zerwały się z wody.

- Irenka - wykrzykiwał - jest to panna z mokrą głową, a ja jestem wariat z mokrymi nogami!

W tej chwili Drab zawarczał ostrzegawczo.

- Ciotki idą! - rzekła Irenka.

Obie muzy, wymieniając między sobą głucho milczenie, niosły swoją rozgoryczoną hańbę na pola i łąki. W jednej i drugiej odbywało się coś dziwnego. Spojrzały na Irenkę, potem na Podkówkę boleśnie i nieskończenie smutno - i poszły dalej.

- Tak, to ciotki - szepnął Podkówka - dobre to kobiety, tylko jakieś takie. Ja także miałem taką ciotkę, co była ni w pięć, ni w dziewięć. Kiedy była trzeźwa, to ją można było do rany przyłożyć, ale kiedy sobie podpiała, włąziła na szafę i godzinami śpiewała. Bieda była z tym, że prawie nigdy nie złąziła z szafy. Aż raz zleciała z niej na głowę i oddała Bogu ducha. Jak się trafi taka pomyłona ciotka, to nie daj Boże! Na co Irenka tak pilnie patrzy?

Coś niezwykłego musiało stać się w pobliżu, skoro Irenka miała wyraz niebotycznie zdziwiony.

- Niech pan patrzy! Niech pan patrzy! - krzyknęła.

Pan Podkówka obejrzał się i postawił oczy w słup. W niewielkiej odległości ciotka Amelia, zdjawszy pantofle i pończochy, zanurzyła cienkie, patykowate nogi w wodzie i pryskała nią wesoło, a ciotka Barbara wyprawiała opodal dzikie skoki w górę i w dal, wydając przeraźliwie radosne

okrzyki. Czasem się zdarzy, że dostojny żuraw, kiedy mu jakaś ćma padnie na bystry rozum, zaczyna podskakiwać i płaszać, prędzej jednak można było uwierzyć, że nieboszczyk zacznie tańczyć z własną trumną, niż ciotka Barbara zatańczy nad zdumioną wodą.

Po krótkiej chwili zdumienia Irenka pobiegła do domu i wpadła do ojca.

- Tatusiu! Ciotkom coś się stało!

Pan Borowski spojrział przez okno i, gdyby nie był chwycił się biurka, byłby upadł, tak się zatoczył ze śmiechu.

- To twoja szkoła. Ratujcie mnie, bo pęknę! Powiedziałem ciotkom, że byłyby do dziś młode, gdyby... Idź, zatrzymaj ciotkę Barbarę, bo się zatchnie!

Nie trzeba było ciotki zatrzymywać, bo jak derwisz tańczący, co, okręciwszy się tysiąc razy, pada na ziemię, tak i ona legła na pachnącej trawie. Zatrzymały się przerażone obłoki, a wiatr nie śmiał odetchnąć. Cała przyroda wybałuszyła swoje wielkie, niebieskie oczy, widząc ten szalony i piękny. Jeden tylko przedstawiciel natury, pies Drab, zaczął wyć nierozumnie. Albowiem nigdy nie wiadomo, co strzeli psu do głowy.

Ciotka Amelia, która nieznacznego jedynie dokonała bohaterstwa, patrzyła na czyn ciotki Barbary z nie ukrywaną zawiścią, kiedy zaś na jej niewinnym obliczu ujrzała nieśmiały jak jutrzienka rumieniec, serce zabiło w niej gwałtownie na widok tego cudu. Pan Borowski jednak miał rację i ta mała wietrzniczka, Irenka, wie dobrze, co robi, stając na głowie i burząc swoją krew. Ciotka Amelia przysięgła sobie bezszelestnie, drżeniem warg zaledwie, że, kiedy nikt tego widzieć nie będzie, wykona taniec, jakiego świat nie widział.

Irenka nie chępiła się swoim zwycięstwem. Ucieszyła się, widząc, że i ciotki chcą sobie trochę poskakać, co mogło mieć ogromny wpływ na zmianę octu ich usposobień na złote wino radości, a co ważniejsze, na zmianę ich stosunku do niej. Jeżeli ciotki będą miały „mokre głowy”, mniej będzie gadania o jej głowie, słynnie mokrej i nie wysychającej w największym słońcu. Wszystko przemawiało za tym, że ciotki odmłodnieją, zaczęły bowiem z pasją uprawiać sporty i żyć z przyrodą.

~ Na Boga! Żeby tylko nie zaczęły łązić po drzewach! - mówiła przestraszona matka Irenki.

Tak wysoko jednak nie mierzyła nagła ciotek odmiana. Wody i koni bały się zawsze, lecz goniły radosną młodość po polach i łąkach, a kiedy czasem, brnąc przez paprocie leśne, zaczęły hukać i przekomarzać się z ptakami, poczciwi ludzie zegnali się znakiem krzyża świętego, każdej chwili gotowi do ucieczki, gdyby poczciwe stare panny nagle zaczęły lecieć przez powietrze.

Wreszcie jednak stało się coś, czego nigdy nikt przewidzieć nie mógł. Ciotka Amelia chodziła przez kilka dni blada i wzdychająca, rozmawiała sama z sobą wierszami i ważyła coś w sercu jak na czulej wadze. Aż jednego dnia stanęła przed zgromadzeniem powszechnym i rzekła donośnie:

- Niech się dzieje wola boska. Wyrzuciłam gorset!

Krzyk podniósł się tak wielki, że dotarł aż do babki.

- Kto umarł? - spytała babka, przestraszona.

Kiedy jej wytłumaczono, skąd ten zgiełk pochodzi, babka najpierw zmartwiała, potem machnęła ręką:

- Ona jeszcze za męża pójdzie! Wstyd i hańba... Jak możesz pokazywać się bez gorsetu?

- Nikt tego paskudztwa już nie nosi! - krzyknęła ciotka Barbara głosem potężnym królowej Amazonek.

- Jak to nikt? - odgrzmiała jej babka. - Ja noszę!

Wszyscy zdumieli się. Od paru dni babka miała dziewięćdziesiąt lat. Straszliwe rzeczy dzieją się na świecie, a nikt o tym nie wie. Piekielna tajemnica łagodnej babki odebrała wszystkim mowę na czas dłuższy, a ona tymczasem wyszła, groźna nad podziw i rozsierdzona.

Wtedy dopiero szepnęła Irenka do pana Podkówki:

- Trzeba będzie nawrócić babkę.

Pomimo tego zgrzytu, radość była powszechna z dzielnego postępu ciotki Amelii, na którą z kolei ciotka Barbara patrzyła z zazdrością, sama bowiem niczego z siebie zdjąć nie mogła. Z milczącym jednak poszanowaniem wysłuchiwała, jak wszyscy zresztą, pięknego opisu tej niezapomnianej uroczystości, który boska Amelia wygłosiła tego wieczoru, kiedy dzień zagasnął, a cisza sprzyjała wzlotom ducha. Był to wiersz bardzo kunsztownie uczyniony, bo tylko na dwóch rymach oparty jak kulawy na dwóch szcudłach. Biła z niego moc. Oparłszy ręce na grzbiecie krzesła, a oczy na pułapie, mówiła ciotka Amelia:

Już godzin, już dni tych nie zliczę

Co w czasie zapadły odmęty,

Gdyś ścisnął me łono dziewicze

dziś bądź przeklęty!

Ty w piersi tłumieś mej znicze

I ogień gasiłeś w niej święty.

W me słowa wlewałeś gorycze

Dziś bądź przeklęty!

Do dzisiaj mnie trele słowicze

I marne kusiły ponęty

Lecz teraz jak burza zaryczę!!!

Dziś bądź przeklęty!

Noc długo rozbrzmiewała gromowym echem tych stów. Wobec tego wrażenia Irenka nie powiedziała nikomu, tylko pod najgłębszym sekretem panu Podkówcę, że służebne dziewczęta, znalazłszy za oknem pancierz ciotki Amelii, długo rozmyślały, do czego ma służyć dziwna ta maszyna. Wiedzione jednak dobrym instynktem, zasznurowały w nią wreszcie cielę, podejrzane o to, że ma „opuszczenie żołądka” i wskutek tego odmawia spożycia pokarmów. A cielę do wieczora zdechło.

- Nie trzeba tego mówić ciotce - szeptała Irenka.

- Pewnie, bo jej będzie wstyd - rzekł pan Podkówka.

- Ej, nie to! - rzekła Irenka. - Tylko że napisze wiersz na śmierć tego cielęcia.

Rozdział piąty

Na czystym, rozelśnionym, zimowym niebie ukazała się chmura i wlokła się powoli w stronę białego domu.

Pan Borowski długo chodził po pokoju, wreszcie kazał przywołać Irenkę.

- Moje dziecko - rzekł dobrym, ściszym głosem - czy potrafiłabyś uczyć się sama?

Irenka odgadła wszystko od razu. Oczy jej bardziej jeszcze pociemniały i tak wyglądały, jakby na nie padła ciemna mgła.

- Ja potrafię - odpowiedziała - ale pan Podkówka ma bardzo biedna matkę.

Ojciec rozłożył ręce bolesnym ruchem i spojrzał na nią prosząco.

- Rozumiem - dodała Irenka spuszczaając głowę. - Tatusiu!

- Co, moje dziecko?

- Czy nie ma żadnego sposobu?

- Rad bym z całego serca, ale nie mogę, córeczko, nie mogę!

- A czy może on zostać jeszcze przez święta?

- Oczywiście, oczywiście! - odpowiedział ojciec pośpiesznie. - Po świętach dopiero powiem mu o tym. Żal mi go tak, że wypowiedzieć tego nie mogę...

- Ja wiem, tatusiu.

Irenka tak przygasła, że wszyscy patrzyli na nią z niepokojem. Jeden pan Borowski wiedział, czemu dziewczyna spogląda smutno na pana Podkówkę, kiedy chłopczysko patrzył w inną stronę, i nagle uśmiecha się, kiedy na nią spojrział. Pan Podkówka w wyborzym był humorze. Posłał matce opłatek i wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Rozpierała go radość i nadmiar ciała, gdyż wspaniale odkarmił się w tym domu: jeżeli jeden guzik przy kamizelce pękał od naporu radości, drugiemu za to groziło to samo z przyczyn bardziej materialnych. Potężnie śpiewał kolędy w dzień Bożego Narodzenia i wybornie uczcił Pana Boga. Ciotki patrzyły na niego łaskawie, z wdzięcznym pobłażaniem dla rozigranej młodości.

Kiedy zaś w kilka dni po świętach pan Borowski wezwał go na dłuższą rozmowę, Irenka usiadła w kącie i nieruchomym wzrokiem patrzyła, jak się za oknami miota wichura. Dobry pan Podkówka zginie w niej niedługo, uniesiony daleko jak liść. Wyszedł on z gabinetu pana Borowskiego blady i ze śladem łez w poczciwych, mrużących się oczach. Nie to go bolało, że traci posadę, lecz że musi odejść z tego domu, gdzie mu było tak nieskończenie dobrze, gdzie było kilkoro ludzi dziwacznych, lecz wszyscy niewypowiedzianie zacni. A najbardziej, najserdeczniej było mu żal tej cudownej dziewczyny, co go nauczyła śmiechu, radości i młodości. Rozumiał racje pana Borowskiego i żegnał się z nim, rzuciwszy się mu w ramiona. A jednak krzywda mu się wielka stała, że tej ślicznej duszyczki, tak czystej jak nigdy nie zmacone źródło, i tak prawej, jak sama prawość, nie będzie już oświecał i nie będzie jej już pokazywał tych dalekości, które zaledwie przed nią zamajaczyły. Dlatego miał ciężkie łzy w oczach.

- Niech się pan na nas nie gniewa - zaszemrał głos z kąta.

Pan Podkówka odwrócił się szybko i ujrzał skurczoną na fotelu Irenkę.

- Irenko droga - rzekł dziwaczny głosem - ja będę za was modlić się przez całe życie... Tacy jesteście dobrzy. A za ciebie, dziecinko, będę modlić się najgoręcej. Ech, co tam! Po co my o tym gadamy? Wszystkim ciężko, więc dlaczego mnie ma być lżej? Ja już umiem cieszyć się, a przedtem tego nie umiałem. Co tam! Było nie było... jeszcze się w życiu spotkamy. Głowa do góry i śmiejemy się! Ha!

Wobec tego rozpląkał się jak dziecko i uciekł z pokoju.

Żegnali go wszyscy jak kogoś bardzo bliskiego. Pani Borowska ucałowała go serdecznie, jak biednego brata uściskał pan Borowski. Ciotki Amelia spłakała się uczciwie, a ciotka Barbara objęła go mocnymi ramionami i dławiąc swój wstyd dziewiczy, ucałowała go w czoło. Biedny Podkówka miał wrażenie, że ktoś mu z bicza trzasnął nad głową. Potem poszedł żegnać się do babki.

- Witam pana, witam! - krzyknęła babka wesoło.

- Ja, proszę pani, przyszedłem się pożegnać.

- Jak to, pożegnać? A czy pan tu był?

- Prawie przez dwa lata! - huknął pan Podkówka.

- To dziwne! - krzyknęła babka. - Nigdy pana nie widziałam...

Irena sama powoziła, odwoząc go na stację kolejową. Dzień był piękny, świat wyglądał tak biało, jak chałupa wybielona na święto. Czasem patrzyła spod oka na swojego nauczyciela, co zachłannym, głodnym wzrokiem ogarniał niebo i las, i pola śpiące pod pierzyną śniegów. Chciał to wszystko zabrać w mroźnym, błękitnym wspomnieniu do miasta, w którym tylko najwyższa wieża ogląda czasem te cuda z daleka. Irenka, którą kochał najwięcej po matce, obiecała, że jeśli będzie kiedy w Warszawie, natychmiast da mu znać o tym. Jeszcze z nią nie pożegnał się, a już myślał o tym radosnym spotkaniu. Patrzył na nią i mówił do siebie:

„Jak to być może, aby takie maleństwo mogło wszystkich dokoła nauczyć radości? Gdyby nie ona, smutno byłoby w białym domu. Biedny pan Borowski wtedy tylko śmieje się, kiedy ją widzi i słyszy. Ja byłem jak drąg, aż za jej sprawą coś odmieniło się we mnie. Ona nawet o matce mojej pamięta... Wielka sztuka! Ona o wszystkim pamięta. Mocna dziewczyna! Płakać się jej chce w tej chwili, a do mnie uśmiecha się, aby mnie nie było smutno. «Panna z mokrą głową»! Jasno byłoby na świecie, gdyby wszystkie panny były takie. Dobrze, dobre dziecko... Niech ci Bóg błogosławi!”

Nie umiał tego wszystkiego powiedzieć przy pożegnaniu, bo go ścisnęło coś za grdykę. Coś tam zaczął bąkać, a ona też.

Wreszcie rzucili się sobie w objęcia. Pan Podkówka płakał, jak gdyby miał cztery lata, a Irenka przypominała sobie najlepsze czasy. Dawno już, dawno nie wylała tyle łez, ile ich wylała w tej chwili, na intencję swego dobrego towarzysza, wesołego pana Podkówki.

- Psiakość! - krzyknęła nagle. - Byłabym zapomniała. Pobiegnę do sanek i odwiążę przytroczony z tyłu tobół.

- Niech pan to zabierze do wagonu - rzekł? szybko.

- A co to jest?

- To nie dla pana, to dla pańskiej matki.

Potem stała długo jeszcze, chociaż oddal zaśnieżona połknęła pociąg jak gąsienicę.

Nazajutrz zwołała na naradę obie ciotki: wyglądało to tak, jak gdyby młody jastrząb wezwał na konferencję dwie zastrachane kuropatwy. Ciotki, nie wiedząc nic o sprawach tego świata, były przerażone, dowiedziawszy się, że pan Podkówka był ofiarą oszczędnościowych konieczności i że nawet taka nieznaczną pozycją, jak jego płaca, musiała zaważyć na okrojonym budżecie. Wszechwiedząca Irenka tłumaczyła im jasno, w sposób najbardziej przystępny, że im krowa jest chudsza i im mniej dostaje pożywienia, tym mniej daje mleka. Ten ostatek ziemi, przy którym utrzymać się zdołał pan Borowski, był krową bardzo chudą. Coraz więcej było skóry i kości, coraz mniej krowy. Irenka wie o tym dobrze. Wszyscy myślą, że ona dlatego napełnia dom całym graniem i śpiewaniem, że ma pstro w głowie. A to nieprawda. Ona pragnie, aby matka zapomniała o tym wszystkim, co trapi ojca, a ojciec, żeby chociaż raz jeden uśmiechnął się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kiedy bowiem jest sam, nigdy się nie uśmiecha. Czasem głowę rękami obejmie, oprze łokcie o stół i godzinami tak siedzi, nieruchomy. Ciotki o tym nie wiedzą, nikt o tym nie wie, ale ona wie. Płacić trzeba wciąż i wciąż, a nie ma z czego. Czy ciotki widziały, że we włosach pana Borowskiego pokazały się siwe pasma, jak gdyby był we młynie i osypała go mąka? Niech się przyjrzą. On ciągle jest w młynie, w którym troska miele zgryzotę. A nocą czasem chodzi długo po pokoju, co można słyszeć doskonale. Jak gdyby pielgrzymkę odprawiał. Po takiej nocy nieodmiennie przyjeżdża ten chudy, smętny pan z czarna teką i długo rozmawia z panem Borowskim. Irenka wie doskonale o tym, kiedy ten pan ma się zjawić.

- Czy ciocie myślą - mówiła zamyślona - że tatuś byłby odprawił pana Podkówkę, gdyby nie musiał?

- Boże, Boże, co to będzie? - westchnęła ciotka Amelia.

- Poradź, Irenko, ty wszystko wiesz.

Irenka nie wiedziała, jak pomóc biednemu ojcu. Myślała długo, potem rzekła:

- Tylko nie płaczmy, bo tatusiowi będzie przykro. Cóż my możemy poradzić?

Ciotki jednak cichutko szwargotały przez pół nocy, rozchodziły się i znowu do siebie wzajemnie powracały: szeptały o jakichś sprawach, bardzo ważnych i smutnych zarazem, bo często ciche było słyhać westchnienie, jak gdyby kto niewinnego za gardziołko dławił ptaszka. Wszystkie gniewy, octy i kwasy wsiąkły w noc jak w niezmierną gąbkę, a w dobrych ciotczyńskich sercach, jak czysta woda w źródłkach, zaczęła bulgotać słodycz i tkliwość. A rano zapukały nieśmiało do pana Borowskiego, który zatrwożył się, widząc na ich twarzach niezwykłą powagę. Zdawało mu się w pierwszej chwili, że się pomylił i że to nie ciotki przed nim stoją, bo w oczach miały tyle wzruszenia, że padał z nich lekki, perłowy blask na twarze i dokonał najdziwniejszej przemiany: ciotki były niemal piękne.

Dygnęły obie w jednym taktie, następnie Amelia zaczęła mówić, a Barbara potwierdzała prawdę każdego jej słowa pochyleniem głowy, nie pomijając oddać tej niemej czci wszystkim zaimkom i przyimkom. Kiedy Amelii brakło słowa, Barbara zatrzymywała ruch głowy w połowie i znowu zaczynała nią kiwać, kiedy Amelia znalazła słowo na dnie duszy jak kamień na dnie jeziora.

Amelia mówiła wzruszona:

- Od osoby godnej zaufania dowiedziałyśmy się, że kochanemu panu kuzynowi jest bardzo ciężko. Żli

ludzie nastają na kuzyna i zatruwają mu życie. Osoba ta, godna zaufania, powiedziała nam, że kuzyn martwi się po nocach i nie sypia. O, niech kochany kuzyn nie przerywa... Barbara i ja bardzo wzięliśmy to do serca. My wiemy, że jesteśmy ciężarem. Niech kuzyn nie przeczy!... Biedne, stare panny. (w tym miejscu zadławiło coś ząną ciotkę Amelię, a ząną ciotka Barbara wstrzymała ruch głowy).. tak, nie wstydę się tego powiedzenia! Otóż my, biedne stare panny, korzystamy z dobroci drogiego kuzyna... A kuzynowi ciężko... Postanowiłyśmy więc uczynić, co w naszej mocy, aby w tych złych dniach ulżyć kuzynowi... Niech to kuzyn weźmie... To same drobnostki, mało warte... A chusteczkę ofiarowała babcia... Ale może przydadzą się choć na spędzenie jednej troski... Basiu, daj kuzynowi to, o czym wiesz...

Pan Borowski patrzył i słuchał zdumiony. Barbara sięgnęła za gors i wydobywszy małe zawiniątko, z jedwabnej uczynione chusteczki, starej i wystrzępionej, położyła je na stole nieśmiało, miękkim ruchem.

- Na Boga! Co to znaczy? - pytał z wielkim zakłopotaniem pan Borowski.

One nic nie odpowiadały, tylko spłonęły lekkim, lecz bardzo szczęśliwym rumieńcem: więc odwinął płaty starej chusteczki, jak płaty zwiędłej róży, i nagle pochylił głowę, jak gdyby chciał ukryć swoje oczy, bo nie lubił, aby kto widział jego wzruszenie. Patrzył na niego jednym turkusowym okiem mizerny, paniński pierścionek, zaczerwienił się blado sznurek koralików; wśród skarbów tych była i ogromna broszka z wyobrażeniem pięknej głowy młodego neapolitańczyka, i srebrna własną pychą wydęta bransoletka: a wśród tego Sezamu tykał wesoło mały zegarek, który ongi strojnisi przypinały sobie na piersi, jak medal dany im przez Czas za waleczność wielu smutnych dni. Pan Borowski dotykał wszystkiego po kolei, a widać było, że ręce mu drżały.

Spojrzał potem długim i wilgotnym spojrzeniem na wzruszone twarze ciotek. W tej chwili obie znowu były piękne.

Mówił cicho:

- Ja tego przyjąć nie mogę... Jesteście bardzo, bardzo zacne, ale ja tego nie wezmę. „Osoba godna zaufania” przesadziła, opowiadając wam niestworzone rzeczy... To jeszcze nie powód, abym was obdzierał z ostatnich skarbów... Moje drogie panienki! Zabierzcie to wszystko... Niech chęć starczy za uczynek... A ja wam to tylko powiem, że jak długo ja będę miał kawałek chleba, to się nim z wami z całą radością podzielę. A teraz tym bardziej... Wiedziałem, że jesteście dobre, ale nie przypuszczałem, żeby aż tak... No, no! Tylko bez łez! Trochę mi ciężko, ale nie tak jeszcze. Niech wam to jednak Bóg pamięta... ja nigdy nie zapomnę... Nigdy...

Owinął skarby w chusteczkę i podał zawiniątko Barbarze. Ona jednak jedną ręką natychmiast otarła łzy, a druga wyciągnęła przed siebie tragicznym ruchem.

- Przysięgłyśmy sobie - zawołała gromko. - My tego z powrotem nie weźmiemy!

Pan Borowski, widząc ten gwałtowny wybuch, zwrócił się do Amelii, ta jednak dodała niezłomnie:

- Jeśli kuzyn tego nie przyjmie, rzucimy to w wodę!

Pan Borowski ważył w ręku ten sierocy skarb pokornych, jak gdyby ważył dwa ludzkie serca, Zrozumiał, że większą im krzywdę uczyni, jeśli nie przyjmie tego daru, niż wtedy, kiedy go zatrzyma.

- Dobrze - rzekł - przyjmuję!

Im twarze pokraśniały i zjawił się na nich uśmiech: jesienny, słodki uśmiech. Dygnęły uroczyście i zwróciły się ku drzwiom.

- Jeszcze chwilę, moje kochane - rzekł pan Borowski.

- Ta „osoba godna zaufania”, to Irenka, nieprawdaż?

Jedna ciotka spojrzała na drugą i odpowiedziały równocześnie:

- O tym nikt się nie dowie!

Pan Borowski wiedział jednak, że to Irenka. Bynajmniej go to nie zdziwiło, niepomierne za to zdziwiły się ciotki.

- Skąd on to mógł tak od razu wiedzieć, że rozmawialiśmy z Irenką? - mówiła Amelia do Barbary.

- Rozumny człowiek! - rzekła Barbara z uznaniem.

Były zadowolone z siebie i szczęśliwe: zwiędłe serca, zbudzone przyplływem gorącej fali krwi, śpiewały w nich jak ptaki o świtaniu, Patrzyły z radosną dumą na boży świat, a Amelia, dusza tkliwa i napełniona poezją, czuła najwyraźniej, że u jej ramion wyrastają skrzydła.

Pan Borowski przyjrzał się raz jeszcze rozrzewnionym wzrokiem biednym ich bogactwom, westchnął ciężko i położył je na biurku. W tej chwili usłyszał za oknami wojenną wrzawę Irenki, co pochyłona nad kopczykiem, uczynionym ze zgarbnętego śniegu, wydawała krótkie, urywane wrzaski, a jej obłąkany pies rozgarnywał śnieg mocnymi łapami. Pan Borowski zastukał palcami w szybę i dał jej znak, aby natychmiast przysłała do niego. Irenka kiwnęła głową, że rozumie, potem, spojrzawszy na kopczyk śniegu, zaczęła drapać się w głowę. Przez krótką chwilę patrzyła niepewnym wzrokiem w stronę domu, wreszcie krzyknawszy psu jakieś tajemne rozkazy, pobiegła do pokoju ojca.

Wpadła zadyszana, oszroniona, osypana śniegiem i mówiła szybko:

- Jestem, tatusiu! Niech tatuś mówi prędko, bo życie ludzkie jest w niebezpieczeństwie!

- Nie życie ludzkie, tylko twoja skóra jest w niebezpieczeństwie - rzekł ojciec. Wymówił groźnie te wyrazy, ale dość miękko. - Coś ty nagadała ciotkom?

- Ja? Ciotkom? Może mi cośkolwiek się wymknęło, a ciotki robią zaraz ze wszystkiego wielkie historie. Ja już sobie z nimi pogadam!

- Wcale sobie z nimi nie pogadasz, bo wtedy ja z tobą pogadam. Czy wiesz, co zrobiły ciotki?

- Jak Boga kocham, że nie wiem...
- Zawróciłaś zaczynam kobietom w głowie, nagadałaś im niestworzonych rzeczy... Czemu ty ciągle wyglądasz przez okno?
- Nic, nic... Niech tatuś mówi.
- Oto poczciwe ciotki zebrały cały swój majątek... Irenko! Mówię do ciebie, patrz mi w oczy, nie w okno!... Ten cały majątek: broszki, pierścionki i bransoletki przyniosły do mnie, aby mnie poratować. To bardzo piękne, moje dziecko, ale niepotrzebne. Wezwałem cię, Irenko, aby ci o tym powiedzieć. Wiem, że kochasz te zacne kobiety, ale trzeba je kochać jeszcze więcej... Czy ten twój pies oszalał? Czego on tak wyje?...
- On, ma swoje powody - rzekła Irenka z przekonaniem. - A ciotki będą bardzo, bardzo kochała.
- To dobrze. Widzisz to zawiniątko?
- Widzę.
- To cały ich majątek. Schowam go do tej szuflady wraz z karteczką, na której będzie napisane, że to ich własność. Kiedyś albo ja im to zwrócę, albo ty. Będziesz pamiętać?
- Będę, ale ja już muszę iść.
- Poczekaj chwilę... Otóż twoim będzie obowiązkiem...

Pan Borowski nie dokończył, bo idąc za jej wzrokiem spojrzął za okno, gdzie się coś dziwnego odbywało. Przyjrzał się pilnie zbliżywszy twarz do szyby i ujrzał, że kopczyk śniegu usiłuje się poruszyć, a zwariowany pies rozgrzebuje go, przeraźliwie szczekając.

- Co tam się dzieje, Irenko?

Irenka odrzekła ze śmiertelną powagą:

- Podróżny zabłądził wśród zamieci i śnieg go zasypał. Ale ja i pies z Góry Sw. Bernarda usiłujemy go ocalić.

Panu Borowskiemu zaczęło coś świtać w głowie.

- Na Boga! Jaki podróżny?
- To Jasia tak zasypało - odrzekła smutno Irenka.
- Ależ on się udusi! - krzyknął ojciec.
- Bardzo możliwe, jakoś przestał się ruszać. Gdyby tatuś mnie nie był zawołał...

Pan Borowski już tego nie słyszał, bo wybiegł w najwyższym pośpiechu i po chwili odgrzebywał swego syna spod sterty śniegu. Można było osądzić na oko, że w sam czas, bo lekkomyślny podróżny ledwie zipał. Ojciec ujął go w ramiona i czym prędzej zaniósł go do pokoju, gdzie zapobiegliwe starania przywróciły mu życie i zdolność myślenia, która była bliska zamarznięcia. Jaś spojrzał przerażonym wzrokiem i, teraz dopiero zrozumiawszy swoją krzywdę, już otworzył usta, jak wrota wielkiego i tłustego miasta, aby ją ojcu i całemu ośnieżonemu światu ogłosić przeraźliwym krzykiem. W tej chwili jednak spotkał się z roziskrzonym wzrokiem Irenki i ostatnim wysiłkiem wtłoczył krzyk z powrotem do brzucha.

- Kto cię zakopał w śniegu? - pytał ojciec groźnie.

Odpowiedź na pytanie była łatwa, bo zbyt oczywista. Wobec czego Jaś zwrócił uwagę w stronę Irenki, lecz od razu wyczytał w jej oczach, że, jeśli nie okaże się raz w życiu bohaterem, zginie w mękach, będzie łamany kołem, obłany naftą i podpalony od strony głowy.

- Ja sam! - odrzekł niepewnie.

Pan Borowski uśmiechnął się niewidocznie.

- Jeżeli zakopałeś się sam, nie ma o czym gadać. Ale jeśli jeszcze raz sam się zakopiesz, sam się też będziesz ratował. Rozumiesz?

- Irenka mnie zawsze wyratuje! - odrzekł pędrak z głębokim przekonaniem. - I Drab też.

- Drab? Dobrze, żeś mi przypomniał tego powsinogę. Irenko, gdzie jest pies?

Irenka rozłożyła bezradnie ręce i wierzgnęła równocześnie lewą nogą, aby na wypadek, gdyby Drab wlaźł za całym towarzystwem do pokoju, wtłoczyć go pod kanapę. Okazało się jednak, że mądry pies zwiął przezornie na samym początku awantury, słusznie rozumując, że jeżeli pan Borowski wmieszał się do zabawy, w takim razie cała sprawa nie była zupełnie czysta. Ukazał się na widowni dopiero nazajutrz, zapytując Irenkę wzrokiem, czy atmosfera jest już bezpieczna.

- Już można - mrugnęła do niego Irenka - ale za bardzo nie leż w oczy.

Do Jasia zaś powiedziała cicho:

- Pomyliłam się. Z ciebie, Jasiu, będą jeszcze ludzie. Jestem z ciebie zadowolona,

Żołnierz, któremu na polu wódz krzyż do piersi przypina, nie ma tak dumnej miny, jaka w tej chwili miał tłusty i różowy Jaś. Od dawna już wiedział, że dobre stosunki z Irenką, chociaż grożą czasem skręceniem karku w porze letniej, a uduszeniem w zimie, są jednak cenne i zajmujące. Byłby też poszedł za nią na śmierć, gdyby wiedział, jak to się robi, i stroił miny zuchwałe i bohaterskie. Przysięgłszy, że wiernie dochowa tajemnicy, chociażby go „wbijano na pal”, coraz częściej brał udział w wyprawach niebezpiecznych i krew w żyłach mrozących, bo od wielu dni był mróz. Czasem z wielkiego strachu zamykał oczy, ale szedł na zatracenie na ciemny strych, gdzie w każdym załamaniu dachu mieszkało widmo, a obok komina grzały się zziębnięte upiory. Pani Borowska

niepokoiła się, nasłuchując, jak Jaś przez sen wydaje okrzyki i mordercze głosy. Łatwo to jednak można było przypisać niestrawności, rzadko bowiem który z znanych bohaterów objawiał taką potężną namiętność do jedzenia. Była to słaba strona tej dzielnej duszy. Można było polegać na tym mężu, wiernym i coraz bardziej walecznym, lecz nie można było być pewnym, czy za placek ze śliwkami lub za marną miskę konfitur nie sprzeda wrogom twierdzy i najgłębszej nie zdradzi tajemnicy. Achilles miał tajemnicę w pięcie, a Jaś w żołądku. Nie znające słabości serce Irenki często nad tym płakało, myśląc, że obżarstwo zeżre działalność tego obżartucha.

Ona mogła wytrzymać głód i pragnienie. Zdrowa jak ryba, giętka jak leszczyna, zręczna jak sarna, a silna jak śliczne, drapieżne zwierzątko, miała w żywej pogardzie wszelkie słodycze i marcepany. Mogła jeść kapustę z konfiturami albo lody z tłuczonym grochem, albo suchy chleb. Okoliczne panienki - a dość było w sąsiedztwie tego tałałajstwa - blade i smutne, jak kwiaty drżące przed chłodem, patrzyły zdumionymi oczyma na to dziwo, które w celu skrócenia sobie drogi skakało konno przez rowy i płoty, na tę dziką dziewczynę, co gdziekolwiek się znalazła, natychmiast obejmowała rządy, a nikomu przez myśl nie przeszło, aby mogło być inaczej.

Czyniła to tak radośnie i z takim ujmującym wdziękiem, że nikt jej nie zazdrościł. Mogła wprowadzić pobić całe zgromadzenie, choćby najliczniejsze, ale zdarzało się to niezmiernie rzadko, nie było bowiem potrzeby wobec powszechnego uznania jej duchowej przemocy.

Lubiła wszystko załatwić sama, bez odwoływania się do cudzej pomocy, co zajmowało wiele czasu i wywoływało długie gadaniny, kiedy należało rozstrzygać szybko.

W jakiś tydzień po próbie uduszenia Janka w śnieżnym grobie, Irenka, leżąc w łóżku, nasłuchiwała płaczliwego opowiadania wichru o tym, że jest bardzo nieszczęśliwy. Cały dom spał w zimie bowiem wcześniej usypiał. Czasem gdzieś daleko we wsi zaszczekał smutno i niechętnie zziębnięty pies, jak gdyby szczekaniem chciał odstraszyć mróz cicho stąpający, a czasem jęknęło drzewo, któremu wiatr usiłował wykręcić zgrabiałe ramiona. Pies Drab musiał być gdzieś na polowaniu, bo go już nie było wieczorem, inne psy musiały zapewne zagrzebać się w sianie, machnąwszy łapą na wszystko w taki czas.

Nagle wydało się Irencie, że słyszy jak gdyby brzęk szklany. Podniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Nic nie słychać, tylko wiatr. Znowu zabrzączało cichutko, jakby ktoś wytłaczał szybę. Krążąc słuchem po wielkiej ciszy domu, Irenka doszła do przekonania, że coś dziwnego odbywa się w gabinecie ojca, naprzeciwko jej pokoju. W gabinecie tym nie było nic takiego, na co mógłby się zląkomić nocny złodziej. Gospodarskie książki, sarnie rogi, trochę broni i ciężkie meble. Nikt nie obłowiłby się wśród tego mizeractwa. Nigdy zresztą nie zdarzyło się, aby się złoczyńca zakradał do białego domu. Jeżeli jest przy zdrowych zmysłach, wie o tym zapewne, że pan Borowski pieniędzy nie ma i dlatego nigdy nie zamyka biurka nawet na noc. Ach! W tej chwili jest tam w biurku po prawej stronie ubożuchny skarb ciotek. Nikt o nim nie wie, ale ten jakiś zrotpaczony człowiek, który usiłuje dostać srę do gabinetu, znajdzie go i zabierze. Irenka drgnęła. Nie będzie nikogo budzić, bo ani nie starczy na to czasu, ani też nie chce przerazić matki i ciotek. Babka i tak nie usłyszy, ale inni się przerażą. Nie dokończyła rozważań, a już była ubrana. Zapaliła świecę i osłaniając ją ręką, stanęła pod drzwiami gabinetu, nasłuchując. Tak, tam ktoś jest. Co czynić? Jeśli wejdzie nagle, może narazić się na to, że ten ktoś rzuci się na nią i unieszkodliwi. Gdyby krzyknęła, rozbudzi cały dom, a nocny gość ucieknie. Myśli latały po jej głowie, jak nietoperze, szybko i bezszelestnie. Wprowadzić

nie lęka się, ale jest jej niemiło. A może myli się? Może jej się przestęsało? To byłoby najlepsze. Strach pomyśleć, że tam ktoś kradnie. Jeśli był głodny, mógł przyjść za dnia i nakarmiono by go, gdyż w tym domu nie odmówiono nikomu jeszcze chleba. Wiedziano o tym na dwadzieścia mil dokoła. To nie głodny, to ktoś inny.

Starła uspokoić się i działać przezornie, a mądrze. Odeszła cichutko od drzwi i nagle zaczęła powracać w to samo miejsce, cicho sobie podśpiewując, jak ktoś, co niczego nie podejrzewa i przypadkiem przechodzi. Ten ktoś, jeśli był w gabinecie ojca, musiał ją słyszeć. Przeczekała krótką chwilę i chociaż serce w niej tłukło się jak ptak, otworzyła drzwi. Weszła śmiało, jak gdyby na nic nie zwracając uwagi. Spłoszony szelest upewnił ją, że ktoś znajduje się w pokoju i że ukrył się szybko. Płomień świecy chwiał się i zataczał. Irenka zdołała jednak dojrzeć kąciakiem oka, że wiszące na ścianie futro ojca napełniło się czymś znacznie grubszym niż powietrze i jak gdyby znudziło mu się wisieć na gwoździu, postarało się o parę nóg, ciężko obutych, które starały się nie zwracać niczyjej uwagi tak długo, aż niepożądana osoba ze świecą pójdzie tam, skąd przyszła. Nieruchome buty rozumiały, że ten cienki głos, tak spokojnie sobie nucący, nie przeczuwa ich obecności i nie należy go obawiać się.

Irenka najspokojniej w świecie zbliżyła się do biurka, ale baczna i czujna. Trochę ręce jej drżały, kiedy zwinnym ruchem zdjęła dubeltówkę ze ściany. Wymierzyła ją w futro, dotknąwszy go niemal lufą, i głosem, który wydał się jej straszliwym, krzyknęła:

- Wyłaż pan!

Spoza futra wyjrzała zdumiona i przerażona głowa, mocno kudłata i mocno nieprzyjemna. Spojrzały na nią rozbiegane, sprytne oczy, badając przenikliwie sytuację. Błysnęły żywiej, ujrzawszy wysoką wprawdzie, lecz bardzo młodą dziewczynę, wnet jednak pociemniały, zrozumiawszy, że dziewczyna jest tylko skromnym dodatkiem do strzelby, która wpiła w niego czarne oczodoły luf.

- Ręce do góry! - krzyknął groźny duch Irenki, ona sama bowiem nie mogła zakrzyknąć tak potężnie.

Spoza futra wysunęła się powoli wielka ludzka bryła, z której można było wykroić ze dwóch ludzi mizerniejszej postawy. Podniosły się w górę dwie ręce, z których można było sporządzić konary dla młodego dębu. Zjawisko było groźne, cień bowiem tego człowieka rozpostarł się w ogromnym zwiększeniu na ścianach i powale. Irencie uczyniło się cokolwiek słabo w okolicach żołądka, na co jednak jej serce nie zwróciło uwagi. Przez krótką chwilę chciała uciec, ale nie mogła dźwignąć nóg, które nagle stały się ciężkie i wyraźnie wrastały w podłogę.

„Boże drogi, co to będzie?” - pomyślała ciężko.

Nocny dryblas musiał zauważyć, że duch w niej zachwiał się, więc uczynił nagły ruch. Irenka cofnęła się w tej chwili o krok i podniosła strzelbę, mierząc wprost w szerokie jego piersi.

- Po coś tu przyszedł? - krzyknęła nagle zdławionym głosem.

- Zabłądziłem... - mruknął olbrzym. - Zimno było... Wszedłem przypadkiem...

- Przez okno?

Zgrzeszyłem! Moja wina... Niech mnie panienka puści.

- Ani myślę!

Przecież mnie panienka nie zastrzeli?

- Zastrzelę albo nie zastrzelę. Zaraz zbudzę cały dom!

- To i co? Pana Borowskiego w domu nie ma, tylko same baby.

- Jest, jest! Mój ojciec jest. A wyście myśleli, że go nie ma?

Gość spojrzał ciemno i stał się czujny.

- Ukradliście co? - zapytała Irenka,

- Nie! Nie przyszedłem kraść... Wlazłem, to i wylezę. Niech panienka strzelbą nie grozi. Pójdę sobie, i tyle...

- O Jezu! - krzyknęła nagle dziewczyna.

Wielki chłop, patrząc pilnie w jej oczy, spuścił nagle obie ręce jak cepy, zagarnął w nie strzelbę, usunął lufę od swojej piersi, wyrwał jej dubeltówkę z rak i błyskawicznie w nią wymierzył.

- Teraz ty, gołąbko, odrobinę sobie postoisz. Rączki do góry! Dzielna pannica, nie ma co, ale jak krzykniesz, to dwa naboje wpakuję w ciebie. Nie będziesz krzyczeć? To dobrze! Mądra dziewczyna. Mówiłem ci już: ręce do góry!

Wtedy padł grom z jasnego nieba na kudłatą głowę opryszka. Irenka zaczęła się śmiać. Gdyby ten człowiek miał wyrobione, muzykalne ucho, byłby zauważył, że śmiech ten dziwnie przypomina suchy trzask kastanietów albo metaliczne dzwonienie zębów o zęby.

- Głupi jesteś! - powiedziała nieswoim głosem. - Strzelba jest nie nabita. A ja tu mam na ścianie drugą.

- Ach, ty czorcie! - zawyło wielkie chłopisko.

Odwrócił strzelbę, ujął rękoma za lufę, a kolbą zamierzył się na Irenkę, której pociemniało w oczach. W tej chwili załomotało straszliwie, bo strzelba wypaliła z obu luf. Irenka zachwiała się i krzyknęła przeraźliwie, a chłopem rzuciło pod ścianę. Był tak zdumiony, że oczy postawił w słup. Jakby nie rozumiejąc, co się stało, chwiał w obie strony głową pełną huku i łoskotu, wreszcie, całkowicie ogłupiały, obejrzał się poza siebie, jakby własnego tam szukając trupa.

- Tatusiu! - krzyknęła Irenka.

Pan Borowski stał we drzwiach z rewolwerem w ręku, nie mniej zdumiony niż kudłaty opryszek. Za nim w ciemnościach wstawały krzyki, narzekania i płacze, za oknami słychać było ujadanie psów i ostre gwizdy nocnego stróża, którego obudził huk z czujnej drzemki. Gdzieś w oddali słychać było krzyk babki:

- Kto umarł? Powiedzciez mi wreszcie, kto umarł?

Kiedy nocnego gościa wyprowadzono w mocnym towarzystwie, Irenka rzuciła się z płaczem w ramiona ojca. Dziewczęce serce przeraziło się własnej odwagi.

- Tatusiu... - płakała cicho - ja już nigdy nie będę... To było straszne...

- Myślę sobie! - mruknął pan Borowski. - Strzelba ma dwie lufy.

Rozdział szósty

Irenka była nieco zdumiona, że ojciec nie tylko nie słał jej bohaterstwa, ale raczej przeraził się nim i wcale chmurno o nim wspominał. Nią także silne wzruszenie wstrząsnęło zbyt gwałtownie. Noc miała niespokojną, a ile razy szafa trzasnęła, grzejąc się przy piecu, Irence zdawało się, że strzelają do niej ze stu strzelb, więc się zrywała w nagłym strachu. Nie mogła myśleć o tych ciężko obutych nogach przy ścianie i o kudłatej głowie, ukazującej się powoli. Była zadowolona, że kudłata głowa, wzięta pod straż na folwarku, okazała zdumiewający spryt i wysadziwszy drzwi, nie przygotowane do roli drzwi więziennych, uciekła przed świtem, zabrawszy na tułaczkę niewinnego prosiaka. Zawsze we dwóch ucieka się raźniej.

Czujny i wierny pies Drab zjawił się w samą porę, w południe następnego dnia, zmęczony jakąś zbrodniczą wyprawą. Można było przysiąc, że gdzieś w zaśnieżonym lesie jakiś stary zając płakał nad stratą żony, która zapadła się pod ziemię. Irenka spojrzała na swego psa z pogardą.

- Twoją panią chcieli zamordować - mówiła cierpkim głosem - a pana psa ani śladu. Jesteś podły pies. Nie rób takich głupich min, bo mnie nie oszukasz, zły, wstrętny zwierzaku.

Pies Drab tłumaczył się gęsto merdaniem ogona, pokazywaniem białych kłów i cichym skomleniem, że miał do załatwienia sprawy bardzo ważne i nie cierpiące zwłoki. Tym razem jednakże nie udało się i pies wpadł w niełaskę. Zrozumiawszy, że sprawa jest poważna i żadne cygaństwo nie pomoże, podtulił ogon pod siebie i cicho łkając przepadł gdzieś wśród zabudowań. Miał taką minę, jak gdyby chciał powiesić się na pierwszej suchej gałęzi. Szkoda, że pozory tak często mylą.

Tymczasem owa chmura, co tak niedawno narodziła się na błękitnym widnokregu, zbliżała się, kierując swój lot ponad biały dom, co silniej oparł się na swoich sześciu kolumnach, jak gdyby przeczuwając wstrząs i jakąś groźbę. Źle dzieć się zaczęło w tym domu. Troska była w nim już od dawna, a teraz, jakby zimowym wichrem przyniesiona, powiała po nim zgryzota. Matka Irenki,

zawsze niedomagająca, z sercem chorym, nad którym ustawiczna wisiła groźba, rzadko kiedy wychodziła ze swego pokoju. Nie miała dość sił, aby wyjść z domu i przejść się po ogrodzie. Babka była wobec niej okazem zdrowia i tężyzny. Wciąż smutno zamyślona i gdzieś przed siebie bez celu patrząca, obejmowała nieraz ramionami dwoje swoich dzieci i kurczowo tuliła je do siebie, jak gdyby usiłowała swoim wątłym, wymizerowanym ciałem zasłonić je przed czymś niezmiernym, co czyha na nie, przyczaiwszy się w mrocznym kącie. Wtedy Irenka pilnie patrzyła w jej oczy, a matka odwracała nieznacznie twarz, aby jej dziecko nie widziało tego, co matka zawsze przed dzieckiem ukrywa: aby nie dostrzegło wielkich, ciepłych łez. Przed Irenką niczego ukryć nie było można. Irenka wiedziała. Wiedziała, że ta jej cichutka, schorowana matka zbiera wszystkie troski i zgryzoty całego domu i aby innym ulżyć, ukrywa je w swoim niemocnym sercu, że sama płacze, aby inni czasem uśmiechnąć się mogli. Tak bowiem od początku świata czyni każde serce matczyne.

Chociaż mało kiedy wychodziła ze swego pokoju, wiedziała o każdym drgnięciu domu i słyszała każdy w nim szmer. Często, głuchą nocą podnosiła się z trudem z łóżka i cichutko podchodziła do posłania jej albo Jasia i pochylała się nad nim. Irenka, udając, że śpi, widziała nieraz jej białą postać patrzącą przez mrok, czy jej dzieci śpią spokojnie. Najczujniej jednak nasłuchiwała powolnych, ciężkich, jakby ołowianych kroków swego męża, który szukał rady w mądrej ciszy nocy. Wreszcie jednego dnia zawołała do siebie Irenkę.

- Moje dziecko - rzekła cicho, pokazując jej list. - Nie trzeba, aby ojczulek wiedział o tym, bo nigdy nie zgodzi się, abym ten list wysłała.

Irenka spojrzała bystro.

- To do pani Opolskiej?

- Tak, do niej. Opolska jest moja najbliższą krewną. Długo, długo namyślałam się, zanim napisałam ten list. Ojciec męczy się i trapi. Może pani Opolska, która jest bardzo bogata, zgodzi się na niewielką pożyczkę, aby ojciec mógł odetchnąć... Widzisz, córeczko, ja ci dlatego o tym wszystkim mówię, że ty wszystko rozumiesz i że będziesz umiała dochować tajemnicy.

- Dochowam! - rzekła Irenka.

- Próbuję, a nuż się uda. Ojczulek może nam przebaczy, kiedy sprawa będzie załatwiona, zresztą będziemy starały się zachować tajemnicę jak najdłużej. Teraz o to idzie, abyś ten list sama zawiozła na pocztę i aby nikt o nim nie wiedział. Nie wiem, gdzie moja ciotka znajduje się w tej chwili, ale ma pałacyk w Warszawie, tam adresuję, a list ją gdzieś znajdzie. Zrobisz to, Irenko?

- Mamusiu! - szepnęła gorąco Irenka. - Ja go piechotą zaniosę do Warszawy.

- Nie potrzeba, nie potrzeba, moje dziecko. Zawieź go tylko na pocztę.

Irenka, przejęta tajemnicą, schowała list na piersi i odeszła z poważną miną,

Na pocztę do pobliskiego miasteczka jeżdżono w zimie raz jeden w tygodniu, bo droga była ciężka, a listów znikąd nie spodziewano się. Do tego „pocztowego” dnia było jeszcze daleko, a list ukryty

chyttrze w książeczce pt. „Bezgrzeszne lata”, która była źródłem niejednego szaleństwa Irenki, aż drżał z niecierpliwości, tak mu pilno było w drogę po pomoc. Irenka nie chciała go powierzyć nikomu, a najmniej jeżdżącemu po listy wyrostkowi, który nie zapowiadał niczym, że może zostać filozofem i wygadałby się od razu. Trzeba było zaryzykować. Toteż kiedy cały dom jeszcze spał, Irenka odziała się po cichutku i wśliznęła do stajni jak Cygan kradnący konie. Osiodłała swoją własną ładną szkapinę, spokojne stworzenie na wysłudze, i wyprowadziła ją aż na drogę. Tam dopiero dosiadła konia wyjechała w gęsty ośnieżony mrok jak w zamarzającą wodę. Obliczyła, że dojedzie na pocztę na godzinę ósmą, a o dziewiątej będzie z powrotem. Może zdarzyć się, że ojciec do tego czasu ani zajrzy do jej pokoju, ani nie będzie o nic pytał.

Do miasteczka jechała powoli, była bowiem dopiero godzina szósta i trzeba było brnąć przez zaspę, zbałwanione i wysokie. Mądra szkapina szła powoli, zajęta rozmyślaniami, co strzeliło do głowy młodej osobie, aby po ciemku brnąć przez śniegi? Młoda osoba patrzyła bystro przed siebie, aby nie zjechać z drogi na obłędne pola, mrok jednak rzedniał powoli, jak gdyby kto nalał do czarnej kawy odrobinę mleka, i gdzieś daleko dzień brnął przez głębokie śniegi, zapadając się po pas. Najpierw dostrzegły go wrony i zaczęły krakać zjadliwie - ciotki diabła, co nie lubią słońca. Po godzinie uczyniło się szaro, jakby ktoś nad całym światem zgrzebnie porozwieszał płótna. Irenka zagadała do konia i równo o godzinie ósmej stanęła przed urzędem pocztowym, który z trudem odemknął dopiero jedno okno, a na gwałtowne dobijanie się Irenki otworzył wreszcie drzwi, mocno zdumiony, że w małym miasteczku znalazł się po wielu, wielu latach ktoś, komu śpieszy się. Z powagą przyjął potem list, słuchając napomnień Irenki, żeby nie było żadnego cygaństwa i aby list natychmiast posłano do Warszawy, co solennie przyrzeczono.

Teraz trzeba było pędzić na złamanie karku. Irenka ogarnęła wzrokiem dobrze jej znaną okolicę, jakby szukając sposobu, czy nie da się przelecieć przez powietrze, pewniejsza jednak była jazda drogą zamuloną śniegiem, lecz wytyczoną przez drzewa. Zaczęła popędzać konia tatarskimi okrzykami, a od czasu do czasu przemawiała mu do rozumu, a koń, stary wyjadacz, zrozumiał, że widać trzeba gonić szybko, jego pani bowiem słynna jest z roztropności i wie, co czyni. Gnał też, jakby mu ubyło lat co najmniej dwadzieścia, i rwał z kopyta. Mróz gonił za nim i zachłannie chłonał w siebie buchającą z niego ciepłą parę, niepomiernie zdziwiony, że jest coś ciepłego tym świecie. Wkrótce ukazał się w oddali dach białego domu, wreszcie on cały wynurzył się z mętności poranka. Wiatr wiał z tamtej strony i Irenka usłyszała najwyraźniej krzyk od stajen. Skręciła przeto czym prędzej między opłotki, aby dotrzeć najkrótszą drogą i wjechać chyłkiem od strony folwarku. Krzyknęła na konia, mocno dyszącego, i zaczęła gnać na przełaj. Nagle wyszczerzył przed nią zęby płot. Irenka zdarła, konia do skoku, koń jednak, nagle osłupiały, pozostał z tej strony, a Irenka, uczyniwszy w powietrzu dwa misterne koziółki, przeskoczyła płot sama, jak sierota. Dała nurka w śnieżną zaspę, głową w dół, a śnieg rozprysnął się jak fontanna z mąki. Kiedy przetarła oczy, ujrzała, że koń, statecznie mądry, powrócił na prawidłową drogę, a ją własnemu pozostawił losowi. Nikt tego nie mógł widzieć z folwarku, więc porwała się czym prędzej i chyłkiem, jak lis, zaczęła biec ku domowi. Zdyszana i zziębnięta wpadła w mroczną sień, przemknęła jak duch cokolwiek ośnieżony do swego pokoju, wsunęła się do łóżka, nakryła kołdrą i zaczęła ściągać z siebie odzienie. Serce waliło w niej jak młot, który za wszelką cenę chce wbić gwóźdź w ścianę, tak że kiedy ktoś zastukał do jej drzwi, nie wiedziała od razu, czy to naprawdę ktoś stuka, czy to jej serce takie wyprawia harce. Usłyszała jednak głos ojca:

- Irenko! Twego konia ukradli!

- Masz babo placek! - jęknęła złamanym głosem.

- Wyjdź czym prędzej!

- Za chwilę wyjdę! - krzyknęła w stronę drzwi.

Skoro ukradli jej konia, trzeba go szukać. Starła się jednak zacząć te poszukiwania jak najpóźniej, wiele też minęło czasu, zanim znalazła się na folwarku wśród gromadki ludzi biadających nad niebywałą zbrodnią. Ogólna opinia zwała ją na tego kosmatego opryszka, co zaczął karierę od ukradzenia prosiaka, po wyłamaniu się z więzienia. Irenka wzniosła oczy do nieba, błagając je, aby jak najdłużej ukrywało konia wśród śniegów, niebo jednak, choć zachmurzone, nie miało zamiaru brania udziału w cygaństwie. Właśnie pan Borowski zarządził pogoń i rozsyłał ludzi we wszystkie strony, kiedy opłakany już koń, żadnego nie zdradzając wzruszenia, zjawił się w bramie jak koński duch i zdążył spokojnie ku stajni.

- O, o! Koń!... - krzyknęła Irenka.

Oglądano go ze zdumieniem. Koń był mokry i osiodłany. Ponieważ wiejskim ludziom wiadomo, że najmędrszy nawet bachmat nie umie osiodłać się sam ani wyjść sobie na poranny spacer z zamkniętej stajni, jasne było, że ktoś to uczynił za konia. Ale kto? Wiejscy ludzie zaczęli drapać się w głowy, chcąc z nich wygrzebać odpowiedź na to pytanie, wygrzebali jednak tylko trochę pierza i źdźbła słomy. Stary woźnica, nawykły do gadania z końmi, zwrócił się wprost do zmęczonej kobyły:

- Gdzieś była, wywłoko?

Kobyła odmówiła odpowiedzi.

Pan Borowski spojrzał podejrzliwie na Irenkę, która widząc, że trudno będzie udowodnić jej to końskie matactwo, z odwagą, wesoło uśmiechnięta, wytrzymała spojrzenie. Ojciec kręcił głową, ale nic nie rzekł, kmiotkowie zaś orzekli, że diabeł chyba jeździł na kobyle po nocy. Cała sprawa rozwiała się w zimowej mgle. Irenka zdołała jedynie przy obiedzie szepnąć do ucha matce:

- Mamusiu, zrobione!

Nic jednak nie było zrobione. Po trzech tygodniach przywędrował niechętnie list z ciepłych krajów, i zapewne skostniał wśród drogi, bo każde w nim słowo było kawałkiem lodu. Był niebieski, a słowa w nim były czarne. Pani Opolska tłumaczyła się, że prośba pani Borowskiej długo krążyła po świecie, zanim ją odnalazła w Cannes; odpisuje czym prędzej i prosi, aby nikt nigdy na nią nie liczył, bo ona sama znajduje się w ciężkich warunkach.

Przykro jej, że jej wróżby spełniły się, jednak wcale się nie dziwi, że pan Borowski ma nóż na gardle. Ona jednak na to poradzić nie może.

„...Pracujcie i oszczędzajcie, oto wszystko, co wam mogę powiedzieć!” - kończyła swój list, suchy jak uschłe drzewo, nielitościwy jak dusza skąpca, oschły i sztywny, bez jednego, nawet zdawkowego,

serdecznego słowa. List ten nie odmarzył wtedy nawet kiedy padły nań gorące i palące łzy pani Borowskiej, a pewnie i wtedy także, kiedy go rzuciła w ogień. Nikt nie wiedział o tej odpowiedzi, nawet Irenka, która jednak coś przeczuwała, widząc, że matka jednego dnia bladejsza była niż zwykle i zaczerwienione miała oczy. Chciała w nie zajrzeć ukradkiem, ale ile razy pani Borowska poczuła na sobie jej świdrujące spojrzenie, opuszczała powieki jak zasłony.

„Żebym ja tak mogła pogadać z panią Opolska! - myślała Irenka. - Byłoby jej ciepło!”

Westchnienie było groźne, lecz niepożyteczne. Czując, że z matka dzieją się niedobre rzeczy, dziewczyna, zawsze serdeczna, stała się dla niej sama słodyczą. Najdziwaczniejszych używała podstępów, aby jej nigdy nie zostawić samej, wymyślała sto sposobności, aby przybiec do niej choć na chwilę, i dokazywała sztuk niepospolitych, aby uśmiech, chociażby najbledszy, chociażby jasny cień uśmiechu wywołać na jej najdroższe usta. Usiadłszy w ciemnym kacie, rozmyślała ze zmarszczka na czole, jak poeta, co z własnym rozmawia sercem, co należy uczynić lub co należy powiedzieć, aby jasno na jedną chwilę uczyniło się dookoła. Wtedy to przyszła jej do głowy myśl, że matka jest blada i twarz ma zgnębiona, ona zaś jest czerstwa, zdrowa i ma na twarzyczce rumieńce, śniade i głębokie. Tak być nie powinno. Zaczęła więc głodzić się i umartwiać na wszelkie sposoby. Ponieważ słyszała kiedyś opowiadanie babki, że w minionych czasach panny, chcąc mieć na obliczu interesującą bladość, pijały ocet, zaczęła go pić jak pijak wódkę. Przychwycona przez ojca na gorącym uczynku, wpadła w rozpacz.

- Czyś ty zmysły straciła, dziewczyno? - krzyknął. - Po co to robisz?

- Żeby źle wyglądać!

- Jezus, Maria! Co tobie jest?

Irenka nie wytrzymała i odpowiedziała nagłą powodzią łez i słów również rozplakanych:

- Muszę źle wyglądać! Niech tatuś spojrzy, ile mam zdrowia na tej przeklętej mojej gębie. Czerwona jestem jak pomidor!

- Ależ, dzięki Bogu!

- Tatuś nie zna się na tym. Mamusia jest blada jak opłatek, a ja mam być taka zdrowa? Wstyd mi, ile razy stoję przed mamą... Przecież temu, co jest chory, może być przykro, że drugi jest taki rumiany, jakby go w piecu przypiekli.

Pan Borowski westchnął ciężko, zamiast wybuchnąć śmiechem, i mówił poważnie:

- Czy ty mi wierzysz, moje dziecko?

- Strasznie wierzę...

- Więc mi uwierz, że niczym bardziej nie zmartwiłabyś mamy, jak tym, że i ty jesteś chora i blada. Płakałaby częściej, niż płacze... Zakrwawiłabyś jej serce. Matka, dziecko drogie, własną oddałaby krew, aby tylko jej dziecko było rumiane. A twoja matka, Irenko, oddałaby nawet ostatnią jej kroplę.

Rozumiesz, maleńka?

- Rozumiem... teraz rozumiem...

- Przestań więc robić dzieciństwa. Taka stara pannica, a ...

- Już nie będę! Nie cierpię mojej gęby, ale już nie będę. Może tatuś być spokojny. Janka też chciałam odchudzić, ale mu dam spokój.

Janek jednak był bardzo rozkapryszony, a ponieważ zdawało mu się, że jest stale pokrzywdzony, więc potrafił wielkim głosem wołać o sprawiedliwość, kiedy zaś szło opędzenie, wtedy nie znał miary w rozdzieraniu gardła. Organ głosu miał potężny i przenikliwy, nieproporcjonalnie jednakże mała objętość rozumu w stosunku do rozmiaru gardła nie pozwalała na użycie rozsądnych uwag i perswazji. Wpadł razu jednego w szaleństwo, kiedy pani Borowska, zmęczona bardzo, zasnęła po południu. Po oznajmieniu, że chce krzyczeć, nie dawał uspokoić się nikomu. Wtedy wdała się w tę sprawę Irenka. Przyniosła ze spiżarni dwa kurze jaja i nie zwracając na niego uwagi, pilnie zaczęła przyglądać się im przy oknie; potrząsała nimi i przykładła do ucha, jakby nasłuchując. Tajemne te sztuki zwróciły wreszcie uwagę Jasia. Nie zaniechał wprowadzić krzyku, ale cokolwiek zelżał, zbliżając się powoli do Irenki i bucząc już tylko od czasu do czasu, aby zaznaczyć, że „przerwał, lecz róg trzymał” i każdej chwili może zacząć na nowo.

- Co to jest? - zapytał na koniec.

- Zaczarowane jaja - rzekła Irenka. - Ciebie jednak nic to nie obchodzi, bo to jest tajemnica.

Jeśli tajemnica, w takim razie trzeba poświęcić całą treść serca i ducha, aby ją poznać. Musiała to być wielka tajemnica, bo inaczej taka mądra dziewczyna, jak Irenka, nie będzie nasłuchiwać, co się dzieje w jajku. Chłopcu zaświeciły się oczy i czym prędzej oświadczył gotowość przystąpienia do spółki w celu zbadania tajemnicy.

- Z tobą nie można gadać o tym, bo wciąż drzesz się jak stary worek.

- Już nie będę!

- Przysięgasz?

- Przysięgam!

- To ci powiem, ale gdybyś komu słówko pisał, wszystko będzie na nic!

Jaś zacisnął usta na znak, że na mękach nawet słówka nie wyrzeknie. Wobec tego Irenka, obejrzawszy się, czy nikt nie podsłuchuje, powiedziała mu tajemnym szeptem:

- To są jaja zaczarowanej kury, ważne tylko w piątek. Dzisiaj właśnie jest piątek...

Jaś zaledwie oddychał z wielkiego wrażenia.

- Otóż jeżeli ktoś będzie te jaja trzymał: jedno w jednej, a drugie w drugiej ręce, najkrócej przez godzinę, wtedy po godzinie wylęgnie się z każdego złote kurczę.

Przed Jasiem otworzyło się niebo.

- Ja będę trzymał! - szepnął gorącym szeptem.

- Niemożliwe! Ta cudowna sztuka wtedy uda się, jeżeli ten, co trzyma, ani poruszy się, ani jednego nawet słowa nie wypowie.

- Ja ani nie poruszę się, ani nie wypowiem!

Irenka spojrzała na niego podejrzliwie.

- Naprawdę? Jak mnie kochasz?

- Jak ciebie kocham!

Irenka robiła bardzo wielkie trudności, dała wreszcie ubłagać się namiętym jego szeptem.

- Siadaj tutaj i ani mi się waż ruszyć. Wtedy możesz dopiero poruszyć rękami, kiedy zobaczysz dwa złote kurczęta. Zresztą ja będę niedaleko i kiedy będzie trzeba, wtedy przyjdę.

Jaś usiadł na krzeselku i ostrożnie trzymał na dłoniach złote, kurze czarodziejstwo. Na twarzy miał rumieńce, a w oczach zachwyty. Nie widział nawet, jak Irenka przyłożeniem palca do ust zaleca mu straszliwe milczenie. Jaś nie byłby głębiej odetchnął, gdyby nawet widział, że dom się nad nim pali.

Został sam z wielką tajemnicą, a słodka cisza spłynęła na dom.

- Nie przeszkadzajcie Jasiowi - oznajmiła Irenka wszystkim zainteresowanym. - Teraz będzie spokój.

Sama zajęta się geografią i wypłynąwszy na dalekie morza, zapomniała o rodzinnej ziemi. Minęła godzina jedna i druga, nad Polską był już senny i lepki od śniegu zmierzch, a ona w pełnym słońcu krążyła pośród cudownych, koralowych wysepek Archipelagu Polinezyjskiego, gdzie wiatr szumi wśród palm, a senne morze ma perłowe blaski. Nagle usłyszała groźny okrzyk z dalekiej, dalekiej Polski:

- Jasiu, na Boga, co się z tobą dzieje?

Palmy przestały szeleścić, a perłowe morze przestało szumieć.

- O rany! - szepnęła Irenka. - Na śmierć zapomniałam!

Pędem pobiegła do pokoju Jasia, gdzie zastała całe zgromadzenie, skrzyknięte wołaniem pani Borowskiej. Wszyscy w największym zdumieniu patrzyli na Jasia, który wyobrażał obraz ostatecznej nędzy i beznadziejnej rozpacz. Od trzech godzin siedział nieporuszony, blady i przerażony. Nie śmiał krzyknąć i oczekiwał cudu. Jedno jajko upadło na dywan i rozbryznęło się lepka, biało-żółta

fontanną, drugie zaś nieszczęsny czarodziej kurczowo zacisnął w omdlałej ręce, tak że smętna jajecznicą przeciekała przez palce. On sam nie wiedział już dobrze, co się z nim dzieje, i olśniony światłem lampy, łypał oczyma, jak taki, którego na wpół martwego wydobyto z wody. Kiedy zdjęto z niego czar i jako tako przywiedziono do przytomności, rozpoczął się sądny dzień, a raczej sądna noc. Na szczęście pan Borowski znajdował się na folwarku, więc kiedy zatarto ślady zaczarowanych jaj, usiłowano zatrzeć również całą historię i przekupić rozsrożonego Jasia ogromną ilością konfitur. Nieprzytomny smyk był jednak dość przytomny, skoro szło o słodycze, i zaczął targować się nieustępliwie. Zastrachana i zgromiona Irenka przyrzekła mu wszystkie swoje leguminy przez ciąg całego tygodnia, byle tylko milczał. Interes był dobry, więc Jaś wreszcie przystał i obiecał milczenie. Wymyty i doprowadzony do statecznej równowagi zasiadł o godzinie siódmej do wieczerzy, ponuro od czasu do czasu spoglądając na Irenkę. Wtem ojciec rzucił wzrokiem na Jasia i zapytał niespokojnie:

- Czemu Jaś taki blady?

- To tak od lampy - bąknęła Irenka.

Pani Borowska i ciotki zaczęły nieśmiało twierdzić, że Jaś doskonale wygląda, pan Borowski jednakże dobrze widział i rzekł:

- Coś mu jednak jest, chłopiec wygląda jak zmyty. Jasiu, nie będziesz tego jadł. Irenko, skocz do kuchni i powiedz, aby Jasiowi dano dwa jaja na miękko.

Ziemia zatrzęsała się, kiedy Jaś to usłyszał: dwa mizerne jajka wyrosły nagle przed jego oczami do potwornych rozmiarów i zakryły cały świat, wobec czego krzyknął przeraźliwie:

- Tatusiu! Nie chcę jajek, nie chcę, nie chcę!

Zleciał z krzesła i zaczął uciekać przed straszliwym widmem.

- Mówiłem, że on jest chory! - rzekł pan Borowski. - Jasiu, stój! Czemu nie chcesz jaj na miękko?

- Niech Irenka zje! - wrzasnął Jaś i uciekł.

Pani Borowska pobiegła oczywiście za nim, a ciotki spojrzały na Irenkę z wyrzutem.

Ojciec nic nie rozumiał i wydał straszliwy wyrok, że jeśli Jaś nie jest chory i tylko grymasi, będzie jadł jaja na miękko aż do odwołania: wobec tego zrobiono biednego Jasia chorym na jeden dzień i Irence upiekło się, Jaś jednakże powiedział jej nazajutrz groźnie:

- Jeżeli myślisz, że mnie ocyganisz z leguminą za dzisiaj, to grubo się mylisz. Dzisiejszy dzień nie jest ważny, bo mi nic nie dadzą jeść, ale od jutra zaczyna się tydzień.

- Nie było tego w umowie - odpowiedziała Irenka. - Ale niech ci będzie, znaj pana!

I już tego samego dnia Jaś pożarł chyłkiem dwie leguminy, co go od razu podniosło z łoża boleści. Na widok jajek jednakże ślaniał się przez czas długi i był bliski omdlenia. Zapomniano wkrótce o tej

smętnej historii. Zima wlokła się ciężko, bo jej nogi pętał lód, więc nie mogła odejść. Wszystko zamarzło i wszystko było senne, tylko troski pana Borowskiego nie zamarły jak rwący, górski potok. Nie mógł sprzedać zboża, a miał jakieś pilne wypłaty. Wciąż jeździł po okolicy i do miasteczka, a zaledwie powrócił - znowu wyjeżdżał. Irenka, siedząc w wielkiej ciszy nad książką, usłyszała, jak ojciec mówi do matki zbiedzonym i bardzo zmęczonym głosem:

- Muszę jutro zapłacić trzysta złotych. Skąd ja to wezmę, skąd ja to wezmę?

- Nie mogą poczekać? - zapytała matka.

- Prosiłem, błagałem, wszystko na nic. Już i tak dano mi spokój przez dwa miesiące. Ale jutro zapłacić muszę. Myślałem, że sprzedam żyto, ale nikt kupić nie chce. Co ja zrobię, Boże drogi...

Potem zapadło smutne milczenie, a w Irence serce omdlało. Objęła głowę rękami, a łzy zaczęły padać na leżącą przed nią książkę. Była to niezwykła historia o księżniczce, co miała sto pałaców i gadającego ptaka - i nigdy nie płakała.

- Matko najświętsza, zmiłuj się nad tatusiom - szepnęła Irenka.

Z każdego jej słowa pociekły łzy.

Jakoś dziwnie smutno było w całym domu. Wszyscy czuli, że pan Borowski czymś się bardzo martwi, a pani Borowska smutno na niego patrzy. Ciotki też milczały pocziwie i w jakiś sposób dały znać babce, aby nie czyniła wielkiego zamieszania.

Za oknami wyla śnieżycą i wichur bardzo płakał, jakby wiecznym zmęczony narzekaniem.

Oni wszyscy siedzieli w dużym pokoju, cichym i wyłocnym przez miękkie światło lampy. Pan Borowski usiadł w rogu odwiecznej kanapy i milcząc palił papierosa. Irenka udawała, że czyta książkę, lecz częściej niż w nią patrzyła ukradkiem w zamyśloną twarz ojca. Zwykle o takiej porze ktoś głośno czytał, tego jednakże dnia nikt jakoś o czytaniu nie wspomniął, jak gdyby wszyscy chcieli w ciszy przebrnąć przez smutek długiego wieczoru. Jeden Jaś pragnął użyć przed snem towarzyskiego życia i pętał się po pokoju dość hałaśliwie, aby go przeto uspokoić i przysposobić do snu, matka, siedząc przed płonącym kominkiem, objęła go ramieniem i jak to czyniła często, zaczęła półgłosem opowiadać mu bajkę, zbyt groźną na noc dla Jasia, lecz była to jedyna bajka, jaką umiała: o biednym szewcu, który został królem, bo odważył się spędzić noc w starym, okropnym zamczysku, dokąd pośród wielkiej wichury przychodziły groźne i potężne duchy, aby go porazić trwogą i zmusić do ucieczki. Szewc jednakże znał taką śliczną modlitwę, która sprawiła, że nie obawiał się niczego na świecie.

Wszyscy zasłuchali się mimo woli, kiedy pani Borowska mówiła cicho:

- „Przyszedł dzielny szewc do strasznego zamku, usiadł i czekał cierpliwie, kiedy wybije północ. Wiatr płakał wśród pustych komnat, a tam, gdzie ten szewc siedział, było tak cicho, że słyszał swoje bijące serce. Była to siódma noc jego próby i ostatnia noc. Zwalczył już wszystkie strachy i ciemne potęgi, ale tej nocy miały się zjawić najgorsze i najbardziej mocne. Nagle zaczął nasłuchiwać: to bije

północ. Jego serce też uderzyło dwanaście razy. - Bóg jest ze mną! - rzekł cicho i czekał. - Bóg nie opuści nigdy biedaka! - Znowu uczyniło się bardzo cicho, aż wtem ktoś zapukał do drzwi trzy razy: stuk! stuk! stuk'...”

- O, Boże! - krzyknęła cicho ciotka Amelia.

Ktoś stuknął najwyraźniej trzy razy w drzwi białego domu. Było to tak niespodziewane, że wszyscy zdrętwieli. Spojrzeli po sobie.

- Ktoś stuka! - powiedziała Irenka.

- Wszelki duch... - rzekła ciotka Barbara.

- Żaden duch, tylko ktoś przyjechał! - odrzekł pan Borowski powstając i szedł ku sieni.

Oni zamarli w oczekującej ciszy, aż ich dobiegł głos:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Człowiek! - zawołała uradowana ciotka Amelia.

Po chwili pan Borowski wprowadził do pokoju nowego księdza, który władał drewnianym kościołkiem od czasu śmierci siwego proboszcza. Bywał on czasem w białym domu, lecz nigdy o tej porze, patrzono też na niego z radosnym zdziwieniem. Ksiądz miał ostre rysy, lecz uśmiechnięte oczy, wysoki był, kościsty i silny. Nie bał się wichury i zamieci, przytupywał tylko, aby rozgrzać nogi, i zacierał ręce.

Kiedy Jasia i babkę, po przywitaniach, odesłano na spoczynek, ksiądz powiada:

- Przepraszam za tak spóźnioną wizytę, ale ja w ważnej sprawie...

- Służę księdzu proboszczowi - skłonił się pan Borowski.

- Kiedy ja nie do pana - zaśmiał się ksiądz - ja mam sprawę do Irenki.

- Co ona znowu zmalowała? - szepnęła ciotka Amelia do ciotki Barbary.

Wszyscy spojrzeli mimo woli na dziewczynę, która okazywała niepokój. Licho nie spi...

Ksiądz też na nią spojrział, bardzo jakoś pocziwie, i mówił:

- Czyniłem dzisiaj porządki w domu i przepatrywałem wszystkie zakamarki, Zacny nieboszczyk ksiądz święty to był człowiek, ale ze swego małego domku uczynił muzeum z najdziwaczniejszych rupieci, Samych suszonych grzybów starczyłoby na dziesięć lat dla wszystkich moli całego świata. Zebrał staruszek macierzanki, rumianku i piołunu tyle, że w stu aptekach takich zapasów nie maja.

- Tak, tak! - szepnęła Irenka, która знаła te składki. - Konfitur też kiedyś było bardzo wiele.

- Konfiter jest mniej - zaśmiał się ksiądz. - Rozmaite panny nie jadają suszonego piołunu. Ale wracając do rzeczy: ciężko było znaleźć coś w tym wielkim składzie. Długo tego nie ruszałem, myśląc, że ktoś zgłosi się kiedyś po to mizerne dziedzictwo, ale nikt nie zgłosił się dotąd.

- Ksiądz proboszcz nie miał nikogo - objaśnił pan Borowski.

- Istotnie - mówił ksiądz, - Zrobiłem też generalny porządek i, patrzcie, państwo, co przed godziną znalazłem w zegarze, który nigdy nie chodził.

Wydobył z zanadrza zniszczoną gazetę, a z niej wielką, białą kopertę.

- List! - zauważyła bystrze ciocia Amelia.

- Tak, list. A na liście napisano: „Po mojej śmierci oddać to proszę «Pannie z mokrą głową», a każdy wie, że to jest Irena Borowska, bo ją bardzo kochałem - i za mokrą głowę, i za najlepsze serce. Na imię Boga zaklinam, aby jej to oddać, bo to wszystko, co mam, a ona niech z tym zrobi, co zechce, i niech czasem westchnie za moją grzeszną duszę”. Dalej podpis i data.

Ksiądz odczytał ze wzruszeniem ten prosty, biedny testament i drżącą ręką oddał list zdumionej Irencie. Ona dotknęła listu nabożnym ruchem, potem nagle przycisnęła go do piersi,

Wszyscy mieli łzy w oczach; zdawało się, że przez ciepły, smutny pokój przeszedł powoli staruszek ze ślicznym uśmiechem na ustach, rad i szczęśliwy, że na jego wspomnienie drgnęły w nich serca.

- Irenko - mówił ksiądz - bardzo cię kochał ten święty człowiek, Nie otwieraj teraz tego listu, aż ja sobie pójdę. Pogadasz sobie z tym listem, jak gdybyś z Nim rozmawiała. Dobranoc, moje dziecko.

Ksiądz odszedł, choć go serdecznie zatrzymywano, a Irenka stała nieruchomo, załzawionymi oczami patrząc na biały list, taki dziwny, jakby wystany z nieba przez zmarłego staruszka. Po chwili zaczęła otwierać kopertę, powoli i niezmiernie ostrożnie, i wyjęła z niego garstkę banknotów.

- Trzysta złotych! - zakrzyknęła ciotka Amelia, która liczyła je wzrokiem. - Ależ to majątek!

Irenka uśmiechnęła się nagle wilgotnymi oczami. Jednym ruchem znalazła się przy ojcu.

- Tatusiu, weź to! - zawołała.

Pan Borowski nie pozbył się jeszcze zdumienia, lecz odsunął łagodnie jej rękę.

- To twoje! - rzekł.

- Więc ci to pożyczam... Kiedyś mi oddasz. Boże drogi! Że to właśnie dzisiaj, że to właśnie dzisiaj... Przez całe życie zbierał, drogi kochany człowiek...

Nagle spojrzała tam, gdzie złota poświata lampy drżała w powietrzu, bo jej się zdawało, że jakaś słodka twarz łagodnie do niej uśmiecha się i daje jej oczami znak, jakby chciała powiedzieć: „A co, Irenko, a co! Dobrzem to wymyślił!”

Rozdział siódmy

Irence przybyło trzy lata, a babce ubyło pięć, czyli - że naturalny porządek rzeczy został zachowany. Wedle tego magicznego obliczenia musiało kiedyś dojść do zupełnego wyrównania wieku. Babcia była coraz bardziej żwawa, a Irenka coraz bardziej poważna. Prawdę powiedziawszy była to powaga dziwnego nabożeństwa, czasem bowiem uderzało jej coś do głowy, powaga pękała z hukiem, a jakieś nowe szaleństwo Irenki napępniało świat radosnym zgiełkiem. Mogło zdawać się, że w chudym, czarnym, zdrowym ciele tej dziewczyny mieszkały dwie dusze, które na zmianę odbywały wartę: jedna była rozważna, często głęboko zamyślona, pełna słodyczy i tkliwości, druga zaś uradowałby się Tatar, gdy dziewczyna przypominała sobie nagle, że młodość bucha z niej jak żar ze słońca. Wtedy pytała wiatru, kto kogo przegoni, i pytała wiosny, kto roześmieje się jaśniej i dźwięczniej?

Gdyby nie ona, smutno byłoby w białym domu. Ona jednak świdrującymi oczami umiała wypatrzeć smutek w najbardziej mrocznym kącie i biegła tam czym prędzej wypłoszyć go krzykiem i czarodziejstwem śmiechu. Wszelki smutek bał się jej jak diabeł święconej wody. Pojęła bystrze, że zgryzota, podobnie jak mętna woda, wciąż przybiera od deszczu łez; że jeśli smutkiem żywi się ją, rośnie bujnie jak chwast i wreszcie wszystko zagłuszy. Najlepiej jest nie poddać się smętkowi i gnać go na cztery wiatry, póki czas: otworzyć serce, jak okno, aby mógł przez nie wejść promień słońca, który wypija wilgoć łez i mętność zgryzoty. Smutek jest płochliwy i napada na tych tylko, co nie umieją obronić się, załamują ręce i głowę pochylają na piersi, z daleka jednak obchodzi tych, co go oczekują odważnie i z pogodnym czołem. Trzeba tytko straszenie, z całej siły wierzyć, że będzie lepiej, a będzie lepiej. Radość jest sprawiedliwa, chociaż nierychliwa. Pan Podkówka jednak mówił prawdę, powtarzając jej często złote zdanie, co w mądrej narodziło się głowie, że „stracony jest każdy dzień bez uśmiechu”.

Szkoda pana Podkówki... Co się z nim dzieje w tej chwili? Irenka myślała o nim często, przygotowując książki i zeszyty, aby napić się z nich mądrości. Co pół roku jeździła do miasta na egzaminy i przywoziła papier świadczący, że posiada głowę mokrą wprawdzie, ale doskonale umeblowaną i tak zasobną w wiedzę jak ul w miody. Starczyło jej tej mądrości nie tylko na użytek własny, lecz i na ucziwy podział z Jasiem, którego uczyła cierpliwie i roztropnie wyborną metodą swojego mistrza, pana Podkówki. Jaś miał wprawdzie głowę otwartą, lecz będącą w takiej przemyślanej spółce z brzuchem, że jeśli nie można było przemówić mu do rozumu, Irenka używała drogi pośredniej przez żołądek. Żarłoczny braciszek nie mógł zrozumieć zadania rachunkowego przez dwa dni, za cenę jednak dwóch jabłek lub kilku kawałków cukru rozwiązywał je natychmiast i olśniewająco. W ten sposób pęczyła jego głowa, ale i brzuch pęczył odpowiednio. Daleko mu było wprawdzie do wspaniałości szaleństw Irenki, zdradzał jednak wybitne w tym kierunku zdolności, i gdyby nie nadmierne zamiłowanie do jedzenia, mógłby z czasem dojść w tym względzie do znacznych wyników. Na razie poza jednorazowym wybiciem sobie czterech, chwiejnych zresztą i jeszcze nieustatkowanych zębów, nie miał wspanialszych w swoim życiu przypadków. Toteż z nie tajoną zazdrością patrzył na dumny i długi spis świetnych czynów Irenki, która zdołała już nawet otrzymać w spadku całą furę pieniędzy. Zachwycała go czasem ta dzielna siostra. Jeśli tylko nie

kazała mu trzymać w ręku kurzych jaj, wierzył jej ślepo i na jej rozkaz byłby za nią poszedł nawet w ciemność nocy, czego lękał się najwięcej. Właśnie znowu olśniła wszystkich, dokonawszy znamienitego dzieła.

Było lato i ziemia smażyła się na patelni na słonecznym żarze. Cały naród żął żyto na polach, koło pustych chałup wałęsały się drobne dzieci, a psy spały w cieniu, aby zdobyć siły na nocną służbę. Nagle na końcu wsi wypełznął w górę kłęb czarnego dymu, a po chwili strzecha na niebiesko pomalowanej chaty buchnęła ogniem. Zdyszany, rozpaczliwy krzyk pobiegł przez pola i zwoływał wszystkich na ratunek. Złe, rude płomienie, jakby przerażone tymi głosami, zaczęły pożerać chatę szybko i zachłannie, aby im jej nie wydarto. Śmiertelna trwoga spędziła ludzi z pól. Irenka, usłyszawszy o pożarze, biegła, skacząc przez rowy i płoty, a za nią gonił pies Drab, zawsze gdzieś opodal wokół niej krążący. Wbiegła w ludzką gromadę, bezradną i przerażoną, i piskliwym głosem zaczęła wydawać rozkazy, taką zaś u wszystkich budziła wiarę i zaufanie, że rozpacz ludzka ocknęła się i zrozumiała, co należy czynić, aby zdławić ogień, szydercze wydający głosy, i nie dać mu rozszerzyć się na inne chaty, co zbite w gromadę, jak zastrachane kuropatwy, patrzyły na pożar malutkimi oczyma okienek.

Płonąca chata należała do biednej młodej wdowy, mającej swoje pólko daleko stąd, aż pod lasem. W tej chwili dopiero przybiegła, padając co krok, rozepchała ludzi i krzyknęła nieludzkim głosem:

- Tam jest moje dziecko!

Usiłowała skoczyć w ogień, ale śmiertelnie zmęczona długim biegiem zwała się jak kłoda.

- Matko Boska! - krzyknęli ludzie.

Stępiąłem, bezradnym wzrokiem wpatrzyli się w chatę, która po raz pierwszy w swoim szarym i w ziemię zapadłym życiu pyszniła się - wspaniałym pióropuszem ognia. Przez drzwi i okna buchał żrący dym skłębioną, gęstą chmurą.

- Tam jest dziecko! - ozwał się piskliwy, rozdzierający głos Irenki.

Na wszystkich twarzach widać było zgrozę. Ten i ów uczynił ruch, jakby gotował się do skoku, lecz nikt nie skoczył. Chata płonęła jak pochodnia, a ogień, ze wściekłej uciechy, ciskał w górę płonące szczapy z krokwi. Jeszcze chwila, a wszystko runie i zapadnie się, czyniąc stos dymiący i syczący.

- Jezus, Maria! - krzyknął ktoś w tej chwili.

- Panienska! Panienska! - buchnął głos tak gorący jak ten pożar,

Irenka przeżegnała się i jednym susem skoczyła przez niskie, czarnością dymu buchające drzwi. Za nią - o dziwo! - skoczył jej mądry pies, wydawszy z gardła jakieś głuche bulgotanie. Króciutka chwila wydała się wszystkim ciężkim, długim wiekiem. Ludzie nie śmieli odetchnąć, a serca w nich umarły. Matka dziecka wparła dzikie, oszalałe spojrzenie w drzwi swojej chaty, blada jak śmierć. Poruszyła ustami, lecz nie mogła wymówić słowa. A po chwili, udręczonej i strasznej, wydarło się z ludzkich piersi jakieś wielkie, szczęśliwe, radosne szlochanie: w otworze drzwi ukazała się Irenka,

osmolona, czarna, słaniająca się na nogach. Sukienka tliła się na niej, kosmyki włosów były spalone. Jedną ręką zasłaniała usta, drugą cisnęła do piersi dziecko, na pół uduszone, lecz żywe. Wtedy pożar, jakby rozwścieczony, że wydarto mu łup, zasyczał z nienawiści, buchnął bardziej niż dotąd krwawo i ciężarem swego rudego gniewu tak przytłoczył nieszczęsną chałupę, że nagle zapadła się, jakby z góry uderzona obuchem. Spośród trzasku belek i spośród syczenia ognia wydobył się wtedy nagły, przejmujący skowyt: to pies Drab ginął bohaterską śmiercią, przywalony pożarem, którego nie uląkł się, albowiem wierne jego, psie serce kazało mu pójść za swoją panią, którą miłował aż do śmierci.

Niedługo potem wydawało się Irence, że ją wzięto do niewoli i mocno skrępowano postronkami. Ostrożnie otworzyła najpierw lewe oko, potem prawe, badając, gdzie jest i dlaczego nie może poruszyć rękami. Z wielkim zdumieniem ujrzała, że ma na rękach białe bandaże. Poruszyła się niespokojnie, a wtedy ktoś położył jej rękę na czole. To matka. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej, ale jakoś bardzo smętnie.

Irenka zaczyna myśleć na gwałt. „Musiałam zmalować coś nadzwyczajnego, kiedy taka gala”... W tej chwili zaczął w jej dziwnie rozkołysanej głowie szumieć pożar i błysnął jej przed oczami.

„Aha! już wiem... - pomyślała. - Wyratowałam z ognia jakieś dziecko... Ja poparzyłam się, a Drab, biedaczysko, usmażył się na amen”. - Mamusiu!

- Co, córeczko? Lepiej ci?

- Mnie jest zupełnie dobrze. Czy tatuś bardzo się gniewa?

- Nie gniewa się, ale bardzo się przestraszył. Wszyscy bardzo przestraszyliśmy się, a ciocia Amelia zemdląca.

- Daj jej. Boże, zdrowie. A mamusia bardzo zagniewana? Przecie ja musiałam ratować dziecko!

- Dlaczego ty? Tam był tłum ludzi.

- Tak, ale potracili głowy.

- A ty mogłaś swoja utracić na zawsze.

- Ja? Niemożliwe! Ja mam „mokrą głowę”, a mokrej głowy ogień się nie chwyci. Kto to tak głośno mówi?

- Ojciec. Przemawia do ludzi i przysięga, że nie umrzesz. Cała wieś jest przed domem. Kobiety płaczą, a mężczyźni patrzą w okna i nie można ich namówić, aby sobie poszli. Oj, Irenko, Irenko!

- Oj, mamusiu, mamusiu! Niby burczysz, ale jesteś zadowolona.

- Cicho bądź, śpij!

- Jak ja mogę spać, kiedy przed domem taki rwetes? Tyle hałasu o jedno dziecko.

Prawdziwy rwetes uczynił się jednak wtedy dopiero, kiedy Irenka po dwóch tygodniach zjawiała się w kościele na niedzielnym nabożeństwie. Troszeczkę była jeszcze blada i na jednej ręce miała niewielkie ślady po oparzeniu, ale uśmiechała się do ludzi, szczęśliwa i rozjaśniona. Do niej jednak nikt się nie uśmiechnął ani razu, gdy bowiem kto spojrział na nią, zawsze miał oczy wilgotne. Patrzyli w nią wszyscy jak w zjawisko, a wzdychano na jej cześć tak gęsto i żarliwie, że mogła na tych westchnieniach wzlecieć jak na obłoku. Po nabożeństwie otoczono ją przed kościołem i rozpoczęło się drugie nabożeństwo. Błagano Pana Boga w głos o wszystko szczęście całej ziemi, o wszystkie łaski i dobrodziejstwa, o wszystka jasność słońca dla tej dziewczyny, co zawstydzona, wzruszona i szczęśliwa przechodziła przez szumiący ludzki tłum jak przez rozkołysane zboże. Dzieci patrzyły na nią z zabobonnym, przelękłym zachwytem jak na istotę nieziemską, a nieziemska istota mrugała w stronę ojca z szelmowskim uśmiechem, co miało znaczyć. „Spróbujcie mi teraz wymyślać za mokrą głowę, a ja wam zbuntuję całą wieś!”

Nikt jej jednak nie wymyślał. Kiedy pierwsze o nią minęły strachy, tulono ją z miłością, bez słowa, do wzruszonych piersi, jeden Jaś tylko rzucił się jej na szyję z wielkim krzykiem, bo nie uznawał milczącej ceremonii. Gdyby była spaliła się na pieczeń, wtedy co innego, ale teraz nie było powodu do milczenia. Wrzask jest naturalnym głosem wielkiej radości i nie ma potrzeby zmiany odwiecznych urzędów.

Irenka dziwiła się cokolwiek tym owacjom i wzruszeniom. Była szczęśliwa - to prawda - strach jednak mignął jej przed oczami; zaczęła obawiać się, czy przypadkiem taka wspaniała awantura nie zobowiązuje do jakiejś powagi i uroczystych min. Nie daj. Panie Boże! Łatwo jest wejść do płonącej chałupy, bo nie ma nad to nic łatwiejszego, i jeśli zdarzy się jaki mały pożar, można będzie zaryzykować raz jeszcze, ale robić bohaterские miny i wzdychać na ten temat - nie! - tego ona nie potrafi. To gorsze od stu pożarów i od trzęsienia ziemi. Ważyła tedy przezornie w mądrej głowie, kiedy będzie można uważać uroczystość za skończoną. Sposobność zdarzyła się wyborna, bo po kilku dniach piorun zabił krowę na pastwisku, zwrócił na siebie powszechną uwagę i rozpoczął nową epokę w sielskim żywocie. Umarł pożar, niech żyje piorun! Wśród wspaniałego łomotu zdjął czar z Irenki, która uznała, że należy powrócić do szarości żywota i rozprostować ręce i nogi. Czas już był największy, gdyż dłuższy okres spokoju był dla niej tak groźny, jak nieruchoma cisza na oceanie zabójcza jest dla żaglowego okrętu. Ona musiała być w ciągłym ruchu jak młody pies, który ma tę właściwość, że pozornie ma cztery nogi, naprawdę ma ich ze szesnaście, bo go wciąż nosi we wszystkie strony, bez rozumnego powodu. Podczas owej ciszy kilkudniowej Irenka często stawała przed lustrem i przyglądała się sobie pilnie.

- Starzeję się! - westchnęła smutno.

Zacząła w swojej oszalałej czuprynie szukać siwych włosów, a chociaż nie znalazła ani jednego, pewna była, że znajdzie je: nie dzisiaj, to jutro. Zbyt wiele bowiem zmartwień waliło się zewsząd na tę nieszczęsną głowę. Nie miała ani jednej wolnej chwili. Słońce ujrzawszy sennym, zamglonym jeszcze okiem, że Irenka wstaje z łóżka, wschodziło czym prędzej, bo zapewne dzień już rozpoczął się, kiedy ona jest na nogach. Rozdzierające ziewanie niczego nie dowodziło. Bez niej nie mogło zacząć się życie w białym domu i na folwarku. Wszyscy mogli jeszcze spać, ale ona nie mogła. Niech śpią. Są albo zmęczeni, albo chorzy, ona zaś nigdy nie wiedziała, co to jest zmęczenie, a najzdrowsza ryba w stawie była mniej zdrowa niż ona. Równocześnie zaś najweselszy ptak na sto mil dokoła był

mniej wesoły niż ona. Kiedy weszła do mrocznej krowiej stajni, wtedy nawet tam czyniło się jasno od jej głosu; gdy weszła pomiędzy ludzi ciężko pracujących, praca wydawała im się nagle lżejsza. Wszędzie zostawiała złote okruchy śmiechu i już biegła w inną stronę. Sama szyła sobie sukienki. Nie były one dość wytworne, aby można było ukazać się w nich na dworskim balu u zakochanego królewicza, ale nie były szyte na bal. Pończochy za to nosiła przedziwne i tak cudowne, jakich żadna na świecie nie miała księżniczka: z własnej, ciemnej skóry. Widać było na nich ciekawe wzory i najpiękniejsze desenie: krwawe pręgi, zadrapania i ukłucia. Najpiękniejsza jednak księżniczka nie miała takich czarnych diamentów, przezzystych i lśniących, jak Irenka miała w spojrzeniu, ani takich bogactw niezmiernych, jakie ona miała w uśmiechu ust. Mało jednak dbała o te wspaniałości, nie wiedząc, że je posiada. Rosła sobie jak drzewo w lesie i, chociaż miała lat dwanaście, równego niemal była wzrostu z matką, jak gdyby jadła drożdże.

Bardzo, bardzo rzadko, kiedy pomimo bohaterskich wysiłków nie udało się stłamsić jakiejś piekającej troski albo kiedy pogorszyło się zdrowie matki, Irenka czuła, że musi się wypłakać. Tygodniami całymi zbierała się w niej żalność, aż wreszcie nadchodził taki czarny dzień, kiedy zebrała się nad nią chmura smutku, z której musiał lunąć deszcz. Nikt jednak nie mógł widzieć jej łez. Irenka zaszywała się w jakiś mroczny kąt, najczęściej na strychu, siadała na belce z powagą, jak gdyby miała spełnić jakiś obrzęd, i otwierała słuzy smętnej wodzie. Pochlipała sobie serdecznie przez jakieś pół godziny, potem ocierała starannie oczy.

- Ulżyło mi! - mówiła cicho i wracała z mrocznych wyżyn z rozjaśnioną twarzą.

Wystarczyło tej pociechy na miesiąc lub dwa, a czasem, kiedy Bóg był niezwykle łaskawy, na całe pół roku. To jednak było najdziwniejsze i najbardziej ją zdumiewało, że czasem było jej smutno bez najmniejszego powodu, jak gdyby smutek siał się przez powietrze albo jak gdyby wiatr przynosił go z daleka jak puchy kwiatów. Rodził się czasem taki dziwny dzień zasmucony, cichy i jakby ciężki. Słońce świeciło jasno, a jednak na świecie było mroczno. Ptaki śpiewały ciszej i jakby nieśmiało, dymy snuły się nisko, a koniki polne milkły. Dziewczęce serce czuło jakiś ucisk i pełne było niepojętej, dręczącej rzewności. Nie wiadomo czemu łzy same napływały do oczu. Wtedy Irenka płakała na zapas. Te nie wołane łzy byty wliczane do ogólnego zbioru łez i kiedy prawdziwe i znane zjawiało się zmartwienie, musiało obejść się bez oplakania.

- Już w tym miesiącu raz jeden beczałam - mówiła Irenka do swoich trosk - to wystarczy. Nie mam czasu na głupstwa!

Gdyby była spojrziała wtedy na niebo, byłoby w niej drgnęło męzne serce. Ta chmura, która od wielu wędrowała lat, chmura nad białym domem, spotężniała w czarnej swojej, groźnej pysze i rzuciła szary, mroczny cień na białe ściany domu. Dom jak gdyby skurczył się i przeraził oczekując uderzenia piorunu.

Była późna jesień, wyciem wiatru śpiewająca pogrzebowe pieśni struchlałej ziemi, pokrytej w każde rano śmiertelną bladością szronu. Radość lata już umarła, a na jej grobie drżały zeschnięte badyle. Drzewa na próżno wyciągały ramiona ku ołowianemu niebu, jęcząc ostatkiem liści o zmiłowanie.

- Nie ma litości, nie ma litości! - urągał im wichur.

Dnie były smutne, a noce złe. Płakały one wielkimi głosami nad niezmiernym umartwieniem ziemi, a wiatr wył czasem jak głodny pies. Od chmur padał ciężki lęk i zasnuwał cały świat. Człowiek tylko, sercem i duszą mocny, nie przeraził się i pracował bez przerwy, uparcie i niezmordowanie. Po skisłym, błotnistym polu chłop odbywał za pługiem swoją milczącą wędrówkę, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zmokły chłód wtoczył się za nim przez bruzdy jak zziębnięty pies. Wrony zwoławszy się w wielkie czeredy krzykiem oznajmiały światu zagładę, jak złe wróżki-jędze, uradowane, że mogą wywróżyć nieszczęście i czarny smutek.

Pan Borowski codziennie wychodził do tego skrawka lasu, który mu pozostał. Były to ostatnie jego drzewa, a teraz miał rozstać się z nimi. Sprzedał je z tym uczuciem, że własne sprzedaje dzieci. Oglądano je i mierzono, potem na każdym wypalono syczącą pieczęć rozpalonym żelazem. Oznaczało to, że nieszczęsne drzewo zostało nieodwołalnie skazane na ścięcie toporem. Do wykonania wyroku przystąpiono niedługo, kiedy zwałił się śnieg i ziemię w śmiertelne, białe spowił płótno. Łatwiej wtedy było wywieźć trupy drzew do dalekiej kolei. Rąbano z powolnym rozmachem, pokrzykując, a one waliły się z jękiem. Drwale, idąc drogą śmierci, zbliżali się do niewielkiego wzgórza, na którym rosło kilka drzew, największych i najbardziej potężnych, tworzyły one jak gdyby koronę na czole tej ziemi, co żywiła biały dom. Była to stara gwardia lasu, olbrzymy, co wiele zmożły burz, a ten i ów pierś miał srodze rozdartą piorunem. Ongi w rzymskim szyku bojowym szły przeciw nieprzyjacielowi najpierw kohorty żołnierzy najmniej wytrwałych, a kiedy ich zmorzono - szli do walki żołnierze coraz to groźniejsi i wspanialej zbrojni; dopiero gdy bitwa rozgorzała jak pożar i pole spłynęło krwią, szły na wroga ciężkim stąpieniem ostatnie szeregi najstraszliwszych wojowników żelaznych, niewzruszonych, w stu bitwach zaprawnych. Byli to triarii, żywe posągi. Te ostatnie drzewa przypominały ich niezwalczoną swoją potęgą. Śmierć szła ku nim nieuchronnie z siekierą w dłoni, a one ani drgnęły. Wparły się korzeniami w ziemię i patrzyły ponuro oczodołami, w których mieszkały wiewiórki. Wiatr w ich górnych gałęziach odmawiał ciężkim szumem modlitwę za umarłych. Jeden z nielicznej garstki olbrzymów rozkrzyżował ramiona i zwałił się ciężko. Tylko ziemia jęknęła, rozumiejąc, że spełniono morderstwo. Zwałił się drugi i trzeci. Już pozostało niewiele, jeszcze trzy, jeszcze dwa, jeszcze jeden, najwspanialszy.

Pan Borowski zjawił się w lesie i zamglonymi oczami patrzył na spustoszenie. Ile razy drzewo spadło, on poruszał wargi, jak gdyby żegnał się z nim albo odmawiał modlitwę. Dzień był napełniony wichrami, co porwały się nagle i dęły z wściekłością. Pan Borowski brnął przez zasy pyłne, kiedy ścinano ostatnie jego drzewo: szedł, wbiwszy oczy w ziemię, jakby nie mógł patrzeć na śmierć potęgi i mocy.

- Na Boga, ostrożnie! - krzyknęli drwale.

Pan Borowski spojrzął i zrozumiał niebezpieczeństwo, chociaż drzewo miało paść w inną stronę, nie tam, gdzie on się znajdował w tej chwili. Uskoczył jednak, ale wpadł w wykrot. Wtedy stała się rzecz straszliwa. Wicher, skłębiony w śnieżną chmurę, zerwał się nagle z ogromną siłą, objął podcięte drzewo i wykręcił tak, że zwałił je w tę stronę, w której z wykrotu usiłował wydobyć się pan Borowski. Ponad łomot padającego drzewa podniósł się przeraźliwy krzyk. Drzewo nie powinno tam być paść, a jednak padło. Ostatnie drzewo.

Pan Borowski leżał na śniegu biały jak śnieg. Razem przestało bić jego serce i serce drzewa. Śmiertelna cisza nagłym wybuchnęła lamentem. Nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stało: śmierć

przyleciała na wicherze, co zwałił drzewo.

- O, Jezu! O, Jezu! - powtarzał ktoś nieustannie.

Krzyk z lasu pobiegł zaśnieżonym polem, wpadł do wsi, zapukał w okna, wywołał ludzi, potem w jeden wielki związany lament zaczął brnąć przez śnieg i rozplakał się wielkim szlochem u drzwi białego domu. Okropna wieść zastukała w nie kościaną ręką. Dom drgnął nagle zalękły i przez długą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potem musiał zakołysać się, bo Irenka, stanąwszy na ganku, pod kolumnami, zachwiała się jak ktoś, co nie może schwytać równowagi. Rozszerzonymi oczami patrzyła na usta ludzi i, jakby nie mogąc pojąć znaczenia ich słów, przyglądała się krwawym, zmaconym okrzykom, z których gęstymi kroplami krew ściekała na białość śniegu. Świat z nią zawirował obłądnym kręgiem. Chciała przemówić, ale nie mogła, więc z niezmiernym wysiłkiem podniosła palec do ust na znak, aby przestano mówić. Ona już wie, ale tamci w domu jeszcze nie wiedzą. Przecie musi ich przygotować, aby matce nie pękło serce.

Czuła, że ktoś przypadł do jej rąk i całując je, oblewa gorącymi łzami. Ona nie płakała. Nie wolno jej płakać. Musi być mocna za wszystkich i za wszystkich cierpieć w milczeniu. Oni będą płakać, ale ona tego uczynić nie może. Powoli, jakby senna, z niezmiernym trudem powlokła się do wnętrza domu.

Jeszcze nigdy w ustach dziecka nie było tyle miłości, jak kiedy Irenka wyszeptwała słodko:

- Mamo! Mamo!...

Rozdział ósmy

Przemiął rok tak długi jak życie nieszczęśliwego człowieka, zanim Irenka odnalazła swój uśmiech. Wyjrzał on spoza łąz jak promyczek słońca spoza wilgotnych mgieł poranka. Błady był i nikły. Już był jednak czas największy, aby ukazał się i ozłocił mroczne życie białego domu. Potrzeba go było jak cudownego lekarstwa smutnym ludziom, co w nim mieszkali. Trwoga padła na nich wraz ze zwalonym drzewem, była z nimi we dnie i w nocy. Żyli zalękłym życiem, jakby z trudem, jakby bardzo ciężko. Najsilniejszą z nich okazała się ona - Irenka. Dławiąc ból i uciszając rozpacz, ona dodawała wszystkim otuchy i przejmującym szeptem kazała im wierzyć, że nie zginą i że Bóg odwróci od nich zgubę. Mówiła o tym z dziecięcą żarliwością, niewyszukanymi słowami, po prostu i jasno. Jakby ptak na gałęzi śpiewał nieuczenie nad smutnym człowiekiem, chcąc go pocieszyć. Zdawała sobie doskonale sprawę, że jeśli im wszystkim zbraknie siły do przetrwania tego sieroctwa, nowe na nich runie nieszczęście i usunie się im spod nóg ta odrobina ziemi, którą ojciec zdołał obronić, krwawo walcząc. Cztery - poza nią - były w domu kobiety i dziecko: matka była chora, ciotki co chwila wybuchały łzami, babka żyła poza czasem. Na nią spadł obowiązek ratowania okrętu wśród nawałnicy, kiedy kapitan zginął w morskich odmętach. Serce miała mężne, oczy bez łez, lecz jakże ona tymi drobnymi rączynami utrzyma ster, kiedy wiatr wieje przeciwny, zrywa żagle i niesie okręt na rafy i skały? To już nie żart i radosna swawola, lecz obowiązek ciężki, twardy i ponad jej

mizerne siły. Cóż ona wymyśli swoja biedną „mokra głowa”, skoro ojcowska głowa okryła się siwizną?

Dziecięce serce dodawało jej odwagi, głęboko wierząca jasna duszyczka patrzyła śmiało w dalekie mroki. Zalękłe oczy czterech kobiet i dziecka spoglądały na nią, od niej oczekując zbawienia. Niechże tedy stanie się wola boska! Spróbuje stać się sercem smutnego domu, spróbuje go ocalić. Ma dokoła siebie ludzi uczciwych, co sprawili, z niezmiernym wysiłkiem pracując, że po śmierci jej ojca gospodarstwo szło jako tako. Proboszcz pomagał poczciwie, ten i ów z sąsiadów doradził, wszyscy starali się podeprzeć pochylony biały dom, lecz nie można było tak bez końca wołać o pomoc. Na cud jakiś licząc, dziecko postanowiło zastąpić ojca.

Patrzono na nią ze zdumieniem, pełnym zarazem zachwytu i litości. Na pozór pani Borowska kierowała nieszczęsnym dobytkiem, lecz prawdziwym rządcą jego była Irenka. Wychudła, z płonąącym spojrzeniem czyniła to, co zwykł czynić ojciec. Była wszędzie i wiedziała o wszystkim, niemal o każdym ździebełku słomy. Zwracano się do niej w każdej sprawie, jak gdyby to było najzupełniej oczywiste, że nikt inny tylko ona może rozwikłać gmatwaninę gospodarskich zagadnień i poplątanych jak ciernie kłopotów. A ona, z kropelkami potu na zamyślonym czole, rozmyślała długo, co należy czynić. Gdzie tylko mogła, tam szukała rady, jednego niezbitcie pewna, że jej każdy ze szczerego poradzi serca. Przez myśl nikomu nie przeszło, aby wyrządzić jej chociażby cień krzywdy. Nie było nawet takiego złodzieja, który by śmiał okraść tę dziewczynę. Na powszechną pogardę naraziłby się każdy, kto ważyłby się na najdrobniejsze wobec niej przewinienie. Handlarz nabiałem czy zbożem, który rodzono ocyganiłby ojca, ją zostawiał w spokoju i ostrzegał przed wszystkimi zasadzkami, które by jakiś przybysz mógł na nią zastawić.

Wlokło się życie z trudem, ale się wlokło. Coraz to groziła nowa jakaś katastrofa i cudem kończyła się nieszkodliwie. Czas mijał, a biały dom stał jeszcze. Wtedy to Irenka uśmiechnęła się. Uśmiech ten wychylił się jak krokus spod śniegu. Dokoła jednak była jeszcze zima i jeszcze nie zazieleniła się nadzieja. Trzeba jednak było za wszelką cenę podtrzymać we wszystkich wiarę w tę radosną nadzieję. Irenka czyniła to dziwnym sposobem. Wiedziała, że w pokoju obok skupiła się jej gromadka, bezbronna i bezsilna, że w milczeniu rozmyśla i z trudem wstrzymuje łzy. Wiedzieli przecież, że ona dźwiga ciężar, którego nie udźwignie, i że jej wreszcie musi zbraknąć siły. Trzeba im dodać otuchy. Irenka jest zmęczona, czuje szum w głowie i oczy jej się kleją, bo zerwała się o pierwszym brzasku, a to już późny wieczór. Udaje jednak, że nie wie o ich obecności w pobliżu, i zaczyna nucić. Wszyscy spojrzeli po sobie z nagłym, nieśmiałym, lecz radosnym zdziwieniem.

- Irenka śpiewa! - szepnęła ciotka Amelia.

- Śpiewa... - cichym, jakby oczarowanym głosem powtórzyła matka.

Ciotka Barbara nie rzekła nic, lecz poruszyła ustami.. Modliła się cichutko za „Pannę z mokrą głową”.

Ona jednak wiedziała, że łatwo jest zwieść te poczciwe, naiwne serca, lecz nie uda się jej zwieść tych, którzy dobrze wiedzą. Nie będzie śpiewać na widok urzędowego listu lub wielkiej groźnej niebieskiej koperty, opatrzonej tajemniczą pieczęcią. Ile razy przyniesiono z poczty taki list, biegła z nim do księdza albo gnała konno do najbliższego sąsiada, który patrzył na nią z serdeczną litością, bo

nie mógł znaleźć rady. A listów tych było coraz więcej i więcej jak gdyby każdy następny gonił poprzedni. Nie mówiła o nich matce, bo i na cóż to się zdać mogło? Co mogła biedna matka poradzić, kiedy ktoś żąda pieniędzy, a tych pieniędzy nie ma? Nie mówiła jej tym bardziej, że z sercem matki było gorzej.

Przyjechał z miasteczka lekarz, pan Lipień, jej ojca serdeczny przyjaciel. Był to znakomity lekarz i cudowna figura; zagrzebał się w małym miasteczku, choć mógł zyskać sławę w stolicy, i filozofował w wesoły sposób. Mały człowieczek patrzył bystrze i układał usta w taki sposób, jak ryba, która postanowiła umrzeć, lecz łapie jeszcze powietrze. Lipień nazywał się, a że to nazwa ryby, więc rybie stroił miny. Znał dobrze Irenkę, lecz dawno jej nie widziawszy, przyglądał się jej teraz z prawdziwym upodobaniem.

- Czy mam - powiada - mówić z panią jak z dzieckiem, czy jak z dorosłą panną?

- Jak z dorosłą. Ja mam już prawie czternaście lat. Niech pan doktor wszystko powie mi otwarcie. Jak jest z mamusią?

- Nie bardzo, ale nic złego. Teraz lepiej i będzie lepiej.

- Chwała Bogu!

- Zgoda. Pan Bóg to najlepszy lekarz i nie potrzebuje apteki. Ale w tym domu to nie matka jest ciężko chora.

- Panie doktorze! A kto? Babka?

- Babka, jak dobrze pójdzie, mnie pochowa. Teraz może jeszcze podnosić ciężary. A ileż ona ma lat?

- Babka? Rozmaicie... Tego nikt dobrze nie wie. Przed trzema laty miała dziewięćdziesiąt, a przed kilku dniami osiemdziesiąt.

- To doskonale. Niech sobie kobiecina młodnieje, i nie babka jest chora, tylko pani.

- Ja? - uśmiechnęła się Irenka. - Ja jestem zdrowa jak żrebak.

- Tak to się panience zdaje, bo panienki od tego są, aby im się wciąż coś zdawało. Ciałem Irenki można by na dobrą sprawę rozbijać mury, ale ja nie o nim mówię. Jak długo ja pani nie lecę, będziesz, kobieto, zdrowa jak rydz, więc niech panią Pan Bóg przede mną zachowa jak najdłużej. Ale z czym innym jest gorzej.

- Z czym, panie doktorze?

- Pani długo nie wytrzyma. Ja wiem, co panienka wyprawia. Nie je, nie śpi, nie ma spokojnej chwili. Tak nie można, drogie dziecko. Zbliża się pani wprawdzie do sędziwego wieku lat czternastu, ale jest pani dzieckiem, i jednego dnia, co nie daj Boże, dziecko złamie się jak młoda brzoźka.

- Ja muszę - rzekła cicho.

- Czy nikt pani nie może pomóc?

- Nikt. Pan wie, że mamusia chora, a ciotki i babka...

- Wiem, wiem. Ciotek nie można zaprząć do pługa, bo nie uciągną, a babka też krowy nie wydoi. Biedactwa są to pocziwe... Ale pani też nie uciągnie. Niech pani nie gniewa się, że do nie swoich spraw się mieszam. Trochę jestem na ten temat pomyłony, a i pani też, jak ludzie opowiadają. Swoją swemu nie wyrządzi krzywdy.

Irenka uśmiechnęła się serdecznie.

- A ja będę swoje robiła!

- Zgoda. Wariatom sprzeciwiać się nie należy, mogę tylko zapisać okład z lodu na głowę. Ale jedno niech mi Irenka przyrzeknie...

- Co takiego, panie doktorze?

Doktor mówił wesoło, ale tak, jak gdyby pod tą wesołością chciał coś ukryć.

- Niech mi Irenka przyrzeknie, że kiedy poczuje w głowie zbyt wielki galimatias, to wtedy do mnie jak w dym. A jak jakieś nieszczęście, to też do mnie. Nawet gdyby mnie trzeba z łóżka wyciągnąć za łeb, bo ja bardzo cenię piwo, tylko że mi po nim spać chce się bardzo. A jakby coś tego... no... jak to się zowie... aha!... jakby coś tego z gotówką, też do mnie. W dzień czy w nocy. Niech pani takich zdumionych min nie robi, bo ja się nie przestraszę. Ja jestem stary sknera i składam talary, a mnie to po co? Żony nie mam, dzieci nie mam, a piwo tanie. Mam czerwoną, bawełnianą pończochę po prababce i już do pięty napełniłem ją srebrem i miedzią. Pończochę, oczywiście, nie prababkę... Dobrze, drogie dziecko?

Ułożył usta w „ciup” i udawał, że jest znakomicie ubawiony. Irenka patrzyła w niego rozrzuwniona, myśląc, dlaczego wszyscy tacy są dla niej dobrzy. Widzi tego człowieka może drugi, może trzeci raz w życiu, a on do niej przemawia jak ktoś bliski i bardzo serdeczny. Bez wielkiego namysłu rzuciła mu się na szyję i ucałowała cudaczną jego twarz. Doktor pokraśniał, zdumiał się i rzekł ze śmiertelną powagą:

- Samą pończochę dam pani też.

I wyszedł, gadając do siebie głośno, strasznie z siebie rad. Nie byłoby mu jednak tak wesoło, gdyby mógł odgadnąć, jak szybko sprawdzi się jego proroctwo. Z ludźmi dawała sobie dziewczyna radę, ale nie mogła podolać papierom. Nagromadziło się ich tyle, że nie mogła z każdym z osobna biec po radę do dobrych ludzi, jak to czyniła dotychczas. Papiery były wrogiem - licznym i niepojętym: nie miały serca ani litości, szczyrzyły tylko czarne zęby liter. Nie można było do nich ani zagadać, ani ich wzruszyć. Dziecko patrzyło na nie z przestachem, nie rozumiejąc, czego od niego chcą, o co je nagabują. Dziewczyna wiedziała to jedno, że wciąż grożą i grożą. Bała się dotknąć ich, a nie mogła oderwać od nich oczu. Co one oznaczają, czym straszą? Musiały być złe, bo matka, przejrząwszy je zbladła, a one wysunęły się z szelestem z jej drżących rąk. W Irencie rósł lęk. Jednej niedzieli

poprosiła po mszy trzech sąsiadów i zatrwożonym głosem ubłagała ich w imieniu matki, aby zaszli do białego domu i zbadali tajemnicę tych papierów. Uczynili to chętnie i przejrzeni papiery szybko, z doskonałą wprawą. Spojrzeli po sobie - potem na Irenkę, wpatrzoną w nich tak, jak patrzy chory na twarze zebranych przy nim lekarzy.

- To nic złego, nic złego, drogie dziecko... - rzekł wreszcie stary, siwy pan. - Małe kłopoty, i tyle.

Irenka wyczuła jednak, że głos jego brzmiał niepewnie i nieśmiało. Potem jeden z nich poszedł z nią obejrzeć gospodarstwo, a dwaj inni chcieli porozmawiać z matką. Rozmawiali z nią długo i cicho. Nikt tej rozmowy nie słyszał, kiedy jednak odjechali i Irenka spojrzała na matkę - zrozumiała wszystko, bo łzy w oczach pani Borowskiej wymowniejsze były od słów. Białe domy umarły.

Mieszkali w nim jeszcze przez kilka miesięcy, a kiedy wiosna przystroiła sobie młodą, niedowarzoną, roześmianą głowę kwiatami, odbył się cichy pogrzeb białego domu. Przybyło mnóstwo obcych ludzi i jakieś urzędowe osoby. Wszyscy oni, jakby wielką ogarnięci litością, zachowali się cicho i z szacunkiem. Wszyscy sąsiedzi byli obecni i czynili jakieś wysiłki, aby ocalić jak najwięcej, jakby z pożaru. Ludzie ze wsi otoczyli dom gromadą i patrzyli w wielkim milczeniu na tych, co tu długo mieszkali, nigdy nikomu nie czynili zła. a zawsze czynili dobro.

Irenka była bardzo blada, lecz spokojna. Już pożegnała się z grobem ojca, a teraz, kiedy nikt nie widział, całowała ściany tego domu, co ją tak bardzo kochał. Gładziła ręką meble, zegnała się z każdym przedmiotem. Pozwolono im zabrać niewiele. Na jednej furce siedli oni wszyscy, a na drugiej wieziono te rzeczy, które dla nich ocalały. Żegnano ich z serdecznym wzruszeniem, całowano po rękach i głośno błogosławiono. Irenka chciała uśmiechnąć się do wszystkich, uczyniła to jednak tak niezręcznie, że zamiast napełnić się uśmiechem, oczy jej napełniły się łzami.

- Trzymaj się, Irenko - szepnął jej ksiądz.

- Dobrze! - rzekła Irenka.

Pojechali do miasteczka, w którym już przedtem wynajęto dla nich mizerny domek przy uliczce spokojnej i pełnej kurzu. W dwóch izdebkach ustawiono biedne sprzęty, w oknach zaś kwiaty zabrane przez Irenkę, bo tego nikt jej nie bronił. W domku tym było przeraźliwie ciasno. W jednej izdebce mieszkała pani Borowska z Jasiem, ciotki z babką w drugiej, a Irenka objęła we władanie kuchenkę, do której przez okno zaglądały zakurzone badyle. Z gorączkowym pośpiechem zdołała swoją nową siedzibę, zmiotłszy senne pajęczyny. Zauważyła z radością, że słońce przywędrowało tutaj za nimi, bo domek zwrócony był ku południowi i małymi oknami patrzył na dalekie wzgórza, tak wyrosnięte, jak ogromne bochenki chleba. Miasteczko było niewielkie, lecz wesołe i miłe. Irenka знаła je wybornie, była to bowiem jej „stolica”, do której przyjeżdżało się na dworzec kolejowy, na pocztę i do szkoły na czas składania egzaminów.

Po mądrej głowie Irenki zaczęły szybko krążyć bardzo ważne myśli. Trzeba było za wszystkich obmyślić, jak urządzić teraz życie, czym nakarmić nieszczęsną gromadkę, a przede wszystkim: jak to sprawić, aby zapomnieć o tym, co było, i dźwignąć się z trzęsawiska smutku. Po cichej, roztropnej naradzie z matką dowiedziała się, że starczy im środków może na rok, a może na krócej. Trzeba będzie jednak oszczędzać przeraźliwie. Irenka skinęła głową.

- Ale co potem, co potem? - szepnęła matka.

- Na zmartwienie jest zawsze czas - odrzekła Irenka. - Niech tylko mamusia będzie spokojna. Ja coś wytrzasnę z mojej kudłatej głowy.

Biedna ta głowa pracowała istotnie tak, że aż trzeszczało. Wielkim jej wezyrem i tajnym radcą stał się teraz doktor Lipień, mieszkający opodal. Szwargotał on czasem z Irenką przez długie godziny i rad udzielał jej znamienitych. Zdarzało się też, że zamiast dobrej rady przyniósł ukrytą w przestronnym parasolu parę kurczaków, które otrzymał jako zapłatę za lekarską poradę, albo, ostrożnie krocząc, jakby był ze szkła, dobywał z licznych kieszeni dwanaście jaj z tego samego pochodzących źródła. Sławny bowiem to był lekarz. Leczył zaś tak, jak żaden lekarz na świecie. Przychodzi na ten przykład stare chłopisko, wynędzniałe i zbiedzone tak, że tylko skóra wisi na kościach jak płaszcz na wieszaku. Każdy lekarz powiedziałby, że chłop jest wynędzniały i musi dobrze się odżywić, aby nabrać sił. A doktor Lipień mówi tajemniczo do chłopca i jego żony:

- Weźmiesz, bracie, czarną kurę. Nie może być ani biała, ani czerwona, tylko czarna. Niech ją baba zarżnie o świtaniu, a potem niech poza siebie splunie trzy razy. Jakby splunęła cztery razy, to nie będzie ważne. Słuchajcie dobrze! Potem tę kurę musi gotować przez dwie godziny, a kiedy będzie miękka, niech ją podzieli na trzy części i trzy razy niech wa to da do zjedzenia. Ale nim ją, bracie, zjesz, powiedz przedtem: „Twoje zdrowie, moje zdrowie!” I tyle. A jak sobie zjesz wszystkie kury, które masz, będziesz zdrow jak sam pan starosta.

Ksiądz proboszcz mówił do doktora:

- Czy konsyliarz zmysły postradał, czy co? Po co doktor ludzi ogłupia i każe im pluć trzy razy po zarżnięciu kury? Czy chłop bez tego nie może jej zjeść?

- A właśnie, że nie - odpowiedział doktor. - Najpierw dlatego, że mu jej będzie żal, a następnie, co to za wielka sztuka zjeść kurę! I jaki ze mnie doktor, co zamiast proszków zapisuje kurę, którą można sprzedać i coś z tego mieć. Ale ja znam swoich pacjentów. Skoro musi być czarna, przy jej zarżnięciu trzeba odmawiać diabelskie zaklęcia i gadać do niej po nagłej i niespodziewanej śmierci, w takim razie coś w tym jest. To takie niewinne czary, księżę dobrodzieju, ale chłop pożywi się i wyzdrowieje.

- A dlaczego ma być potem zdrow „jak sam pan starosta”?

- To też bardzo proste. Jeśli powiem chłopcu, że będzie zdrow jak ryba, wcale mu nie przemowie do wyobraźni. A starosta to trochę więcej niż ryba.

Ksiądz machał ręką z wielką rezygnacją, a doktor Lipień leczył na swój sposób, i doskonale leczył. Kiedy musiał zapisać proszki, które trzeba było połykać co dwie godziny, najprzedziwniejsze do tego zabiegu wymyślał ceregiele.

- Pierwszy raz - mówił - zażyjesz, kiedy w kościele odprawiają mszę św. Wtedy to najbardziej pomaga. Potem patrz, kiedy dzieci idą do szkoły. Wtedy staniesz tyłem do słońca i znowu zażyjesz proszek. Trzeci raz wtedy połkniesz, kiedy usłyszysz gwizd lokomotywy na kolei, a czwarty raz,

kiedy w kościele zadzwonią na południe.

I tak aż do nocy, a chłop, nie mający zegara, nie opóźnił pory ani na minutę. Bo jakże to nie wierzyć takiemu lekarzowi, co każe tyłem stawać do słońca? Żaden nie kazał, a ten kazał. Już on tam swoje wie! Tajemnica to wielka rzecz, a bez czarów najlepszy proszek nikomu nie pomoże. Irenki w ten sposób nie leczył, lecz mówił po prostu:

- Nie martw się, dziewczyno, bo nos ci się wydłuży. Masz tu kuraka, którego ja nie zjem za żadne skarby świata, bo krzywo na mnie spojrział. Zarzniesz go o świtanu... tfu! Do licha! Rób sobie z nim, co chcesz. A jeśli sama też nie zjesz, to cię przeklnę.

Chytry doktor wiedział o machinacjach Irenki, bo często udawała tylko, że je, byle tylko zachować coś dla matki albo dla Jasia, który chodził do szkoły, ciężko narzekając na tego, co wymyślił tę instytucję. Nawet okruszyny zbierało się w tym biednym domku.

Trzeba było nakarmić głód i smutek, ciała i dusze. Tym drugim, dziwnym pokarmem zajęła się Irenka, mająca w tym względzie doświadczenie. Powoli i ostrożnie zaczęła praść radość jak srebrny pajaczek swoje przędzywo. Z wesołym uporem wmawiała we wszystkich, że mieszkanie jest wygodne i przestronne, że miasteczko jest czarujące, a słońce tak samo złote, jak dawniej było. Leczyła swoich takimi samymi gusłami, jak doktor Lipień leczył zabobonnych kmiotków. Była szczęśliwa, jeżeli na czyichś ustach ukazał się uśmiech, taki blady, jak uśmiech na ustach chorego dziecka. Za jej sprawa smutek zaczął opadać i rzednąć jak mgła przed świtem, wzburzony ból serc uciszał się, jak woda na jeziorze przysychały łązy. Czasem Jaś zaśmiał się głośno i z całego serca, słuchając obłąkanej gadaniny Irenki. Najpierw słuchano tego śmiechu z nagłym zdumieniem, jak gdyby nieznanego dalekiego głosu, z czasem zaś zaczęto oczekiwać z upragnieniem złotej radości dziecka. Znużeni ludzie zaczęli odpoczywać i zdawało się, że w dwóch bielonych izdebkach życie ułożyło się jako tako. Tak jednak tylko zdawało się. W izdebce po lewej stronie zamieszkaney przez babkę i ciotki, odbywały się jakieś knowania i spiski. Zdumienie Irenki było bezgraniczne, kiedy dowiedziała się przypadkiem od Jasia, że ciotka Barbara chodziła na pocztę, co odniosło piorunujący skutek, po tygodniu bowiem oszołomiona ciotka otrzymała list - zapewne odpowiedź - i czym prędzej ukryła go na piersi. Pocziwy babiniec coś knuł i jakąś podziemną prowadził intrygę.

Wreszcie ziemia zakołysała się, a wulkan wyrzucił pod niebo wielką wiadomość. Oto ciotka Barbara miała jakąś wcale zamożną przyrodną siostrę, co, owdowiawszy po raz trzeci, wiodła siwy i spokojny żywot we Lwowie, najbardziej gościnnym mieście na obu półkulach niegościnney ziemi. Osoba ta, samotna jak księżyc na niebie, wzruszona listem Barbary, pisany łzami, zgodziła się na przyjazd jej i na przyjazd babki. Zaświadczyła to w liście bohaterskim, a zarazem rzewnym, dowodzącym, że są jeszcze na świecie, a w mieście Lwowie szczególnie, ludzie dobrzy i miłosierni. Żadnych nie obiecywała rozkoszy, ale kąt spokojny i kęs chleba. Babina miała zacne serce. Babka oświadczyła z miejsca, że tygodnia nie przeżyje w nieznanym mieście, ale pojedzie, bo chciałaby na stare lata zobaczyć kawał świata.

Wysłuchano tej wieści ze zdumieniem tak głośnym, że nikt nie usłyszał uwagi obecnego przy tym doktora, który więcej na użytek własny niż na użytek publiczny rzekł cicho:

- Babka z wozu, koniom lżej...

Zapowiedź rozstania najbardziej zdumiała ciotkę Amelię. Patrzyła na babkę i na Barbarę jak na szalone podróżniczki, co wybierają się w afrykańską puszcę. Rozumiała, że tylko śmierć je rozłączy. Wiedziała o liście Barbary, niespodziewała się jednak tak rychłego rozwikłania. Widać, że tak trzeba, bo w białym domu było wiele miejsca, ale tu go nie ma. W białym domu był zawsze chleb, a tu go często brakło. Nagle poczuła się strasznie winna, bo przecież ona też jest ogromnym ciężarem i je oplakany chleb tych, którzy go nie mają zbyt wiele. W niespodzianym olśnieniu, jakby własną, niezawinioną ujrzawszy zbrodnię, rzekła cicho, lecz stanowczo:

- Ja też jadę!

- Ale dokąd? - zawołała pani Borowska.

- Nie wiem... - odrzekła Amelia i rozejrzała się dokoła, jakby szukając ratunku. Doktor Lipień kiwnął głową z wielkim uznaniem. Przyłożył palec do czoła, jakby nakazywał czujność swojej mądrej głowie i wzywał ją do potężnego wysiłku, a po chwili rzekł:

- Czy pani naprawdę chciałaby wyjechać?

- Chciałabym umrzeć! - westchnęła Amelia.

- Przy takim jak ja doktorze może to pani zdarzyć się bez wielkiego zachodu. Ale lepiej już żyć, bo śmierci nie da się tak łatwo odrobić. Każdy gada, że chciałby umrzeć, a jak przyjdzie co do czego, wtedy krzyczy, że nie chce, i dopiero doktorzy muszą mu pomóc, aby życzenie się spełniło. Coś pani powiem, panno Amelio... Nie gniewajcie się, że to wszystko gadam, ale dla tego berbecia - tu pogardliwym ruchem głowy wskazał Irenkę - gotów jestem narazić się na wyrzucenie za drzwi. Tylko spokojnie!... Otóż rzecz jest taka: tak razem, w kupie, nie dacie rady. Nie ma co ukrywać... Jeszcze dwa miesiące, jeszcze trzy, a co potem? Finis, punctum, pauza. Trzeba więc ulżyć sobie nawzajem...

- Ależ doktorze! - rzekła z wyrzutem pani Borowska.

- Oho! Serce gada, a ja mówię na rozum. Nie przerywajcie mi, bo jestem natchniony i improwizuję. Otóż: babcia dobrodziejka i panna Barbara zrobiły wspólną karierę.

- Kto umarł? - krzyknęła ni stąd, ni zowąd babka.

- Dotąd wszyscy moi pacjenci - huknął doktor. - Cóż jednak uczyni panna Amelia, która płacze, bo wie, że wam wszystkim ciężko? Proszę pani! Ja mogę mówić, że pani płacze, ale to nie powód, aby pani naprawdę beczała. Najlepiej niech się pani odwróci fizjonomią do ściany i popłakuje w tej pozycji, a ja dokończę mojej wielkiej mowy.

- Ja już nie płaczę... Ja słucham, drogi doktorze. Pan jest...

- Na Boga! Proszę nie kończyć, bo dzieci dowiedzą się o mnie czegoś strasznego. Otóż panią, panno Amelio, skażę na ciężkie roboty. Czy państwo słuchają uważnie?

- Słuchamy.

- Jest w tym nie bardzo podłym miasteczku jeden stary dziwak. Dobry człowiek, tylko narwany. Posiada chałupę, kanarka, psa i nikogo więcej na świecie. Kanarek ma złamaną nogę, pies ma pchły, a jego pan ma kiełbie we łbie. W domu jest mała prowincjonalna filia wielkiego zakładu dla wariatów: obiad jedzą tam czasem o północy, w lustrze może przeglądać się chyba śmierć, bo tak zaśniedziało, ubranie leży pod łóżkiem, a buty wiszą w szafie. Nadzwyczajna różnorodność... Gadałem z tym mandrylem, aby wreszcie, choćby przed śmiercią, jaki taki ład zaprowadził w swoim domu. Powiedział mi: „Czy panu nie wstyd robić chlew z katolickiego domu?” Odrzekł mi, że nie ma czasu na głupstwa. „Weź pan sobie zacną i stateczną gospodynię.” - „A skąd ja, u licha, wytrzasnę zacną i stateczną gospodynię!” - A ja mu na to: „A ciotka Amelia to pies?” Och, przepraszam! Nie tak powiedziałem, tylko jakoś podobnie.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - uśmiechnęła się Amelia przez łzy.

- Ja wiem, że nie szkodzi, ale przeprosić trzeba - odrzekł doktor. - Stańto tedy na tym, że stare dziwadło chętnie i z całego serca odda pod pani opiekę swój ohydny dom, coś tam nawet za to zapłaci, nakarmi i napoi. Czy to nie doskonały pomysł?

- Świetny! - krzyknęła z entuzjazmem Amelia.

Pani Borowska pokręciła głową.

- Dobrze - rzekła - ale sam pan mówi, że to bzik. Czy to naprawdę wariat?

- Czasem miewa chwile przytomności - rzekł doktor z u' znaniem. - Poza tym nie bardzo szkodliwy. Nie gryzie, nie wyje i nie kąsa.

- Któż to taki?

- No któż?... Czy to tak trudno zgadnąć?

- Pan doktor! - zakrzyknęła z triumfem Irenka.

- Jeden wariat od razu pozna drugiego - rzekł doktor z głębokim uznaniem.

Rozdział dziewiąty

Gromadka rozpierzchła się jak stadko kuropatw po wystrzale. Uroczystość rozstania była w miarę żałobna, a w miarę komiczna; wzruszająca i rzewna była chwila, kiedy Irenka z niezwykłą powagą, jaka musiał mieć na twarzy Napoleon, żegnający swoją gwardię, wydobyla z szafy małe zawiniątko i, wręczając je oszołomionym ciotkom, rzekła:

- Tatuś polecił mi, abym to zwróciła.

Był to ów dostojny a ubożuchny skarb ciotek, ofiarowany panu Borowskiemu w smutnej godzinie.

Wielką beczkę straży pożarnej można by napełnić łzami, które popłynęły tego dnia. Serce nie mogło oderwać się od serca, nie mogły rozpleść się ramiona. Wreszcie babcia z rozzwierającym okrzykiem: - Ja tygodnia nie przeżyję! - zakończyła żalobną uroczystość, a rozpoczęła jej ustęp wesoły, za żadną cenę nie chciała wejść do wagonu, głośno narzekając, że kolej wymyślił diabeł, a w żelaznych klatkach powinno się wozić małpy, a nie uczciwych ludzi. Dopiero natarczywy gwizd sapiącej ze zmęczenia lokomotywy przeraził babkę, a doktor, korzystając z tej chwili, wepchnął ją do wagonu.

- Grubianin! - zdołała krzyknąć babka i odjechała w siną dal.

Ciotka Amelia zamieszkała w domu doktora i objęła generalską władzę nad straszliwą graciarnią i przeznaczoną do posług osobą płci żeńskiej, żywo przypominającą żołnierza ciężkiej artylerii.

- Jest to dobra dziewczeczka - objaśnił doktor. - Ma tylko tę wadę, że myje się rzadko i jedynie z polecenia lekarzy. Poza tym od stycznia do grudnia owiazuje sobie twarzyczkę, bo się boi, aby jej nie zawiąło. Kiedy przyrządzi herbatę, można ją uważać za rosół, a kiedy ugotuje rosół, można go podać jako herbatę. Ja jednak nie narzekam, bo sam tego nigdy nie spożywam, chyba że odważny znajdzie się gość, wtedy tym piekielnym odwarem raczy się gościa, aby już nigdy nie powrócił. Zdaje mi się, że pan burmistrz dlatego nie kłania mi się od roku, bo raz był u mnie na obiedzie. Niech to pani nie przestrasza. Dzieweczka, jak już powiedziałem, jest miła, a na starość zrobię z niej pierwszorzędną czarownicę.

Ciocia Amelia pomyślała z przestraczem, że jeśli ona przyrządzi rosół, to ją anielski ten człowiek zastrzeli albo jej każe wypić truciznę. Pomyślała jednak, że Irenka, która wszystko umie, powoli we wszystkie gospodarskie wtajemniczy ją kunszty.

Doktor nie zwracał jednak uwagi na drobiazgi; można było podać mu smażony stary kalosz, a on byłby nie zauważył, co pozera. Zaciekawiała go inna sprawa.

- Powiedz mi, nadobna Irenko - rzekł raz tajemniczo - czy dostojna Amelia jest lunaticzką?

- Ależ nie! - zaśmiała się Irenka.

- A może ona uczyniła ślub, że wśród nocnej ciszy będzie gadać sama z sobą przez dwie godziny?

- A czy ciocia tak gada?

- Z gadaniem mniejsza, bo ja sypiam daleko, po drugiej stronie domu, ale ciocia czasem wykrzykuje, jakby dowodziła wojskiem.

Irenka z wielkiego śmiechu chwyciła się rękami za to miejsce, w którym wedle zgodnej opinii uczonych znajduje się żołądek.

- Oj! To pan doktor o niczym nie wie?

Doktor przechylił śmiesznie głowę i tak w nią patrzył jednym okiem, jak kura na jastrzębia.

- Przecie ciocia pisze wiersze, a kiedy tworzy, głośno je powtarza.

Och! Och! - zdumiał się doktor. - Czy na to nie ma rady?

- Zdaje się, że nie ma.

- A gdyby tak zimne okłady na głowę? To nadzwyczajne!

Patrzysz na kobiecinę i niby nic: chuchro! A w kobiecie mieszka szatan, demon poezji. Czy ona potrafi prorokować?

- Chyba nie, dotąd nie zdarzyło się to jeszcze.

- Wielka szkoda, wielka szkoda! Jeździlibyśmy po jarmarkach i zbijalibyśmy grube pieniądze. Ja robiłbym hokus-pokus, a ciocia wygłaszałaby prorocтва. Na co Irenka tak pilnie patrzy?

- Patrzę, bo panu doktorowi pękł but.

- Przenigdy! Czasem pęka mi serce, ale dziurę w tym bucie ja sam wyciąłem. Jest to pomysł głęboki i dokonany po wielkim namyśle, bo w tym miejscu mam odcisk, więc mu otworzyłem okno na świat.

- A kiedy pada deszcz? - zanosila się Irenka od śmiechu.

- W okresach burzliwych, mroźnych lub deszczowych odnajduję w kieszeni wycięty kawałek skóry i wkładam go w miejsce jego pochodzenia. Wtedy cierpię i milczę.

Przyjaźń Irenki z doktorem była bezgraniczna i oparta na całkowitym zaufaniu. Dobry ten i przedziwnie mądry człowiek wiedział o każdym drgnieniu dziewczęcego serca. Gdyby miał własną córkę, nie mógłby jej kochać serdeczniej, ona zaś uwielbiała go razem z jego niewinnymi dziwactwami, z pokaleczonym butem, ze zbyt obszernym kołnierzykiem celulooidowym, który można było do stanu świetności przywrócić przez obmycie go zimną wodą, z wesołym sposobem mówienia. Wybiegała czym prędzej na próg, kiedy ujrzała przez okno drobna figurkę w meloniku na głowie, figlarnie opuszczonym w stronę lewego ucha, gestykulująca rękami w jaskrawożółtych, nicianych rękawicach i krocząca z powagą kardynała, który za chwilę będzie błogosławił padający na kolana lud. Na rześiste ukłony i głośne powitania - lubiono go bowiem nadzwyczajnie - odpowiadał przyjaznym, lecz łaskawym skinieniem ręki i poruszeniem głowy takim, jakim kłania się porcelanowa figurka Chińczyka. W wypadkach szczególnie rzadkich i osobliwych ujmował dwoma palcami kresę twardego kapelusza i unosił go nad czubkiem głowy ruchem największego eleganta ze śmiesznych okresów mody. Mądry i przezorny otwór w bucie, o którym wiedziało całe miasteczko, nie psuł bynajmniej wytwornej całości, jak dziurki w nosie nie szpecą nosa.

Odwiedzał domek pani Borowskiej codziennie i bawił smutną kobietę w sposób godny francuskiego markiza, ciekawie jej czasem opowiadając o nowych a przedziwnych sposobach pozbawiania się solitera lub o chorobach ciężkich, a mało zbadanych. Kiedy rozumiał, że pani Borowska ma dość, badał jej serce, oznajmiał poetycznie, że z takim sercem można biegać na konnych wyścigach, i

żegnał ją grzecznie, śpiesząc na konferencję do Irenki. Zajęła ona izbę po ciotkach, więc sala konferencyjna zawsze była gotowa.

Wiedli rozmowy wielce poważne, a im poważniejsze, tym głośniejsze śmiała się dziewczyna. Bez wtóru śmiechu mówiono wtedy tylko, kiedy omawiano przyszłość, chorobę matki lub sprawy codzienne, szare i dokuczliwe. Doktor, sam siebie mianowawszy opiekunem Irenki, musiał wiedzieć o wszystkim, bo i o tym nawet, co Irenka spitrasiła na obiad i czy buty Jasia trzeba oddać do naprawy.

- Bóg nam pana zesłał, drogi panie doktorze! - mówiła czasem Irenka.

- Widać nie miał nikogo lepszego pod ręką, więc zesłał takiego jak ja marcepana. Czemu dzisiaj wyglądasz jak piątek ze śledziem i z pieczonymi kartoflami?

- Martwię się...

- To łatwe zajęcie, tylko że niepotrzebne. Czym się martwisz?

- Panie doktorze! Ja muszę czymś się zająć... Znaleźć jakaś pracę.

- Świetnie! Możesz uczyć tańczyć dwóch paralityków w naszym mieście, bo innej roboty nie znajdziesz. Albo będziesz u mnie udawała taka, co była beznadziejnie chora, ale od razu ozdrowiała, ledwie na nią spojrział.

- Nauczę się szycia i będę zarabiała.

- Szycia nauczysz się, a kiedy już będziesz umiała, zaszyj sobie czarną nitką żołądek, aby oduczyć się od jedzenia, bo tyle właśnie tym szyciem zarobisz. Tu każdy sobie sam fabrykuje kieckę, a ta kiecka przechodzi naturalną koleją z babki na matkę, a z matki na córkę. Siedzę tu dwadzieścia pięć lat, a moda nie zmieniła się ani razu. Ja też uległem zwyczajowi i od dwudziestu pięciu lat noszę te spodenki, nazwane figlarnie „pepita”. Rozpruj, dziewczyno, swoje marzenia, zanim je uszyjesz.

- Coś jednak muszę robić...

- To z kabzą jest tak źle?

- Widać dno, panie doktorze.

- Kiedy widać dno - powiada jeden filozof - to nieomylny znak, że studnia wyschła. Nawet butelka kończy się wreszcie - jak słusznie zauważył jeden pijak. A wiele tam tego jeszcze zostało?

- Na jakiś miesiąc. Gdyby nie to, że czasem nam z naszej dawnej wsi przywiozą dobrzy ludzie mąkę albo kartofle, to już nie byłoby i tego. Ja nawet na nafcie oszczędzam i po ciemku sobie z mamą gadamy. Dlatego muszę myśleć na gwałt o tym, co będzie.

- Słusznie. Wiewiórka też zbiera orzechy na zimę, ale ty nie jesteś wiewiórka. Musimy wobec tego namyślić się głęboko, co robić, ale przed mamą ani słowa.

- Mama wie przecież. Oka czasem przez noc nie zmrúży, tylko myśli i myśli.

- To źle. Mędracy myślą się, twierdząc, że noc przynosi dobre rady, gdyż niewyspany człowiek jest bardziej bezradny niż taki, co przechrapał zmartwienie. Niech tedy mama śpi, a ja będę myślał i ty będziesz myślała. Najpewniej we dwoje nic nie wymyślimy, ale należy spróbować. Na zmartwienie będzie zawsze czas.

- Ja też tak sobie zawsze mówiłam, ale teraz nie umiem sobie czasem dać rady ze zmartwieniem.

- Ty? Ty, dziewczyno, dasz radę morowemu powietrzu. Nawet ja, którego los okrutnie doświadczył, czuję ulgę w twoim towarzystwie.

- O, Boże! Co się stało? Czym pana doktora los doświadczył?

- To mi się stało, że jeden chory, który wedle moich obliczeń powinien był wczoraj oddać Bogu ducha, dzisiaj wstał zdrowy i pobił żonę, a ja nie wiem czemu! To znaczy, wiem, dlaczego pobił żonę, ale nie wiem, dlaczego wyzdrowiał, wbrew nauce. Śmieję się, śmieję, ale mnie jest nieskończenie smutno.

Spod oka patrzył jednak figlarnie, nadzwyczajnie rad, że Irenka śmieje się głośno. Radosny śmiech czał się w niej jak iskra pod szarym popiołem i trzeba było lekkiego dmuchnięcia, aby buchnął złoty płomień. Wiosna popłacze sobie czasem krótkim deszczem, ale zakochana jest w słońcu.

Nazajutrz przydreptała ciocia Amelia. Była bardzo rozgorączkowana i niespokojna, ale śmiejąc się nienaturalnie głośno, przypominała list Barbary, opisujący podróż w towarzystwie babki, kiedy to babka przerażona pędem pociągu, chwyciła kurczowo za hamulec bezpieczeństwa, lokomotywa zaczęła przeraźliwie gwizdać i pociąg zatrzymano. W ciągu tego znanego wszystkim opowiadania spłynął na jej twarz niespodziewany rumieniec, lekki i różowy jak panińskie westchnienie, i ciotka rzekła ni stąd, ni zowąd:

- Wyobraźcie sobie, moje drogie, co mi się wydarzyło. Szukam ja wczoraj w moim tobołku zaginionej pończochy... Wiecie, co to takiego... Takiej zwyczajnej pończochy...

Wszyscy wiedzieli, co to jest pończocha, więc ze zdziwieniem patrzyli na ciotkę Amelię.

„Ciocia coś zmyśla” - pomyślała Irenka.

- ...a pończochy nie ma. Albo myszy zjadły, albo przepadła... Szukam, szukam, aż wtem czuję, że dotykam jakichś papierków... To dziwne, prawda?

- Cóż dziwnego? - uśmiechnęła się pani Borowska.

- Ach, to bardzo dziwne... Bo patrzę, patrzę i oczom nie wierzę... To były pieniądze.

- Pieniądze? Skąd pieniądze?

- Otóż właśnie... Sama nie wiem... Przez całą noc myślałam, skąd ja mam te pieniądze? Aż tu nad

ranem przypominam sobie, o, doskonale sobie przypominam, że przed kilku laty świętej pamięci kuzyn dat mi te pieniądze i powiada: „Niech panna Amelcia schowa, bo ja nie mam gdzie?”... No i ja schowałam, a wczoraj znalazłam... Oto te pieniądze!

„O, jak ty nie umiesz kłamać, droga ciotko!” - pomyślała Irenka.

Pani Borowska uwierzyła pocziwie niezdarnej opowieści, bo wszystkiemu wierzyła i wszystkim. Irenka nie rzekła ani słowa, tylko nieufnie kręciła czarną głową, kiedy jednak nazajutrz przyszedł doktor, spojrzła mu prosto w oczy, on zaś z dziwnym pośpiechem spojrzął w okno.

- Pan doktor - rzekła Irenka - gubi niewinną duszę ciotki, a tu jest kwit.

Podawała mu kartkę papieru, która głosiła, że ona, Irena Borowska, winna jest doktorowi Zenobiemu Lipieniowi sumę złotych stu, które zobowiązuje się zwrócić w czasie nieograniczonym.

- Czy tak dobrze? - zapytała.

- Wyśmienicie! - bąknął doktor zapłoniony jak panna.

Nagle gniew go poderwał jak wichur suchy liść.

- Że też ta ciotka nawet zełgać nie potrafi uczciwie!

Wyszedł w wielkiej alteracji i mocno zaperzony, gotów do najkrwawszej awantury, gdyby mu kto stanął na drodze. Wymyślił wybornie całą komedię, a Amelcia niezdarne ją odegrała. A Irenka - też ziółko, nie daj Boże!

- Spróbuj taką ołgać! - wykrzyknął na głos z wielkim uznaniem.

- Moje uszanowanie panu doktorowi - zawołał ktoś uprzejmie.

- Do widzenia... Następny! - odrzekł doktor ni w pięć, ni w dziewięć, machnąwszy ręką w stronę zdumionego przechodnia.

Tego zaś dnia, nie mogąc jeszcze ochłonać ze zdziwienia, że najchytrzejszy jego pomysł został odkryty, napisał receptę na odwrotnej stronie kwitu Irenki.

Wspaniale przemyślny czyn doktora pomógł wprawdzie, ale niewiele: pozwolił jednak Irencie namyślić się spokojnie, co odniosło ten skutek, że Irenka dnia jednego podskoczyła w górę i czym prędzej pobiegła do doktora. Ucieszył się bardzo i rzekł z wielką powagą:

- Jeśli przyszłaś po lekarską poradę, to źle trafiłaś. Ja lecę żołądek, nerki, płuca i wątrobę, ale nie jestem specjalistą od pomylenia głowy. Z tym musisz jechać do Warszawy.

- Ja chcę właśnie jechać do Warszawy!

- Nie pomyliłem się - rzekł on smutno. - Głowa... siadaj i mów, byle poważnie, a nie takim

piskliwym głosem jak zwykle. „Kto umarł?” - jak mówiła babka, daj jej, Panie Boże, zdrowie.

- Doktorze, drogi doktorze! Ja mam myśl...

- I ślepemu zdarzy się, że coś znajdzie, kiedy długo szuka.

- Niech sobie pan doktor gada, co mu się podoba, a ja jednak mam myśl!

- Gadaj w imię Boże! Ja wiele wytrzymam, a gdybym osłabł, zawołaj ludzi.

- Drogi doktorze! Moja mama ma ciotkę...

- W uczonych księgach czytałem, że rzecz taka jest możliwa.

- Jeżeli pan doktor nie spoważnieje i będzie robił hece, pójdę sobie i nigdy nie powrócę.

- Wrócisz za trzy dni na mój pogrzeb, bo ja uschnę z rozpaczy jak drzewo w mróz. I cóż z tą ciotką? Zauważyłem, że w waszej rodzinie jest na ciotki urodzaj. Jedna mniej, jedna więcej... Skończyłem.

- Otóż ta ciotka, to nie taka zwyczajna ciotka. To hrabina!

- Jeśli jest chuda i długa, rym do niej będzie: drabina. Widziałaś kiedy ciotkę hrabinę?

- Nigdy jej nie widziałam, bo ona nie bardzo nas kocha.

- Niech jej za to wypadną dwa przednie zęby! - zakrzyknął doktor z nagłym gniewem. - A czemuż to ona nie bardzo was kocha?

- Ja domyślałam się tylko - mówiła Irenka - bo na pewno nie wiem.

Opowiedziała doktorowi obszernie o niechęci pani Opolskiej wobec szaraczka, za którego uważała jej ojca, i historię listu wysłanego przez matkę.

- Dziwna rzecz - mówił doktor - zdawało się dotąd, że każda ciotka jest chodząca, uśmiechnięta dobrocią. Widać, że gatunek zacnych ciotek marnieje i wyradza się. I ty wybierasz się do takiej ciotki? Po co?

- Panie doktorze! Wolałabym sto mil przeczołgać się na kolanach. Serce we mnie martwieje na myśl, że ją muszę prosić. Gdyby szło o mnie tylko, nie uczyniłabym tego nigdy i albo umarłabym z głodu, albo wstąpiłabym do cyrku, bo umiem dobrze jeździć konno. Pan jednak najlepiej wie, co się z nami dzieje. Przecie ja patrzeć nie mogę, jak się mama męczy w zatechłej, wilgotnej izbie i musi jeść suche kartofle wtedy, kiedy jej najbardziej potrzeba uczciwego jedzenia. A co będzie z Jasiem? Zima już jest i zaczną się straszne rzeczy.

- Nic straszego nie stanie się - mówił cicho doktor. - Jak długo ja żyję...

- Otóż to... Pan jest kochanym, najlepszym człowiekiem na świecie, poratował nas pan już nie raz

jeden. Czy pan jednak myśli, że mnie nie chce się płakać, kiedy musimy korzystać z miłosierdzia, chociażby takiego zacnego, jak pan, człowieka? Panie doktorze, ja nienawidzę pieniędzy!

- Ja też - wtrącił doktor. - Lubię jednakże mieć wroga w rękę, aby mu to powiedzieć wprost w oczy. A cóż ty myślisz zrobić z tą dostojną ciotką?

- Myślę dotrzeć do niej i prosić, by poratowała mamę i pomogła jej w leczeniu. Przysięgnę, że oddam jej wszystko, co do grosza, kiedy zacznę pracować. Przecie to uczciwe! Nie chcę żadnej jałmużny, broń nas przed nią. Panie Boże! Dla niej to będzie drobiazg, a mamusi może to ocalić życie.

- Raz już odmówiła...

- Tak, ale może nie odmówi, kiedy do niej przemowie serdecznie. Przygotuję sobie taką mowę. że ją wzruszę. Napiszę jej uroczyste zobowiązanie, że wszystko zwrócę, choćbym jej to miała odsłużyć jako pokojówka. Zresztą niech mnie wyleje za drzwi, byle mamę poratowała i Jasia. Dlatego wtajemniczam w to pana doktora, bo się boję, czy mnie mama puści na tę wyprawę, więc pan mi musi pomóc. Jezus, Maria, co to się stało? Czy kogo mordują?

Doktor zaczął nasłuchiwać, potem rzekł z uśmiechem:

- To ciocia Amelia deklamuje coś przed służebną dziewczeczką, która jest już umyta i uczesana. Ciocia pokrzykuje, a dziewczeczka, choć nic z tego nie rozumie, płacze wniebogłosem z wielkiego wzruszenia. Nie zwracajmy na to uwagi... Więc musiałybyś pojechać do Warszawy. A dasz tam sobie radę?

- Ja i w piekle dam sobie radę.

- To nie jest żadna sztuka, bo w piekle byłabyś w dobranym towarzystwie, ale co ty, biedactwo, zrobisz sama w wielkim mieście, którego nie znasz?

- Pójdę prosto do pani Opolskiej, i koniec.

Doktor długo myślał.

- Gdyby nie to, że sprawa z mamusią jest istotnie ciężka, nigdy bym się na tę awanturę nie zgodził. Poza tym powziąłem do tej ciotki głęboką niechęć, o czym możesz ją zawiadomić przy sposobności. Gdybym ją przeklął, a znam potężne przekleństwa, byłoby z nią źle. Na razie wstrzymam się przed tą ostatecznością i nie spuszczę ze smyczy tych siedemdziesięciu siedmiu diabłów, co we mnie mieszkają i czekają mojego skinienia. Nie śmieć się, laskonoga pannico, bo tak jest istotnie. Dość spojrzeć na moją szatańską twarz... Teraz idź do domu, a ja pod wieczór przyjdę do was i co będzie, to będzie.

Naradzał się potem z ciocią Amelią, która miała więcej wiadomości o pani Opolskiej i opowiedziała doktorowi jej historię. Była to dama w podeszłym wieku, którą nieszczęścia uczyniły twardą i zamkniętą w sobie; najpierw umarł jej mąż, potem córka, uwielbiana i pieszczona. Pozostał jej jedynie ogromny majątek i równie wielka gorzkość życia. Mieszkała stale w Warszawie, lecz, czy to dlatego, że dom swój uważała za nieszczęśliwy, czy też dlatego, że wszędzie czarnym cieniem szły za nią wspomnienia, krążyła wciąż po świecie jak gdyby uciekając przed nimi. Wyjeżdżała najniespodziewaniej, a było jej to obojętne, dokąd wyjeżdża. Utraciwszy szczęście własne, nie mogła patrzeć na szczęście cudze: stała się kamiennie obojętna na wszelkie cudze cierpienia, jak gdyby jej cierpienie było największe. Z nikim prawie nie utrzymywała stosunków, wyniosła i dumna. Może byłaby znalazła wśród ludzi pociechę, ale ze swego lodowatego szczytu nie chciała zejść w dolinę, gdzie ludzie dzielą się ucziwie i radością, i cierpieniem. Dlatego przestała istnieć dla niej najbliższa krewna, słodka i dobra pani Borowska, bo ważyła się zejść w te doliny, gdzie najtkliwszą znalazła miłość.

- Widzę z tego - rzekł zamyślony doktor - że to nieszczęśliwa osoba, co ma serce, tylko że trochę pomyłona.

- A czemu pan doktor tak się interesuje panią Opolską? - zapytała ciocia Amelia.

- Bo chciałbym się ożenić, ale tylko z hrabiną! - odrzekł on i poszedł, nie zwróciwszy na to uwagi, że żona Lota, zamieniona w słup soli, mniej zdumioną miała minę niż ciocia Amelia. Po dłuższej dopiero chwili zaczęła poruszać szybko powiekami, podniosła rękę, położyła ją na piersi, jakby

szukając serca, i westchnęła wreszcie tak rzewnie jak umierający słowik.

- Tylko z hrabiną... O, Boże wszechmogący!

Doktor zaś, wędrując przez błotniste uliczki i omijając kałuże, dzieci i wracające do obór krowy, gadał półgłosem sam do siebie i naradzał się ze swoją bystrą duszą. Tak przyłgnął do tej gromadki, że wszystkie ich sprawy stały się jego sprawami, a pani Borowska nie drżała tak o Irenkę, jak on o nią drżał. Puścić ją na tę wyprawę, czy nie puścić? Najbardziej trwożyło go to, że ucierpi dumą Irenki, zmuszonej do prośby. Nie wierzył w tę wyprawę. Z drugiej jednak strony - rozmyślał - czy jest na świecie ktoś, kto mógłby się oprzeć jej spojrzeniu i jej prośbie nie dla siebie, lecz dla matki? W tej dziewczynie jest tyle jasności i tyle dziecięcej rzewności, że kamień rozpękłby się i swoje kamienne oddałby jej serce. A to przecie bliska krewna, samotna, bez rodziny, bez nikogo. Poratuje swoją krew i swoich najbliższych. Zresztą: to jedyny ratunek. On sam mógł przemycić naiwnym sposobem trochę grosza do tego smutnego domu, ale trudno jest powtarzać takie sztuki. Pani Borowska przyjęła te pieniądze w dobrej wierze, spostrzegłaby się jednak następnym razem. A będzie coraz ciężej i ciężej. Biednej kobiecie trzeba spokoju i jakich takich wygod. Dzieci zmarnieją...

W tej chwili dobry doktor zamyśliwszy się wpadł w kałużę. Nie zauważył tego jednak, wpatrzony w swoje myśli, które krążyły niespokojnie jak jaskółki przed burzą.

„Może to będzie jednak najlepiej - myślał - jeśli dziewczyna spróbuje. Uczyńmy wróżbę, zwyczajem starożytnych! Pędzą stado krów... Jeżeli liczba będzie parzysta niech jedzie, jeżeli nieparzysta, na nic wszystko”.

Przystanął i zaczął głośno liczyć krowy.

- Jedenaście krów i jedno cielę... Czy to parzyste, czy nieparzyste? Diabli nadali cielę! Wszystko nieważne... Trzeba będzie wyprorokować z liczby wróble siedzących na płocie...

Wróble patrzyły ciekawie na tego dziwnego męża, który je po kolei wskazuje palcem i głośno liczy:

- ...trzynaście, czternaście, piętnaście...

Kiedy miał zakonotować ostatniego wróbla, szesnastego, wróblowi coś nie bardzo się podobało i zerwawszy się z płotu, z gęstym ćwierkaniem, uciekł. Doktor opuścił wzniesioną rękę.

- Był, czy go nie było? Oszust nie wróbel - był i uciekł. To nie może być ważne...

Zrezygnował z mętnych wróżb i postanowił zaufać niewzruszonej potędze swojego rozumu, który wyostrzył jak nóż, aby nim olśnić panią Borowska, w razie gdyby przeciwko podróży Irenki wytoczyła walne argumenty. Pani Borowska jednakże, oprócz łez, nie miała żadnych argumentów. Rozżalona była twardym i nielitościwym listem pani Opolskiej i teraz nie miała żadnej nadziei, aby poselstwo Irenki mogło się przydać. Trwożył ja wyjazd dziewczyny, chociaż takie dzielne stworzenie, jak Irenka, można bezpiecznie wysłać na koniec świata.

- Wstyd mi - mówiła - że musimy prosić. Wolałabym zapaść się pod ziemię niż wysłać to dziecko. Czy nie ma innej rady?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie, bo istotnie nie było rady. Irenka pokazała doktorowi oczami ścianę, po której zielonym liszajem pełzała wilgoć. Doktor skinął głową.

- Pani droga - rzekł miękko - przecie Irenka nie pojedzie prosić o jałmużnę. Pani Opolska ma obowiązek ratowania swoich najbliższych. Gdyby pani była bogata, a pani Opolska mieszkała w sęchłym mieszkaniu i nie miała co jeść razem z dziećmi, co by pani zrobiła?

- Ach, to zupełnie co innego!

- Otóż Irenka ma tego dokazać, żeby to nie było co innego. Skoro Pan Bóg dał jednemu więcej niż drugiemu, uczynił to zapewne w tym głębokim przekonaniu, że ten pierwszy czym prędzej z drugim się podzieli. Zresztą możemy przyrzec pani Opolskiej, że jej kiedyś oddamy.

- Jak to: oddamy? Kto?

- My wszyscy razem - odrzekł doktor. - Cóż to? Czy ja należę do rodziny, czy nie należę? Mógłbym równie dobrze być pani wujem, jak pani Opolska ciotką. Powagę odpowiednią do tego mam, z tym tylko bieda, że jestem taki łapserdak. Irenka, będziesz mnie nazywała wujem?

- Zrobione! - krzyknęła dziewczyna z entuzjazmem.

- O, widzi pani, jak łatwo jest o uczciwe pokrewieństwo. Niechże więc dziewczyna jedzie, a mnie pozostawi opiekę nad panią i tym basałkiem. Najgorsza rzecz w tym, żeby dała sobie radę w Warszawie. Nie macie tam kogo bliskiego?

- Nikogo - odpowiedziała pani Borowska.

- Przepraszam - rzekła Irenka. - Ja mam. Tam przecież jest pan Podkówka!

Wyjaśniono doktorowi, kto zacy jest pan Podkówka, a doktor zanotowawszy sobie jego imię i nazwisko, stan cywilny, przypuszczalny wiek i adres, skinął głową z uznaniem.

- Jeśli Irenka ma w stolicy tak potężne protekcje, włos jej nie spadnie z mokrej głowy. Pan Podkówka musi być dzielnym człowiekiem i zyskał mój głęboki szacunek.

Wobec tego postanowiono: wysłać Irenkę do Warszawy, zawiadomić pana Podkówkę, a panią Borowska z Jasiem przenieść na czas nieobecności Irenki do przepaścistego domu doktora. Podróż mogła potrwać kilka dni, oczywiście, jeśli wszystkie skrupulatne obliczenia nie zawiodą i jeśli Irenka nie pogmatwa ich z właściwą sobie fantazją. Jej jednak już było spieszno z powrotem, chociaż jeszcze nie wyjechała. Wieczorem zapytała matki:

- Mamusiu, do którego świętego należy pomodlić się, aby się wszystko udało?

- Czy ja wiem, moje dziecko? Jest jeden taki wielki i cudowny święty, co bierze udział we

wszystkich szarych ludzkich troskach. Może on cię wysłucha... To święty Antoni.

Jaś jednakże żywo zaprotestował:

- Po co ma szukać innych świętych, kiedy w domu jest swój!

- Jaki swój?

- A święty Jan to nic?

Rozdział dziesiąty

Pan Podkówka czekał na dworcu kolejowym z wielkim wzruszeniem w radosnym sercu i na pocziwym obliczu. Dowiedział się z listu Irenki o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu lat kilku, i o szalonej jej wyprawie do Warszawy. Tyle lat, tyle już minęło lat... To chude, śniade Cyganiątko musiało podróść cokolwiek. Stracił nadzieję, że je kiedyś zobaczy, a ona o nim pamiętała.

Jakaś wysoka panienka, w baskijskiej czapeczce, podniosła na jego widok obie ręce w górę i daje mu znaki przez okno. Boże drogi! To Irenka... „Panna z mokra głowa”, lecz jakże wspaniała panna... Jaka wysoka i jaka śliczna...

Pan Podkówka podbiegł i roześmiał się szczęśliwie, a ona roześmiała się też, ale jakby rzewnie. Uściskał przeto najpierw ją, a potem jej tobolek, wprowadzie mizerny, ale wskutek zapobiegliwości doktora dość pękaty i mogący swoją treścią żywić przez tydzień rozbitków niewielkiego okrętu.

- Panna Irenka! - śmiał się rozczulony pan Podkówka.

- Żadna „panna Irenka”, tylko po prostu Irenka! - rzekła dziewczyna. - Niech panu Bóg zapłaci za to, że pan jest taki dobry. Dokąd ja teraz mam pójść?

- Jak to: dokąd? Do nas! Do tej pani pójdzie pani jutro, a dzisiaj do nas, bo Irenka u nas zamieszka. Irenka pewnie nie wie, że ja się ożeniłem... A jakże! Znalazła się taka, co mnie chciała, zamknęła oczy i wyszła za Podkówkę. Czeka na panią i doczekać się nie może. Moja mama też... Kiedy usłyszała, że panna Irenka ma przyjechać, rozplakała się, ale nie tak jak zwyczajnie, tylko strasznie serdecznie.

- A może miejsca nie ma?

- Och, och! - śmiał się pan Podkówka z ogromnym zachwytem. - Ja mam obszerne mieszkanie, a list odniesiono mi z dawnego. Będzie panna Irenka mieć osobny pokój w moim gabinecie.

- To pan ma gabinet? - zapytała z szacunkiem.

- Mam, bo ja już jestem adwokatem, ale gabinet na razie jest mi zgoła niepotrzebny, bo jeszcze ani jeden klient do mnie nie przyszedł. Jakoś jednak żyję, bo ojciec mojej żony nie jest adwokatem, tylko rzeźnikiem, i doskonale mu się powodzi. Mnie się też kiedyś zacnie... O, jak ja się cieszę, jak ja się cieszę!

Radość pana Podkówki udzieliła się całej rodzinie. Ściskano Irenkę i całowano, jakby kogoś bardzo bliskiego. Mama pana Podkówki wylała jezioro szczęśliwych łez, oświadczając ze szlochaniem, że takiej ślicznej panienki nie widziała w swoim życiu, czemu z wielką radością przyświadczyła żona pana Podkówki, osoba wybornie wesoła, błękitnooka, rumiana i szczęśliwa. Męża swojego poznała na uniwersytecie i przejrzawszy go roztroprnymi oczami na wylot, sama mu się oświadczyła, pan Podkówka bowiem, chociaż za sprawą Irenki młodzian odważny, nie był zdolny do tak wspaniałego bohaterstwa.

Przypominali sobie teraz z Irenka na wyścigi wszystkie szaleństwa, śmiechem jak źródlaną wodą skraplając każde wspomnienie. Mama zalewała się łzami i wydawała trwożne okrzyki, ile razy jej syn wlaził we wspomnieniach na wysokie drzewo, bojąc się, aby nie spadł, żona zaś zanosiła się od śmiechu. Było im dobrze i bardzo, bardzo przyjemnie. Wieczorem przyłączył się do kompanii ojciec rzeźnik, sumiasty i jowialny jegomość, który, oceniwszy Irenkę zawodowym okiem, uśmiechnął się do niej z miłym uznaniem, jak do dorodnej „przedniej cielęcej”.

Wszystko to w obszernym liście nazajutrz o świcie zostało opisane i wysłane do pani Borowskiej, jak sztafeta z placu boju Dzień zaczął się od przygotowań uroczystych i przezornych.

Żona pana Podkówki poczyniła jakieś dziwne czarodziejstwa z garderobą Irenki i ze znakomitą zręcznością przydała wdzięku smutnej jej sukience. Jedyne próby ujarznienia oszalałej czupryny spełzły na niczym. Pan Podkówka, wiele mający czasu, oświadczył, że na krok jeden nie puści Irenki samej, bo nie chce odsyłać jej szczątków wydobytych spod samochodu, poszli więc razem: on poważny, ona zaś z niespokojnym drżeniem serca.

- To tu! - szepnął wreszcie wzruszony pan Podkówka.

Pokazał jej pałacyk, odgradzony od ulicy, zarosły dzikim winem, wytworny i czysty. W oknach wisiały zasłony, dębowa, pięknie zdobna brama była zamknięta.

- Ładny dom - rzekła Irenka nieswoim głosem. - Czy to naprawdę tutaj?

- Na domu jest tabliczka, niech Irenka spojrzy... Zofia hr. Opolska.

- Boję się! - szepnęła Irenka.

- Czego Irenka się boi? - mówił gorąco pan Podkówka.

- Nie wiem... Nigdy się tak nie bałam... Proszę pana, a jeżeli ona na mnie krzyknie?

- No, to co! Niech Irenka wtedy krzyknie na nią.

- Prawda! - rzekła Irenka zdumiona prostotą pomysłu.

- Irenka wejdzie - układał plan pan Podkówka - a ja zaczekam na ulicy.

- Ale niech pan stoi blisko bramy, bo mnie mogą wypchnąć za nią gwałtownie.

- Niemożliwe!

- Ja też tak myślę. Czy zadzwonić? O, Boże, jak mi serce bije.

Pan Podkówka jednakże był spokojny i wyniosły. Bez trwogi nacisnął guziczek dzwonka i spojrzeniem dziewczynie dodawał odwagi. Ona wbiła wzrok w bramę i zdawało się jej, że czeka bardzo, bardzo długo. Wreszcie drzwi otwarto i ukazał się siwy lokaj z miłą twarzą.

- Panienska do kogo? - spytał uprzejmie.

- Do pani Opolskiej... Ja w bardzo ważnej sprawie.

- Pani hrabiny nie ma w Warszawie.

- O Boże! - jęknęła dziewczyna. - A kiedy wróci?

- Tego nikt nie wie. Pani hrabina mieszka w tej chwili w Zakopanem, w willi „Ustronie”, ale jak długo tam będzie, tego też nikt nie wie. Jeśli panienska ma jakąś ważną sprawę, proszę tam napisać.

- Dziękuję panu... - szepnęła Irenka.

- Czy paniencie słabo? - zapytał stary człowiek z niepokojem.

Nie, nie... Pan jest bardzo dobry... Willa „Ustronie”, prawda?

Tak, panienko - odrzekł patrząc na nią dziwnie serdecznie.

Zamknął bramę powoli i bez trzasku, jakby jej nie chciał uczynić przykrości.

- Kłapa! - rzekła Irenka z cichą rozpaczą.

Pan Podkówka hardo podniósł głowę, jak gdyby złośliwemu losowi chciał spojrzeć prosto w twarz.

- Przecie nic nie stało się jeszcze - rzekł z mocą. - A Irenka zaraz w krzyk.

- Ja wcale nie krzyczę...

- Ja wiem, że nie, ale tylko tak powiedziałem. Kłapa byłaby wtedy, gdyby pani Opolska była, a jednak jej nie było, ale ponieważ naprawdę jej nie ma...

- Nie rozumiem... Jak to może być, że mogła być i nie być?

- Możliwe. W tych wszystkich domach, Irenko, mieszkańcy są, ale nie dla każdego. Taki lokaj od razu wie, dla kogo są w domu, dla kogo są tylko niekiedy, a dla kogo nigdy ich nie ma.

- A czy ten staruszek powiedział prawdę?

- Ten powiedział prawdę. Od razu można to było dostrzec, zresztą podał nam adres pani Opolskiej w Zakopanem.

- Zakopane... Zakopane... - mówiła Irenka, jakby coś rozważając. - To bardzo daleko...

- W każdym razie nie na końcu świata. Będzie sobie Irenka u nas mieszkała, a tymczasem ta pani powróci...

- Bóg wie kiedy. A jeżeli pojechała na całą zimę?

- To poczekamy do wiosny.

- Ja nie mogę czekać - odrzekła Irenka twardo.

W domu zastał pan mecenas Podkówka niespodziewany list, pisany pismem zawadiackim, pełnym zakrętasów i esów-floresów. Każde słowo wypuszczało z siebie cienkie i długie wąsy jak dzikie wino, a podpis przypominał podpis królewski sprzed pięciuset lat, położony na wyroku śmierci. Wiele słów było podkreślonych, co im miało dodać wagi i znaczenia, po wielu wyrastał wykrzyknik jak młode drzewko, aby zwrócić uwagę czytelnika, że słowo to jest potężnym okrzykiem. Podkówka czytał zdumiony:

„Doktor Zenobi Lipień, konował i filozof małomiasteczkowy - Józefowi Podkówce, szlachetnemu młodzianowi, pozdrowienie!

Ponieważ pod pańskie skrzydła - jak pisklę pod skrzydła orła - schroniła się dziewczica szlachetnego rodu, znana powszechnie pod przezwiskiem: «Panny z mokra głową», piszę do pana w te pędy z uniżoną prośbą, aby pan raczył otoczyć ją opieką, staraniem i zbytkiem! Gdyby te skromne zapasy, które zabrała na wójaz, nie wystarczyły, niech pan nabędzie nowe u odpowiednich specjalistów, sprzedających chleb, masło, kiełbasy i salcesony! I niech jej pan strzeże jak oka w głowie i nie pozwoli pani Opolskiej wydrzeć jej serca i wypić jej krwi!!! Czarownice często to czynią, uważając krew niewinnych dzieci za wyborny pokarm! Proszę też dawać baczenie, aby zwariowana nasza pannica nie postradała w stolicy tej odrobiny rozsądku, który pańskiej uporczywej pracy zawdzięcza!! Niech używa zabawy, byle w miarę! Ponieważ wiadomo mi przypadkiem, że pan nigdy nie fabrykował pieniędzy, a w inny sposób nie mógł pan dojść do posiadania majątku, przeto załączam parę groszy, aby pan mógł ich użyć w razie, gdyby Irenka chciała oblec się w jakieś kiecki albo co!!! Niech rozrzuca to złoto garściami, lecz rozważnie. Gdyby chciała zakupić ze zbytku fantazji Zamek Królewski lub Łazienki, niech ją pan z właściwym sobie taktem stara się od tego odwieść, I niech czym prędzej powraca, notabene, jeśli wyjdzie żywa z rąk tej pani, do której zwróciła swe kroki. Zwłok odsyłać nie potrzeba!!! Wiedz bowiem, szlachetny młodzianie, że chociaż zaledwie niewiele godzin trwa rozłąka, brak nam jej bardzo, a przeraźliwa cisza trwoży nasze serca! Gdyby potrzeba było pomocy fizycznej, niech pan mnie wezwie za pomocą telegrafu. Widziałem w naszym mieście wiele drutów na słupach, z czego sądzę, że maszyna ta działa i na naszym terenie! W wypadku gwałtownym mogę zabrać z sobą dubeltówkę i zakatrupić kogo trzeba! W wypadku łagodnym wystarczy moja recepta, działająca wprawdzie powolniej, lecz równie skutecznie! Czekam

tedy szanownego pisma pańskiego, tymczasem zaś i ją, i pana polecam łasce Boskiej. Bądź zdrowy młodzianie, i sędziwego dożyj wieku!!!”

- Pan doktor zawsze jest taki śmieszny - objaśniła Irenka

- Gdyby jednak wiedział, że cała moja wyprawa na nic, byłoby mu smutno. Ale moja wyprawa nie będzie daremna... Jadę do Zakopanego!

- Matko święta! - krzyknęła mama pana Podkówki, przerażona wizją niezmierniej dali.

- Jakże tak, sama? - bąknął zatroskany mecenas. - Irenka jest pod moją opieką, a ja na to nie zgodzę się.

Irenka zmrużyła lewe oko na znak, że uwielbia pana Podkówkę, ale lekceważyła sobie cokolwiek jego powagę. Wiedząc na znakomitym instynkcie, zwróciła się czym prędzej do wesołej jego żony, jakby czując, że uśmiechnięte jej słowo miało w tym domu siłę gromu i ostatecznego wyroku.

- Prawda, proszę pani, że mi nic nie grozi?

Ponieważ równocześnie pogładziła pod stołem miękkim, kocim ruchem jej kolano, żona pana Podkówki orzekła po krótkim namyśle, że prawie dorosła panna może jechać bezpiecznie, tym bardziej że ona czytała kiedyś, jakoby czteroletnie dziecko z przypiętą na piersi kartką przejechało przez całą Europę.

- Pojedzie pani! - ogłosiła zdumionemu światu.

Tylko powszechna rewolucja albo straszliwe trzęsienie ziemi mogło odmienić ten wyrok. Mama oblała go łzami, a pan Podkówka przypatrywał mu się nieufnie, bladym wzrokiem.

Wydobyto mapę, rozkłady jazdy i rozpoczęto narady, jak, kiedy i którędy uda się Irenka w tę niebezpieczną podróż.

- Obliczmy przede wszystkim za co? - zapytała Irenka gorączkowo.

Wysypała na stół pieniądze, przeznaczone na powrót; przeliczono je trzykrotnie i zauważono ze smutkiem, że razem z przesyłką doktora starczy ich może na połowę, może na trzy czwarte dalekiej drogi.

- Resztę drogi odbędę pieszo - oświadczyła Irenka.

Na to mama w płacz, żona w śmiech, a pan Podkówka, drapiąc się za uchem, szukał rady w pobliżu rozumu.

- Mam, mam! - zawołał nagle uradowany.

Mama przestała płakać, jakby nożem uciął, żona spojrzała na męża z uwielbieniem.

- Zdarza się tak szczęśliwie - mówił szybko pan Podkówka - że kasjer na kolei to mój szkolny kolega. Wyborny chłopiec i bardzo uczynny... Że też mi od razu nie przyszło do głowy! Otóż ten mój kolega zawsze mi daje po znajomości bilety kolejowe znacznie taniej.

- Czyż to możliwe? - spytała Irenka z niedowierzaniem.

- Z całą pewnością możliwe! Oni mają jakieś takie prawo, tylko że nikt o tym nie wie, a oni sami o tym nikomu nie mówią. Ileż jednak razy ja sam tak jeździłem! Niech pani zapyta mojej żony...

Ponieważ szlachetne łgarstwo zaczęło się plątać, więc je czym prędzej oddał swojej roztropnej żonie, aby je rozplatała jak kłębek nici.

- Tak mówią - oświadczyła żona. - To się nazywa jechać „ze zniżką”.

O tym, że można jechać ze zniżką, Irenka też kiedyś słyszała, stało więc na tym, że pan Podkówka urządzi przyjacielskie cygaństwo na kolei, wszyscy się zajmą przygotowaniem do podróży, a Irenka napisze natychmiast list do matki z oznajmieniem, że jedzie na szczyty gór, gdzie na śniegu siedzi w pełnej chwale pani Opolska. Wieczorem, po krwawej pracy, zjawił się ojciec rzeźnik, dowiedziawszy się zaś o wielkim przedsięwzięciu, bawił krótko i poszedł. Po godzinie wrócił, niosąc ciężkie zawiniątko, i oddał je Irence.

- To na drogę - rzekł serdecznie.

W zawiniątku była cała szynka i niewinne prosię, na wolnym ogniu upieczone w zaraniu swego żywota.

Chociaż wszystko przygotowano wybornie, pan Podkówka był bardzo blady i niespokojny, kiedy nazajutrz wyprawiał Irenkę w podróż. Niepokoje te opisał z niezwykłym talentem w długim liście do doktora, pocieszając równocześnie i jego, i siebie, że Irence, mądrej i rozważnej, nic nie grozi. Polecił ją opiece jakiejś statecznej pani, która z trojgiem dzieci jechała też do Zakopanego, należy przeto przypuścić, że dojedzie szczęśliwie.

Bystre przewidywania pana Podkówki spełniły się wybornie. Tego jedynie nie przewidział, że Irenka zwróciła się do owej statecznej pani z uprzejmym zapytaniem, ile zapłaciła za bilet do Zakopanego? Matka trojga hałasujących dzieci odczytała cenę na bilecie, Irenka zaś sprawdziła, że cena, wydrukowana na jej bilecie, niczym się od tamtej nie różni. Pokręciła głową, poznawszy, że pan Podkówka szlachetnie zełgał, a resztę tego łgarstwa, w niewielkiej zresztą kwocie, włożył jej do torebki, aby miała trochę pieniędzy na wszelki wypadek. Jeszcze jedno rozrzewnienie wiozła w krainę mroźnych gór. Poza tym dowiozła mizerne resztki ze zwłok starego wieprza i kości z młodzieniaszka, towarzysze podróży bowiem, których było coraz to więcej, uprzejmie nie odmawiali serdecznym jej prośbom, aby wzmocnili nadwątlone podróżą siły. Chude z początku stosunki towarzyskie, nasycone tłustością wybornej szynki, z godziny na godzinę stawały się coraz bardziej zażywe i zażyłe. Młody jakiś człowiek, nadobnie blady i uroczo smętny, drgnął na widok wspaniałego przyjęcia i chociaż na oko niepozorny, okazał się w jedzeniu lwem.

„Ten dawno nie jadł” - pomyślała Irenka, starając się ocalić dla niego jak najwięcej.

Młodzieniec z wdzięcznością zaczął mówić o górach i o ich przedziwnej piękności. Wpadł w zapał i tak przemawiał, jak gdyby ze ślicznej książki; słowo tak układał na słowie, jakby gład na gładzie, aż z tego wreszcie urosła góra, a on zaraz nad nią zapalił świetne słońce, wnet je jednak zagasił, słowa zwołał czarne i bure i uczynił z nich kłębowisko chmur. Powiało mrozem i wichrem, wreszcie zaczął padać ogromny śnieg i zasypał jego i wszystkich w wagonie, i cały świat. Uczyniło się bardzo ciemno, a młodzieniec zaczął kaszleć gwałtownie i rękami chwycił się za piersi, jak gdyby się trwożył, że mu z nich serce wyskoczy. Potem przymknął oczy i ciężko dyszał.

- To musi być poeta - szepnęła do Irenki stateczna dama. - W Zakopanem takich jest mnóstwo. Niech pani patrzy: bieda z nędzą, ze pożał się Boże, a kiedy mówi, to jakby się błyskało. A wygłodzony jak wilk... Czy pani widziała, jak on jadł? Śpi, biedaczyna...

Irenka nie odpowiadała. Cichutko zawięta ocalałe resztki, zawiązała je starannie sznureczkiem i kiedy nikt nie patrzył, wsunęła je do kieszeni płaszcza bladego młodzieńca.

Musiała potem długo spać, aż zbudził ją mróz. Otworzyła oczy niechętnie i spojrzała dokoła ze zdumieniem, jak gdyby nie rozumiejąc, gdzie się znajduje. Nagle krzyknęła cicho. Za oknami szalała wielka, śnieżysta, brylantowa jasność. Pociąg pędził przez zimową bajkę, dysząc z uciechy i sapiąc, jak gdyby czym prędzej chciał dobiec tam, gdzie słońce tarza się po śniegu. Patrzyła oczarowana, zdumiona radosnym, najszcześniejszym zdumieniem. Daleko, daleko, za śnieżystym morzem ukazały się nagle góry, sine u podnóża, a z wyłocionymi głowami Ponad nimi, jak niezmierne ptaki, ciężkim, powolnym lotem dźwigały się chmury płynąc po lazurowym oceanie. Przypomniało jej się każde śliczne słowo bladego młodzieńca. Jego już nie było. Wsiąkł gdzieś po drodze w tę jasność, co się tłoczy radośnie przez okna i budzi wszystkich w pociągu, jakby wołając: „Nie śpijcie! Patrzcie na cud! Patrzcie na cud!”

Serce Irenki uderzyło mocniej, jak gdyby też miało oczy i patrzyło olśnione. Chciało się jej krzyczeć z radości i z wielkiego szczęścia, że na świecie jest tak niebiesko i biało, i złociście. Patrzeć nie można było na tę bladość niepokalaną. Oczy Irenki napełniły się łzami, a ona nie wiedziała dobrze, czy naprawdę płacze, czy to ten blask diamentowy łzy wywołał na jej oczy. A góry znikwały i ukazywały się znowu; słońce, jakby z wielkiej uciechy i graski sobie czyniąc, złociło się raz z lewej, raz z prawej strony albo chowało się za lasem czarnym, wysokopiennym i dostojnie poważnym, bo mu nie były dziwne te dziwa.

- Już! Już! Już! - sapnęła lokomotywa i ostatnim wysiłkiem wyciągnąwszy pociąg na górkę, przystanęła, własnym zdumiona trudem.

Irenka niosąc swój tobołek, szła powoli przez zaczarowany świat. Słońce było wszędzie, jak gdyby w tym cudownym kraju nie było czego innego prócz słońca. Może dlatego wszyscy ludzie są uśmiechnięci i mają w oczach radość. Dziwnie przybrani, krążą ulicami, a słońce chodzi za nimi. Irenka namyślała się długo, którego z przechodniów zapytać o drogę. Wybrała wreszcie do tej misji dziewczynkę, co w czerwonej czapeczce i czerwono rozkrzyczanym szaliku wyglądała jak wesoły gil na śniegu, dziewczynka jednak po głębokim namyśle oświadczyła, że nie wie. Należało zwrócić się do kogoś poważniejszego niż dziewczynka, która ma zazwyczaj źle dobrane kolory, bo czerwoną czapeczkę na głowie, a w głowie jasną, wiosenną zieloność.

Przechodził właśnie młody człowiek, tak świetnie odziany, jak gdyby za nim chodził nieustannie krawiec z żelazkiem i wciąż prasował śliczne ubranie. Młodzieniec patrzył jasno i zwycięsko. Od czasu do czasu uśmiechał się sam do siebie i ogarniał błękitny świat takim wzrokiem, jak gdyby cały ten świat i słońce, góry i doliny należały do niego. Zdawało się, że po skrzypiącej od mrozu ziemi stąpa łaskawie, a ziemia, uległa i szczęśliwa, rzuca mu pod nogi brylanty śniegu, Przechodząc, spojrzał na Irenkę wesoło, co ją ośmieliło nadzwyczajnie...

- Proszę pana... - zatrzymała go, dygnawszy uprzejmie.

On spojrzał na nią, cokolwiek zdziwiony, ujrzawszy jednak śliczną twarzyczkę, uśmiechnął się jak król, któremu najpiękniejsza dziewczica miasta podaje przy bramie kwiaty, a za chwilę wygłosi wiersz powitalny.

- Może pan wie, którędy się idzie do takiego domu, co się nazywa „Ustronie”?

Cień zawodu przemknął po zwycięskim obliczu młodziana, odrzekł jednak uprzejmie:

- Idę właśnie w tamtą stronę. Niech pani idzie ze mną, a ja pokażę pani ten dom.

- Bardzo panu dziękuję! - rzekła Irenka z wielką powagą.

Poszła za nim, niosąc swoją walizeczkę, bardzo rada, że ją prowadzi młodzieniec tak bardzo wytworny.

„Pierwsza klasa” - pomyślała z uznaniem Irenka, dla której uosobieniem elegancji i doskonałych manier był dotąd pan Podkówka.

Młodzieniec zwrócił się nagle do niej z wesołym zapytaniem:

- A czemu pani nie wzięła dorożki?

- Szkoda pieniędzy na takie hece - odrzekła Irenka wesoło.

On ją obejrzał spod oka i pokręcił głową.

- I pani chce zamieszkać w „Ustroniu”?

- Albo co?

- Nic... nic... A czy pani wie, że w „Ustroniu” jest bardzo drogo i że tam mieszkają same hrabiny?

Irenka pokazała w uśmiechu wszystkie zdrowe i białe zęby.

- Jeśli pan nikomu nie powtórzy, to panu coś powiem.

- Nikomu nie powtórzę - zaśmiał się młodzieniec. - No, niech pani mówi.

- Ja też jestem hrabianka, ale podróżuję incognito. On najpierw bardzo się zdumiał, a potem zaśmiał się tak głośno, jak gdyby usłyszał najlepszy dowcip. Irenka wybuchnęła śmiechem równie donośnym, tylko bardziej perlistym.

„Śmieszny berbec!” - pomyślał, patrząc na nią z przyjemnością. A głośno dodał:

- Już niedaleko. Przejdziemy jedną tylko ulicę...

- Proszę pana...

- Co takiego?

- Czemu wszyscy ludzie tak dziwnie na pana patrzą?

Każdy się odwraca... Przystojny pan jest, nie ma co, ale i mężczyźni też pana oglądają jak wielkie dziwo.

Młodzieniec wpadł w wyborny humor i raz po raz śmiał się głośno.

Droga wiodła pod górę, a ponieważ śnieg zaczął tajać w słońcu, zrobiło się ślisko. Irenka rozbita nocną podróżą, niewyspana i dźwigająca walizkę, zaczęła iść z trudem.

- Pan mówił, że to niedaleko, ale zapomniał pan powiedzieć, że jest ślisko.

- Troszeczkę cierpliwości!

- Proszę pana...

- Czym mogę służyć?

- Proszę pana... Czy ja jestem dama?

- Oczywiście! Oczywiście! - zaśmiał się młodzieniec.

- W takim razie mógłby pan pomóc damie i ponieść trochę moją walizkę. Ja już nie mogę.

Bezgraniczne zdumienie odmalowało się na jego twarzy. Widać było, że nie wie, czy zaśmiać się, czy też porwać bezczelną panienkę i cisnąć w rwący potok, co płynął wzdłuż ulicy. Spojrzał na nią groźnie, lecz ujrzawszy oczy wesole i szczerze, a na ustach uśmiech serdeczny zarazem i figlarny, pomyślał, że ten podłotek musi pochodzić z dalekiej prowincji i ma sielskie maniery, ale wcale go nie chciał obrazić.

- Proszę mi to dać! - zawołał nagle.

Wziął jej parciane bogactwo i począł iść szybciej.

- Dziękuję panu... Pan jest nadzwyczajny!

- Pani też... Skąd pani przyjechała?

- Ja mieszkam od urodzenia na wsi, a teraz mieszkam w małym miasteczku. A pan?

- Ja mieszkam wszędzie. Raz w Rzymie, raz w Paryżu...

- To musi być cudownie! - rzekła Irenka z uznaniem. - Gdybym była bogata, mieszkałabym co tygodnia w innym mieście... Czemu te panie tak patrzą?

Przechodzące dwie panie przystanąły i trąciwszy się łokciami, spoglądały ze szczególnym zdumieniem na tę parę złożoną z wytwornego młodzieńca i czarnej, biednie ubranej panienki.

- Bo jest na co patrzeć - odrzekł młodzieniec, już mocno rozbawiony. - A oto pani „Ustronie”. Niech pani zabiera swoją walizkę...

- Jeszcze nie, jeszcze nie, proszę pana... Niech pan będzie taki kochany i zanieś ją aż do samego domu!

- Po co? Na co?

- Bo mnie tam lepiej przyjmą skoro ujrzą, że taki wspaniały pan niesie moją walizkę.

- Ach, tak?... Jazda!

Wszedł wesoło do ogródka przed domem i głośno zakrzyknął ujrawszy kogoś w oknie, aby ten ktoś wyszedł na spotkanie hrabianki, podróżującej incognito. Ten ktoś musiał również krzyknąć, bo cały dom zaroił się od razu i na ganku zjawilo się kilka osób. Wszystkie twarze, jak na komendę, oblekły się w uśmiech. Nikt nie patrzył na Irenkę, lecz wszyscy patrzyli z zachwytem na młodzieńca, on zaś, głośno śmiejąc się, rzekł, wskazując Irenkę:

- Przyprawdzam gościa z pociągu...

Ktoś podbiegł i wziął z jego rąk walizeczkę.

Irenka, oszołomiona cokolwiek tym przywitaniem, dygnęła przed nim i, wyciągając rękę, powiedziała:

- Niech Bóg panu zapłaci. Nazywam się Irena Borowska.

- Bardzo ładnie nazywa się pani... Do widzenia! Kiedy pani będzie wyjeżdżała, niech mi pani da znać, a ja odniosę walizkę na kolej.

Uklonił się najpierw jej, potem całej werandzie, a wtedy cała weranda westchnęła, jak gdyby wielkie jakieś spotkało ją szczęście.

Splendor z tego słonecznego młodziana musiał spłynąć i na Irenkę, bo ją otoczono czym prędzej i z honorami wprowadzono do wnętrza domu. Nie mogła wypowiedzieć ani słowa, gdyż panie zarzuciły

ją pytaniami:

- Skąd go pani zna? Dlaczego on niósł walizkę pani?

- Bo go o to prosiłam. A kto to jest?

Piorun z zimowego nieba spadł z niezmiernym łoskotem. Na twarzy jednej bladej panienki widać było zgrozę.

- Jak to? Pani nie wie, kto to jest?

- Nie wiem... Skąd mogę wiedzieć. Ja mu się przedstawiłam, a on mnie nie.

- Przecie to Jerzy Zadora!

- Pierwszy raz słyszę - rzekła Irenka.

Wtedy zgroza stała się ogólna, a blada panienka chwyciła się rękami za głowę i spojrzała w niebo, patrząc, czy przypadkiem nie wali się na tę głupią dziewczynę, która nie wie, kto to jest Jerzy Zadora.

Rozdział jedenasty

Stawiono Irenkę przed panią Milecką, osobą dystyngowaną i przyjemną, mającą we włosach siwe pasma: umiała ona uśmiechać się podczas rozmowy, po jej ukończeniu zaś twarz jej przybierała wyraz ciągłej troski, tak jakby po ostatnim słowie zdejmowała ten obowiązkowy uśmiech, jak ozdobę, i kładła go byle gdzie, aby go znowu ułożyć na twarzy, kiedy ją kto zagadnie. W oczach jej było wiele dobroci i to Irenka dostrzegła przede wszystkim.

- Czego sobie panienka życzy? - zapytała pani Milecka, ogarniając ją szybkim spojrzeniem. - Proszę usiąść...

Irenka, nie korzystając z zaproszenia, rzekła czym prędzej:

- Ja przyjechałam do pani Opolskiej...

- Niestety, pani Opolska przed dwoma dniami wyjechała.

- Jezus, Maria! - krzyknęła dziewczyna tak zbolalym głosem, że pani Milecką szczerze się przelękała.

- Niechże pani usiądzie... Co panience jest? Czemu pani tak zbladła?

Irence tak zakręciło się w głowie, że musiała usiąść. Podniosła rękę do czoła i otarła z niego krople potu.

- To jest nieszczęście, to jest wielkie nieszczęście... - mówiła, a widać było, że z trudem broni się przed łzami. Mężnie jednak zacisnęła usta.

- Jakie nieszczęście? Niech pani uspokoi się, drogie dziecko, i powie mi, co się takiego straszego stało?

Patrzyła na dziewczynę serdecznie, zdjawszy z twarzy niepotrzebny zdawkowy uśmiech.

„Biedne jakieś, a takie śliczne stworzenie” - pomyślała i wzięwszy jej zziębłe, drobne ręce w swoje, dobrym i łagodnym głosem zaczęła ją zachęcać, aby przemówiła.

Irenka opowiedziała jej, że pani Opolska jest ciotką jej matki, że szuka jej w sprawie niezmiernie ważnej i że nie może jej znaleźć. Kiedy wymieniła jej swoje nazwisko i powiedziała, skąd pochodzi, pani Milecką rzekła z wielką czułością:

- Znałam twego ojca, drogie dziecko, bo pochodzimy z jednych stron, i o waszym nieszczęściu też słyszałam. Ja także wychowałam się na wsi... Mój Boże! Więc pani Opolska jest twoją krewną... Nie chcę o nic pytać, dlaczego jej tak szukasz, bo to twoje sprawy, niech mi tylko Irenka... - wszak Irenka, prawda? - niech mi Irenka to jedno powie: czy musisz widzieć się z panią Opolską?

- Piechotą pójde tam, gdzie pani Opolska teraz się znajduje.

- Aż tak?! Jest ona teraz na wsi pod Krakowem, ale piechotą tam, biedactwo kochane, nie zajdziesz.

- Droga, złota pani, co ja mam teraz zrobić?

- Czy ja wiem, czy ja wiem?... - zatroskała się pani Milecką. - Pozwól, niech się zastanowię.

Milczała przez długą chwilę, rzekła wreszcie serdecznie:

- Napiszesz, moje dziecko, w tej chwili do matki, że na kilka dni zostaniesz w Zakopanem.

- Napisać to ja napiszę, ale gdzie ja się podzieję?

- U mnie. Zapraszam cię z całego serca.

- Strasznie pani dziękuję, ale to na nic... Ja muszę albo wracać, albo powędrować za panią Opolską.

- A jakżeż powędrujesz? Masz jakie pieniądze?

- Tyle, żeby nie umrzeć.

- No, to niewiele. Zostań więc tutaj, a ja wymyślę jakiś sposób, abyś mogła zobaczyć się z panią Opolską.

- Proszę pani... Pani jest strasznie kochana, ale ja nie śmiem... Przecie to wielki kłopot i cała awantura.

- Taki kłopot i taka awantura, jak gdyby zziębnięty i głodny ptak wleciał do domu przez otwarte okno. Czy nie przytuliłabyś ptaka, drogie dziecko? Ale, ale.. Skąd ty znasz Zadorę?

- Tego pana, co przyniósł mi walizkę? Ja go wcale nie znam. Spotkałam go po drodze i poprosiłam, aby mi pomógł, a on to chętnie uczynił. Bardzo miły pan. Kto on jest, proszę pani?

- To sławny śpiewak, znany na obu półkulach i dlatego tylko nieznany na trzeciej, że jej nie ma. Ale żeby obcej panience niósł walizkę - to nadzwyczajne!

- To dlatego tak się wszyscy za nami oglądali! - uśmiechnęła się Irenka.

- Masz szczęście, moja mata - zaśmiała się pani Milecka prawdziwym śmiechem, a nie tym „od gości”. - Wszystkie powariowane panienki z rozkoszą nosiłyby za nim laskę albo parasol, a ty mu kazałaś nieść walizkę. Doskonale. A teraz zdejmij płaszczyk i pójdź zjeść śniadanie. Bardzo jesteś głodna?

- Nie bardzo. Trochę mnie przed chwilą ścisnęło w żołądku, ale myślę, że to z rozpaczy, a nie z głodu.

- Niech cię już nie ściska. Co ty wyprawiasz, dziewczyno?

- Ja nic nie wyprawiam... Ja tylko chciałabym panią ucałować...

Pani Mileckiej zwilgotniały oczy: otworzyła ramiona i przygarnęła Irenkę do piersi.

- Ucałujże mnie, ucałuj, drogie dziecko.

Uściskały się solennie, po czym pani Milecka, niezwykle zadowolona i ożywiona, zapukała do sąsiednich drzwi, wołając:

- Zbyszek. Chodź no tu na chwilę! To mój syn - objaśniła serdecznym głosem.

Zbyszek wszedł, nie bardzo się śpiesząc; odziany był w gimnazjalny mundurek, ale miał minę znudzonego filozofa, któremu każą uczyć się takich rzeczy, które go stanowczo nic a nic nie obchodzą.

- To jest panna Irenka Borowska, która zabawi u nas przez kilka dni. Bardzo cię proszę, Zbyszku, abyś ją uważał za kogoś bliskiego i abyś serdecznie się nią zajął.

Zbyszek podał Irence rękę, obejrzał ją krytycznym spojrzeniem i skinął głową protekcyjnie.

- Jestem na pani rozkazy - bąknął pod nosem i poszedł.

- Ładny chłopiec, nieprawda? - zapytała pani Milecka takim tonem, jakby sobie od razu odpowiedziała na pytanie.

- Śliczny! - zawołała Irenka z takim entuzjazmem, że pani Milecka zaśmiała się głośno.

Irenkę naprawdę zachwycił ten chmurny młodzieniec i wielkie na niej sprawił wrażenie: pana Podkówki nie można było nawet z nim porównać, a ten sławny śpiewak też nie mógłby z nim wytrzymać konkurencji. Zbyszek jest „jakiś taki”... Patrzy pochmurno, głos ma miękki i widać, że jest bardzo znudzony, jak wielki pan, który nie wie, co właściwie z sobą począć. Irenka nie widziała dotąd takiego zajmującego młodzieńca. A w pani Mileckiej można od razu się zakochać.

„Jeżeli mi kto powie - myślała Irenka - że na świecie nie ma dobrych ludzi, to ja mu powiem jakieś wielkie głupstwo”.

Tego dnia wysłano z „Ustronia” dwa obszerne listy. Irenka napisała epistołę potężną, obszerną, barwną i tak prześwieconą promieniami nadziei jak świat słońcem. Drugi list wysłała pani Milecka. Pisała go bardzo długo i starannie dobierała słów.

Irenka poznała Zakopane. Pogoda była taka przecudowna, jak gdyby słońce chciało uradować dziewczynę, na którą w ostatnich czasach zbyt wiele spadło udręczeń. Melancholijny Zbyszek został wyznaczony do towarzyszenia jej w śnieżystych wyprawach, zaczęły się one jednak od awantury. Kiedy usłyszał polecenie matki, uśmiechnął się ironicznie, po czym rzekł:

- Dobrze, ale muszę postarać się o wózek...

- O jaki wózek?

- Taki, w którym wożą niemowlęta...

Irenka, usłyszawszy to, chciała w pierwszej chwili chwycić przyzwoicie ciężką lampę i cisnąć nią w piękny łeb znudzonego młodziana, pomyślała jednak, że ze względu na panią Milecką należy wytrwać w dostojności.

- Jeżeli ja panu przeszkadzam... - zaczęła.

- Przede wszystkim nie jest on żadnym panem, tylko zupełnie po prostu Zbyszkim, a następnie Zbyszek powinien pamiętać, że Irenka jest naszym gościem - rzekła pani Milecka surowo.

- My, z siódmej klasy - beknął znudzony melancholik - wiemy, co to jest savoir vivre. Służę pani!

To „pani” było bardzo ironiczne. Irenka udawała jednak, że wcale tego nie zauważyła.

Poszli przez rozświetnione ulice, potem drogą do Kuźnic; długie szeregi jarzębin, obwieszonych czerniałymi koralami owoców, dźwigały na gałęziach puszysty, brylantami jarzący się śnieg.

Zbyszek objaśniał oczarowaną dziewczynę:

- To jest słońce, a to są góry. Dawniej ich było więcej, ale zeszłego roku kilka najwyższych ukradziono...

Oczy Irenki zapaliły się jak dwa ogniki. Przystanęła i mówiła cichym, ale groźnym głosem:

- Jeżeli Zbyszek nie przestanie ze mnie kpić...

- To co? - zaśmiał się krwawo melancholik.

- ...to go tak wyrznię głowa w brzuch, że fiknie kozła aż tam, do tego rowu.

On spojrzał na nią z nagłym zdumieniem i sądząc po błysku jej spojrzenia, zrozumiał, że groźba była uczciwa i bardzo bliska spełnienia. Nic nie powiedział i szli dalej w groźnym milczeniu. Najpierw odtajał gniew kobiecy. Irenka, jak gdyby wstydząc się swoich słów, spojrzała na niego z boku raz i drugi, wreszcie rzekła dość miękko:

- Czemu Zbyszek jest taki nieuprzejmy?

On nagle spochmurniał i przyoblekł twarz w grymas piekielnej boleści.

- Ja Zbyszka przepraszam... Mnie się tak wyrwało... Czy Zbyszek mnie nienawidzi? Co ja złego zrobiłam?

- Nic - odrzekł on takim bulgotem, jaki wydaje burzliwa chmura, z daleka pomrukująca grzmotem. Jego głos wyraźnie pochodził z przepaści brzucha. - Ja nie mam do Irenki żadnej pretensji, ale ja w ogóle... no!... W ogóle nienawidzę wszystkich kobiet na świecie.

- O, Boże! - zakrzyknęła Irenka. - I za cóż to? Pochmurne serce Zbyszka otwarło się na chwilę. Spojrzał na nią bokiem, nieco nieufnie, spostrzegłszy zaś, że dziewczyna jest szczerze zdumiona, mówił czarnymi słowami:

- Wszystkie są przewrotne i wszystkie są chytre.

- Ja nie jestem ani przewrotna, ani chytra - rzekła Irenka serdecznie.

- Może być... Nie wiem... To wiem, że wszystkie cierpienia zadaje kobieta.

- Zbyszku! - mówiła Irenka głosem dobrym i ciepłym, jakby ogrzanym na słońcu. - Czy Zbyszek bardzo cierpiał przez kobiety?

Melancholik zelżał już całkowicie i począł wyciągać z ust czarny kir boleści, jak magik wyciąga z nich długie skrawki papieru. Mówił tajemniczo i zdławionym szeptem:

- Cała siódma klasa jest tego zdania. Cierpimy wszyscy, a ja najwięcej... Widzę, że Irenka jest dobra dziewczyna, bo i to się czasem zdarza wśród kobiet, więc coś Irence wyznam... Czy dasz mi słowo honoru, że nie powiesz nikomu?

Irenka podniosła rękę i przysięgła w obliczu gór, że kamień padnie na dno studni.

- Ja jestem śmiertelnie zakochany! - ogłosił Zbyszek zdumionemu światu.

Słońce cokolwiek pociemniało, a wiatr, wypadłszy nagle z lasu, porwał w zgrabiałe ręce trochę

śniegu i uczynił z niego małą trąbę. Wnet jednak ucichł, aby nie zamrozić rozplakanych zwierzeń.

- Kto ona? - szepnęła Irenka szeptem takim bladym jak śnieg.
- Nazywają ją „białym płomieniem Szwecji” - mówił Zbyszek patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem jak lunatyk.
- „Biały płomień Szwecji” - powtórzyła Irenka. - Co to znaczy?
- To znaczy, że pali, a nie grzeje. To takie cudowne określenie jej duszy.
- Rozumiem - rzekła Irenka. - Mnie nazywają „Panną z mokrą głową”.

Zrozpaczony melancholik zaledwie usłyszał, bo w dalszym ciągu rwał swoje serce na strzępy i rozrzucał je po zaśnieżonej drodze.

- Trzech z naszej klasy kochało się w niej śmiertelnie, dzisiaj jednak Kocham się w niej ja jeden tylko.
- A tamci dwaj?
- Odeszło ich. Jeden przerzucił się na Marlenę Dietrich, a drugi zakochał się na miejscu, w Zakopanem. Ja tylko wytrzymałem i cóż mi z tego?
- Biedny Zbyszek... - szepnęła Irenka z wielkim przejęciem.
- Czy „biały płomień Szwecji” przebywa w Zakopanem?

On aż przystanął ze zdumienia.

- Czy ty udajesz, czy kpisz? - zapytał przeraźliwym szeptem.
- Naprawdę nie udaję...
- Nie wiesz, kim jest „biały płomień Szwecji”?
- Skąd mam wiedzieć?
- To Greta Garbo!
- Ach! - zawołała Irenka.

Słyszała to nazwisko i czytała o nim w gazetach. Teraz sobie przypomina. To słynna aktorka. Spojrzała na Zbyszka z niewymownym zdumieniem i z trwożnym zachwytem. Teraz nie dziwi się wcale, że człowiek, który uwielbia tak wielką sławę, nie chciał z początku gadać nawet z nią, ze smagłym podlotkiem. Odrobina boleści wsącżyła się do jej serca, żal się jej uczyniło Zbyszka, a do Greta Garbo poczuła niechęć.

- Czy ona wie o tym? - zapytała serdecznie.

- Jakże nie ma wiedzieć? - odrzekł Zbyszek, dręcząc własne serce. - Pisałem do niej...

- A cóż ona?

- Nawet mi nie odpisała. Otóż masz... Kobieta!

Każde słowo tego zdania było ostrym nożem, który Zbyszek nie tylko że wbijał sobie w serce, ale wbiwszy obracał ostrze kilkakrotnie, dla tym większej męki.

Irenka z wielkim wzruszeniem rozmyślała o tej rozmowie, pełnej rozpacz. Biedny chłopak ten Zbyszek... Taki ładny i taki „jakiś taki”, a zła kobieta zza morza złamała mu serce. Nawet mu nie odpisała, a przecie powinna była uczynić to natychmiast. Jeśli nie jest wolna, powinna mu była napisać: „Bardzo mi przykro, mój Zbyszku, ale nie zawracaj sobie nadaremnie głowy. Ty pójdziesz górą, a ja doliną!” A ona ani słowa... Pewnie! Cóż ją, gdzieś tam daleko, obchodzi to, że w Zakopanem męczy się i dręczy biedny chłopiec! „Gdyby był do mnie napisał - myślała - odpisałabym mu natychmiast. Ułożyłybyśmy list z mamą, a zakończenie dorobiłaby ciocia Amelia wierszem. Tylko że do mnie nikt nie napisze...” - machnęła ręką.

Nie mogła jednak przestać myśleć o tym tak potwornie nieszczęśliwym chłopaku. Przebaczyła mu od razu wszystkie jadowite słowa, pod jej wypowiedziane adresem, i wszystkie miny. Czułe jej serce roztkliwiło się i rozżaliło. Patrzyła teraz na niego inaczej i za wszelką cenę chciała go pocieszyć. Gdyby ona miała taki straszliwy dramat w życiu, poszłaby do matki i wyplakałaby się na jej piersi, on jednak tego nie uczynił, i nie można mu się dziwić, bo jest już w siódmej klasie, a na czole ma wspaniałą, niezłomną dumę. Jedna jest tylko rada na to przeraźliwe nieszczęście: niech uczyni tak, jak jego dwaj przyjaciele, co też kochali się śmiertelnie w „białym płomieniu Szwecji” Albo niech go to „odejdzie”, albo niech się zakocha w innej. Widać, że jest to dobre lekarstwo i używane z powodzeniem. Inaczej bowiem albo mu pęknie serce, albo znienawidzi wszystkie kobiety, bo już jest na drodze do tego obłądnego przedsięwzięcia. Do tego dopuścić nie można! Niech zakocha się w kim innym. Ale w kim?

- We mnie! - szepnęła z wielkim drżeniem serca.

Tak przeraziła się własnej, olśniewającej myśli, że zrobiło jej się słabo. Wszystko w niej osłabło: serce, dusza, ale przede wszystkim głowa. Poczula w niej wielki zamęt, bo świat się z nią zakręcił, a góry, na pozór wieczyście nieruchome, zmieniły położenie.

- O, mamó! - szepnęła, jakby wołając o ratunek. - Czy ja zakochałam się, czy co?

Nikt jej nie odpowiedział.

W tej chwili weszła pani Milecka z depesza w ręku. Spojrzała na Irenkę zdziwionym wzrokiem i zapytała z wielką czułością:

- Czy tobie słabo, moje dziecko?

- Nie - odrzekła Irenka. - Tylko mi jakoś dziwnie.
- Nie przywykłaś do górskiego powietrza. A może ty masz słabe serce?
- Coś mi się zdaje, że bardzo słabe... Ale to nic... Czy to do mnie, proszę pani?
- Depesza jest do mnie, ale i do ciebie też. Pani Opolska...
- I co? I co?
- Pani Opolska prosi, abyś u mnie zaczekała kilka dni, a ona...
- Przyjedzie?
- Nie wiem. Zapowiada obszerny list.
- Dzięki Bogu, dzięki Bogu!
- Nie ciesz się, maleńka, bo jeszcze nic nie wiadomo. Ale czekaj spokojnie. Nie wiesz, gdzie jest Zbyszek?

Irenka poczuła, że chociaż stara się być twarda jak granit, jednak oblał ją rumieniec.

- Zdaje mi się, że wziął narty... - bąknęła cichutko.

Pani Milecka przyjrzała się jej z nagłym zainteresowaniem i serdecznie się uśmiechnęła.

- O, wiosno, wiosno! - powiedziała cicho, jakby sama do siebie.

Irenka przyjrzała się po jej wyjściu tym wiosennym słowom i zastanowiła się głęboko.

„Czy ja jestem ze szkła - pomyślała - czy też na tej mojej nieszczęsnej twarzy od razu wszystko widać?”

Każdy coś spostrzegł, tylko on nic nie widział. On, Zbyszek. Smażył swoje serce na „białym płomieniu Szwecji” jak na szwedzkim prymusie i nie widział rozczulonych, przelękłych, wilgotnych, sarnich spojrzeń Irenki. Nie zrozumiał, że „mokra głowa” postanowiła bohatersko wyrwać go z „białego płomienia”, aby nie zgorzał z kretelem. A serduszko Irenki drżało na różowym wietrze, który przywiał znikąd. Była sroga zima, a ono rozwinęło się jak pączek kwiatu na wiosnę. Mądra głowa Irenki pełna była niemądrych myśli. Z marszem na czole szukała takiego sposobu, który by bez użycia słów zwrócił uwagę śmiertelnie smętnego Zbyszka, że jest niedaleko ktoś, co myśli o nim tkliwie i z głębokim wzruszeniem. Rozmaite pomysły przychodziły jej do głowy. Mogła zaziębić się umyślnie i dostać zapalenia płuc. Może wtedy spojrzełby na nią i uśmiechnął się do niej. Nie najgorszym też sposobem byłoby włożenie ręki do rozpalonego pieca. Prędko jednak pomyślała, że wprawdzie Zbyszek zwróciłby uwagę na jej wielkie cierpienie, ale bohaterskie te czyny wcale nie zachwyciłyby jej matki. Trzeba było znaleźć na dnie wzburzonego serca sposoby inne, mniej bolesne, a równie skuteczne, ciężko jednak było je wymyślić.

Najbardziej subtelne pomysły zawodziły od razu. Zbyszek siedział przy oknie i z wzniosłą pogardą studiował rozdział historii starożytnej, ona zaś w drugim kącie dziergała misterną robótkę wedle mądrych poleceń pani Mileckiej.

„Jeżeli teraz głęboko westchnę - myślała Irenka - musi na mnie spojrzeć!” Nabrała w płuca potężny zasób powietrza i westchnęła bardzo tkliwie.

Na nic! On nawet nie spojrzał.

Należy powtórzyć kilka razy, bo jest tak zamyślony, że mógł nie zauważyć. Powtórzyła wzdychający zabieg tak wspaniale, że kamień, mchem obrosły, byłby się odwrócił. Zbójca zapytałby, czy jej przypadkiem serce nie pęka, ale on nie zapytał. Wydała przeto ze zbolałych piersi prawie jęk, długi, bolesny, przeciągły. Och, nareszcie!

Zbyszek podniósł głowę przywaloną cierpieniem i z trzaskiem zamknął książkę.

- Ząb cię boli, czy co? Słowo daję, że w tym domu nawet pracować nie można.

Zamknął za sobą drzwi z gniewnym hałasem, co zwałił się na jej biedną głowinę jak stokrotnie powiększony grzmot. W oczach błysnęły łzy.

- Nie dasz rady, nieszczęśliwa kobieto - rzekła sobie głosem suchym i złamanym jak badył na jesiennym wietrze.

Wieczorem zaniosała swój smutek do pokoju na poddaszu, skąd był przepyszny widok na góry. Noc była ciemnogramatowa, ale zaczęła powoli srebrzyć się jak połyskliwa woda. Wielki, srebrny księżyc, który dzień przespał w jakiejś górskiej pieczarze, gramolił się po chmurach na niebo i, pusząc się swoją srebrną jasnością, wędrował wśród biedniutkich gwiazd, co na jego widok z zachwyty mrużyły złote oczy. On łaskawie uśmiechał się dobrym uśmiechem, a kiedy wreszcie stanął na samym szczycie nieba, rozejrzał się po białym świecie, który rozblęsnął wielką jasnością. Już nie było nocy, tylko niezmierny czar, srebrna cisza i tkliwy, rzewny spokój. Irenka patrzyła wielkimi oczami.

Góry miały na głowicach srebrne korony, a srebrzyste płaszcze osuwały się po ich stokach aż do tej niskości, gdzie mieszkali ludzie. Stały się jakoś wyższe, jakby urosły w księżycowej łasce i jakby w jego rozjaśnionym bogactwie stały się wspanialsze. Na śniegi padły liliowe cienie, przedzone cienko i misternie. Zdumionej dziewczynie wydało się, że cały świat, cała ta ciężka, głazem zimy przywalona ziemia zaczęła za tajemną sprawą księżyca dźwigać się ze swego padołu i na promieniach podnosić się w górę. Wszystko stało się światłem i ciszą, uczyniło się lekkie i powiewne, smutne i zarazem radosne. Wielka bajka miesięcznej nocy ogarnęła cały świat i szeptała coś w niezmierzonej ciszy.

A ona też stała się jakaś inna. Zdawało się jej, że wszystkie smutki i udręczenia, wszystkie myśli i zadumania opadają z niej jak ciężkie, wilgotne odzienie, a ona, lekko, jak ta biała chmurka, szybko po niebie lecąca, leci przez powietrze na srebrny księżyc.

W tej chwili wszystko rozumie. Już wie, dlaczego czasem chciało się jej płakać bez powodu. Nie umie tego wypowiedzieć, ale teraz już wie, dlaczego nagle zaczynała tęsknić, nie wiadomo za czym. Pewnie z każdym na świecie człowiekiem dzieje się to samo, co się czasem działo z nią. Teraz rozumie: wszystko to, co się dokoła niej odbywa, to małe sprawy. Kłopoty, pieniądze, troski, to drobne kamienie zawalające drogę. Człowiek pragnie je minąć i uczynić wielki wysiłek w górę, tam gdzie jest światło i błękit, nabijany gwiazdami. O, jakże cudnie jest w tym zaczarowanym kraju! Zdaje się, że to światło dźwięczy. A może to gwiazdy szemrzą, jak złote pszczoły na niezmiernej łące?

Dziwne... dziwne... Jest w tej chwili bardzo szczęśliwa, bo leci ponad ziemią, a jednak czuje, że siłą musi powstrzymać łzy. Może dlatego, że trzeba będzie wracać, bo wciąż nie można latać pod błękitami... Nie zawsze jest księżycowa noc...

- Boże mój, Boże mój! - westchnęła cichutko.

Księżyc musiał ją posłyszeć, bo przystanął na wprost jej twarzy i uśmiechnął się do niej jak ktoś bardzo, bardzo kochany. Zalał srebrzystą wodą jasności jej pokoik, a ją otoczył promieniami jak przedzą. Zdawało się jej, że cała jest światłem dobrym, łagodnym i słodkim. Serce przestało w niej bić, bo też zamieniło się w jasność. Jak gdyby promień zadźwięczał o promień, tak w niej zadźwięczał nieznany głos, proszący Boga, aby to trwano długo, długo... A jeśli trwać nie może, niech jak najczęściej nachodzą ją takie chwile, kiedy można wylecieć ponad ziemię, gdzie jest tak jasno i tak niezmiernie słodko.

W tej chwili księżyc ucałował jej głowinę, bo musiał iść dalej, Ona patrzyła za nim jak ktoś, co stoi na brzegu wielkiego morza i zegna spojrzeniem srebrną łódź. Ale ten, co odpływa, zostawił jej srebrną okruszynę mądrości o ludzkiej tęsknocie zatym, co jest piękne i mieszka na wysokościach, i zostawił jej duże srebrne łzy, szczęśliwe, dobre łzy, co ciężko spływają po jej twarzy.

Nikt nie wie, gdzie jest źródło takich łez.

Ona też nie wie. Nikt tych łez nie widział i nikt się o nich nie dowie. A mądry samotnik, księżyc, który o nich wie, ma usta na wieki zamknięte.

Rozdział dwunasty

Pani Borowska, ciocia Amelia i doktor Lipień czytali list Irenki, Pani Borowska czytała głośno, a oni słuchali, łowiąc każde słowo w locie. List był długi jak droga przez pustynię do studni a tak zszyty z najdziwniejszych zdarzeń, jak te dawne dywany z okrawków różnokolorowych materiałów, które nasze babki zawieszały nad łóżkiem. Czytano go ustępami, w słusznej obawie, że odczytanie go od razu, za jednym zapędem, groziło czytelnikowi pomieszaniem zmysłów. Była to powieść o wszystkim, przewyborny galimatias, zupa ze stu siedemdziesięciu ingrediencyj, czyli - wedle wyrażenia doktora - groch z kapusta. Irenka opisała sumiennie wszystkie swoje przygody w

Zakopanem, poza tym ludzi, zwierzęta, drzewa i kamienie, niebo i ziemię, powtórzyła swoje myśli i słowa.

Pani Borowska czytała:

„... Walizkę moją odniósł z dworca kolei sławny na dwóch półkulach, bo trzeciej nie ma, śpiewak Jerzy Zadora...”

- Oszalała dziewczyna! - krzyknął doktor,

- Przecie Irenka nie kłamie - rzekła pani Borowska.

- W takim razie on oszalał. Coś niesłychanego. Skąd ona wytrzasnęła słynnego śpiewaka do noszenia walizek.

- Ona wszystko potrafi! - wtrąciła z uwielbieniem ciotka.

- Niech pani czyta dalej, a ja każę przynieść lód na głowę, na wszelki wypadek.

Pani Borowska brnęła przez list jak przez dziewiczą puszcę, a wreszcie odczytała zmienionym głosem, jakby sama sobie nie wierząc:

„... I w tym Zbyszku, który kocha się w «białym płomieniu Szwecji», ja sama zakochałam się śmiertelnie...”

- Demencja! - wrzasnął doktor.

- To nie demencja, to miłość - westchnęła ciocia.

- To dzieciństwo! - uśmiechnęła się pobłaźliwie pani Borowska.

Po takiej niespodziewanej wiadomości musieli odetchnąć.

- Niech pani przerwie, bo muszę zmysły zebrać - gadał doktor. - A mówiłem, żeby lód był pod ręką... Zakochała się! Przecie tak wyraźnie pisze?

- Tak pisze, bo jej się coś zdaje.

- Ale co znaczy ten jakiś „biały płomień Szwecji”? Czy może mnie kto objaśnić? Może to szwedzka zapałka? Nie! Zapałka pali się płomieniem żółtym... A jeżeli nie zapałka, to co? Biały płomień... biały płomień... To musi być powiedziane pod figura. Wiem! To jest szwedzki poncz. A jeżeli to jest szwedzki poncz, który jest wybornym, lecz mocnym napitkiem, w takim razie młodzieniec, zakochany w ponczu, jest obrzydliwym pijakiem. Otóż macie! Puść kozę na drzewo, a ładne będzie przedstawienie. Licho nadało niedowarzone panny! Rozumiem, że Pan Bóg stworzył lwy, tygrysy i słonie, ale po co stworzył panny, tego nie mogę zrozumieć.

Ciotka Amelia skrzywieniem twarzy dała mu do poznania, że żart jest w złym guście, bo i ona jest

panna.

- Nikt nie wie - zrzędził doktor - co uczyni kot, któremu przywiązano pęcherz do ogona, i co uczyni taka panna, której przywiązano do ogona piętnaście lat.

- Co też doktor wygaduje! - zaśmiała się pani Borowska.

- Ja wiem, co mówię. My tu nie wiemy, co z sobą zrobić, a ona zakochała się. Niech pani czyta dalej, może już się odkochała.

Nic o tym nie było w liście. Na widownię natomiast wypłynął księżyc.

„... Przecudowna była ta noc księżycowa. Było tak ślicznie, że mi się chciało płakać...”

- O, Boże! - westchnął doktor, ale zaraz groźnie warknął. „... Czemu was tu nie ma? Czemu nie ma tu ciebie, najdroższa i jedyna, święta moja mateczko...”

Pani Borowska zaczęła czytać z trudem, bo oczy jej zaszklily się łzami.

„... Czemu tu nie ma cioci, która napisałaby najpiękniejszy w życiu swoim wiersz...”

- Maleństwo moje ukochane... - szepnęła ciotka.

„... Czemu tu nie ma takiego najlepszego człowieka na świecie, wujaszka doktora? Zdawało mi się, że go widzę na księżycu, jak się do mnie uśmiecha, mój drogi i kochany...”

- Powoli! - rzekł doktor bardzo cicho. - Czemu pani tak prędko czyta? Niech pani przeczyta to raz jeszcze...

Pani Borowska odczytała po raz drugi, a doktor wlaźł w jakiś ciemny kąt i pytał stamtąd:

- Napisała: „mój drogi i kochany”?

- Tak, panie doktorze...

Nagle doktor wrzasnął ni stąd, ni zowąd:

- Czego panie właściwie chcą od tej dziewczyny?! Jeżeli zakochała się, to jej rzecz. Ho, ho! Ona wie, co robi... Irenka, złota moja Irenka... Ale ja nie pozwolę jej krzywdzić. Jeśli panie chociaż jedno złe słowo o niej powiedzą, to ja się upomnę o to biedne dziecko!

Pani Borowska spojrzała ze zdumieniem.

- Ależ, doktorze kochany, przecie to pan...

- Ja? W imię Ojca i Syna!... Żebym siebie samego leczył, jeśli cokolwiek powiedziałem.

- Może nam się przesłyszało - uśmiechnęła się pani Borowska.

- Nawet z całą pewnością - oświadczył doktor.

List skończył się wiadomością o depeszy pani Opolskiej, co wielkie na wszystkich uczyniło wrażenie. Pani Borowska gładziła go ręką, jak gdyby to była sama Irenka, a doktor szybko krążyć począł po pokoju. Nagle przystanął i podniósł w górę wskazujący palec, jak człowiek, który bada kierunek wiatru.

- Jestem tak wzruszony - rzekł radośnie - że muszę pójść zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyć gwiazdy.

- Uroczy człowiek - powiedziała po jego wyjściu ciotka Amelia. - Szkoda tylko, że wciąż gubi swoje gumowe mankiety.

Doktor, nucąc arię z opery, o której wszyscy już na całym świecie zapomnieli, nawet nie spojrzał na niebo, gdyż nie trzeba było kierować się gwiazdami, aby trafić do jedynej w tym mieście knajpy, tym się odznaczającej, że w lecie było w niej więcej much niż gości, a w zimie tyle gości, ile much. Siedzieli w niej w tej chwili dwaj wytrwali: burmistrz ze skłopotaną głową i nauczyciel kaligrafii, tak długi i chudy, jak chuda i długa jest litera f, żyrafa abecadła. Doktor, należący do odmiennego niż oni stronnictwa, którego był jedynym członkiem, skłoniwszy się uprzejmie, usiadł przy osobnym stole, w najlepszym towarzystwie, jakie można było znaleźć w tym miasteczku, bo sam ze sobą. Wiódł też sam z sobą rozmowę zajmująca i wesoła, bo wciąż się uśmiechał. Po jakimś czasie jednakże zawołał półgłosem:

- Europejska heca! Słowo daję...

Tamci spojrzeli na niego ciekawie.

- Jaka heca? Co się stało, panie doktorze?

- Nic... nic... Tylko, że słynny tenor niósł walizkę za Irenką. Ha! Ha!

Burmistrz mrugnął na żyrafę.

- Piąte piwo! - szepnął.

Po półgodzinie doktor zaśmiał się po raz drugi.

- „Pokochać można, wierzyć nie trzeba - rzekła matka do swej córki” - głosił doktor.

Oni spojrzeli ze zdumieniem.

- Szóste piwo! - z gorzką zawiścią bąknęła żyrafa.

Radość zacnego doktora nie byłaby jednak tak rozszumiana jak piana na piwie, gdyby był wiedział, jakie serdeczne cierpienia przeżywa Irenką.

Dni w Zakopanem były promieniste, a jej dusza tułała się w mroku. Nie mogła wyratować Zbyszka, który, jeśli nawet na nią spojrzeł, patrzył tak, jakby była ze szkła i jakby przez nią, jak przez powietrze, można było widzieć stół czy krzesło. Na nic przeto wszystkie westchnienia, na nic serdeczna ofiara. On jest zgubiony, a ona będzie smutna do końca swoich dni. Cóż dla takiego wspaniałego melancholika znaczy taki laskonogi podlotek, dla człowieka z siódmej klasy piętnastoletni skrzat! Trzeba będzie zapaść się w żal jak w trzęsawisko, kupić sobie olbrzymi dzban na łyżę i patrzeć z pękniętym jak szklanka sercem, jak jakiś zamorski dziwoląg zwycięża polską pannę. O, boleści! Jak wytłumaczyć temu opętanemu Zbyszkowi, że ona nie jest dzieckiem, lecz dorosłą, zdolną do największych poświęceń osobą, gotową do czynów śmiałych i zdumiewających, i że posiada serce najczulsze na świecie? Jak zwrócić jego uwagę?

Przypadek, wspaniały przypadek sprawił, że musiał przekonać się o jej znaczeniu we wszechświecie. Nikt tego nie mógł przewidzieć, a ona pojęła w lot, że jeśli teraz nie skorzysta z dziwnego zbiegu zdarzeń, przypadek taki już nigdy nie powtórzy się. Szła przez zalany słońcem park, kiedy usłyszała za sobą śmiech i głośną rozmowę. Zdawało się jej, że poznaje głos Zbyszka, miękki jak mech. Co tam mech! Miękki jak aksamit. Szedł w towarzystwie dwóch dryblasów, swoich kolegów, i głośno o czymś rozprawiali. Przyśpieszyła kroku, a wtem załśniło coś w jej duszy, jak błyskawica. Tuz przed nią, szczerząc zdrowe zęby do słońca, siedział na ławce wielki On, słynny Zadora. Z oszołomionej jej głowy, wytrysnął nagle pomysł perlisty jak fontanna. Tamci już się zbliżają. Za chwilę Zbyszek będzie tędy przechodził. Wszystko jedno!.. zegna się z przyjaciółmi i nadchodzi...

Podbiegła do Zadora i usiadła przy nim tak niespodziewanie, jak gdyby zleciała z drzewa. Słynny człowiek zdumiał się zupełnie tak jak zwyczajny człowiek.

- O, to pani! - rzekł wesoło.

- Tak, ja... Drogi, złoty, kochany... Potem panu wszystko powiem... Ale teraz niech pan powie głośno, jak najgłośniej: „O, cudna pani, szaleję za tobą!” I niech pan oczy wywróci albo ręką złapie się za serce... Już, już, niech pan mówi!

Zadora, wesoły chłopak, poczuwszy jakąś radosną awanturę, o nic nie pytał, tylko wrzasnął z niezmiernym przejęciem:

- O, cudna pani, szaleję za tobą!

A od siebie, z własnej pilności, dodał:

- Albo ty, albo śmierć!

Zbyszek spojrzeł! Spojrzeł! Jest cokolwiek zdumiony, lecz cóż to... Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tak litościwie i tak drwiąco... Spokojnie poszedł dalej.

Zimny, bezgłośny piorun padł u stóp Irenki.

- Dobrze było, co? - zaśmiał się Zadora z całego serca.

- To o niego szło? Rozumiem! O, cóż to panienka taka smutna?

- Nawet pan nie pomógł - szepnęła Irenka. - W takim razie już nic nie pomoże... Dziękuję panu... Jest pan strasznie dobry.

- Przejdzie, przejdzie, moja mała - uśmiechnął się Zadora bardzo czule.

Patrzył za nią długo, kiedy odchodziła wolnym krokiem.

„To jakaś pomyłona dziewczyna - pomyślał - ale bardzo zabawna”.

Tego samego zdania byli wszyscy, kiedy przy wspólnym obiedzie, podczas chwilowej ciszy, Irenka rzekła niedbale:

- Ten sławny Zadora oświadczył mi się dzisiaj w parku, ale go nie przyjąłem.

Jednej pani wypadła łyżeczka z ręki, ktoś inny znieruchomiał z wzniesionym w górę widelcem. Trwało to jednak krótką chwilę, nagle bowiem wszyscy - oprócz Zbyszka - wybuchnęli rozgłośnym śmiechem.

„Kłapa” - pomyślała Irenka i pochyliła głowę nad talerzem.

- Koza - bąknął Zbyszek.

Do końca obiadu była celem żartów. Śmiano się serdecznie, dziwiąc się jedynie, że Irenka, zrobiwszy taki wyborny dowcip, sama się z niego nie śmieje.

„Palnęłam nieśmiertelne głupstwo - myślała Irenka w swoim pokoiku. - Ale tej kozy nigdy mu nie przebaczę. Skąd on od razu przejrzał, że to była heca! Albo słyszał wszystko, kiedy prosiłam Zadorę, albo też ten Zadora zbyt śmiesznie wygłosił wspaniałe słowa... Musiało to niemądrze wypaść i wszystko na nic, Po co on zresztą dodał: «Albo ty, albo śmierć», kiedy tak nie było umówione? A tak to jakoś powiedział, jakby zaśpiewał. Po co zaraz ta śmierć? Śmierć teraz dopiero jest potrzebna... Może byłoby to najlepsze, gdybym teraz umarła... O, wtedy to już nie byłaby koza, panie Zbyszku!”

Zacisnęła powieki i przestała oddychać, być może bowiem, że jest to doskonały środek na rozstanie się z tym nędznym światem... Może byłoby się nawet udało, gdyby ktoś nie był gwałtownie zapukał do drzwi.

- Irenka, zejź czym prędzej! - wołała pani Milecka.

Irenka odsunęła śmierć łagodnie i otrząsnawszy z głowy ponure myśli, zeszła do pokoju pani Mileckiej.

- Mam dobre wiadomości, moje dziecko - mówiła ona, pokazując jej trzymany w ręku list. - Pani Opolska pisze...

Miłość odleciała z serca Irenki jak ptaszek i usiadła za oknem na gałęzi drzewa, bo jej pani miała w

tej chwili ważniejsze sprawy.

- Pani Opolska pisze, że jest chora i sama nie może przyjechać - mówiła pani Milecka, dziwnie uśmiechnięta. - Przysłała za to swoją zaufaną przyjaciółkę czy też krewną, bo niewyraźnie o tym wspomina i ta pani z tobą się rozmówi.

- Czy to dobrze, proszę pani, czy to źle?

- O ile znam panią Opolską, to bardzo dobrze. Z pewnością przyjechałaby sama, gdyby nie była chora. A ta pani przyjedzie dzisiaj wieczorem, moje dziecko!

- Co, proszę pani!

- Odziej się starannie, jak możesz najstaranniej, a włosy spróbuj jakoś ułożyć, bo to awantura, a nie włosy, I bądź dla tej pani uprzejma. Dobrze, dobrze! Ja wiem, że zawsze jesteś uprzejma, ale dzisiaj proszę cię o to szczególnie. I jeszcze jedno! Nie skarż się na panią Opolską...

- Jakże ja mam skarżyć się na panią Opolską? Ja mam do niej tylko żal...

- Więc nie miej nawet żalu. O czym będziesz rozmawiać z tą panią, tego nie wiem, ale niech cię twoje dobre serce nauczy najserdeczniejszych słów. To ci tylko chciałam powiedzieć. Czy dać ci jakąś wstążkę do upięcia włosów?

- Nie, proszę pani, dziękuję. Ja znam swoją głowę! Może żelazna obręcz z beczki cokolwiek mogłaby pomóc, ale wstążka na nic.

- Och, ty „Panno z mokrą głową”! - zaśmiała się pani Milecka, ściskając wzruszoną Irenkę.

„Matka anioł, a syn zbrodniarz...” - pomyślała Irenka z goryczą, idąc stroić się na przyjęcie posła pani Opolskiej.

Obrzęd ten nie trwał długo, polegał bowiem na oczyszczeniu sukienki i na przejechaniu przez gęstwinę włosów rozczapierzonymi palcami jak broną po grudzie. Królowa buszmeńskiego plemienia nie czesze się inaczej.

Irenka, mając jeszcze wiele czasu, rozmyślała w ciszy, co powie tej damie, która ma zjechać do Zakopanego, aby ją obejrzeć. Cóż jej powie? Wszystko - śmiało, odważnie i jasno. Myślała o tym spotkaniu spokojnie, kiedy jednak usłyszała zgiełk i nawoływania służby w dolnych pokojach, co zapowiadało nieomylnie przyjazd znamienitej osoby, serce jej zaczęło bić niespokojnie. Potem wszystko ucichło, zapadł głęboki wieczór, a jej jeszcze nie wołano. Widocznie pani Milecka rozmawia z ową damą. Musiała ona napisać wzruszający list do pani Opolskiej, skoro pani Opolska pragnęła sama przyjechać. Niech jej to pan Bóg wielkim szczęściem wynagrodzi... O czym one tak długo rozmawiają? Pewnie o niej.

Nareszcie, nareszcie!

Pani Milecka weszła do pokoju Irenki i powiedziała cicho:

- Ta pani musiała odpocząć, a teraz chce ciebie zobaczyć.

Chodź ze mną, drogie dziecko... Pamiętasz, o co cię prosiłam?

- Pamiętam, proszę pani.

- I nie bój się. Przyjaciółka pani Opolskiej ma wprawdzie groźną minę, ale zdaje mi się, że to dobra kobieta. Chodźmy! Ta pani mieszka w wielkim pokoju. Wejdz sama...

Irenka zapukała nieśmiało do drzwi.

- Proszę wejść - odpowiedziano stłumionym głosem.

Dziewczyna weszła i przystanąła przy drzwiach, szukając oczyma tej pani, w pokoju bowiem paliła się jedna tylko lampa, stłumiona kolorowym abażurem. Bystre oczy Irenki ogarnęły pokój. W fotelu siedziała siwa, starsza pani, świetnie wytworna, w czarnej sukni. Spojrzenie jej było żywe i mądre: nos miała cokolwiek ostry. Barwa twarzy przypominała barwę kości słoniowej. Musiała być kiedyś bardzo piękna. W nieskazitelnej piękności zachowały się jej ręce, drobne, białe, starannie wypielęgnowane. Dwie rysy, opadające z końców ust ku dołowi, złościły się bardzo widocznie, tak samo jak pionowe zmarszczki między oczami.

Irenka poczuła, że oczy te patrzą w nią mocnym, natarczywym spojrzeniem, jak gdyby chciały przebić nie tylko mrok sączący się z powały, ale i jej piersi, i jak gdyby chciały ujrzyć serce. Ukłoniwszy się z czarującym wdziękiem, dziewczyna spojrzała w te oczy wzrokiem jasnym, rozbłyśniętym i szczerem.

Przez chwilę trwało milczenie, Irenka bowiem nie śmiała przemówić pierwsza, a siwa pani patrzyła... patrzyła... Wreszcie zapytała cicho:

- Nazywasz się, moje dziecko, Irena Borowska?

- Tak, proszę pani.

- Szukasz pani Opolskiej?

- Tak, proszę pani.

- Pani Opolska prosiła mnie, abym porozumiała się z tobą. Możesz mówić wszystko, a ja jej wiernie wszystko powtórzę. Nie mamy przed sobą tajemnic. Uprzedzam cię jednak, że ode mnie będzie zależało, czy zobaczysz kiedykolwiek panią Opolską, czy jej nigdy nie ujrzysz. Teraz mów!

- Co ja mam mówić, proszę pani?

- Wszystko! Pani Milecka cuda o tobie opowiada, o twojej roztropności i o czymś tam jeszcze, więc pewnie słów ci wystarczy... Usiądź... A teraz patrz mi w oczy i odpowiadaj. Kto cię wysłał do pani Opolskiej?

- Nikt, proszę pani. To był mój pomysł.

- Mądry pomysł i głupi pomysł. Matka twoja, oczywiście, wie o twoim wyjeździe?

- Moja matka wie.

- A więc to taka mała zмова!

Irenka spojrzała na nią wzrokiem pełnym wielkiego żalu.

- Proszę pani - rzekła drżącym głosem - niech pani mówi ze mną jak chce, i niech pani nawet mnie zwymyśla, ile się tylko zmieści, ale niech pani o mojej matce ani źle nie mówi, ani źle nie myśli. Moja matka jest chora, bardzo ciężko chora na serce. Gdyby mi nie pozwoliła pojechać do pani Opolskiej, byłabym może uciekła... ja nie wiem... ale ja musiałam pojechać właśnie dlatego, że moja matka jest taka chora. Mama nie sprzeciwiała się, bo tylko jedna pani Opolska potrafiłaby ją poratować.

- Bardzo ładnie. A czemuż tylko pani Opolska?

- Bo my nie mamy nikogo poza nią na świecie. Wprawdzie raz już jeden mamusia pisała do niej, ale odmówiła. Sama woziałam list na pocztę w wielkiej tajemnicy.

- Przed kim?

- Przed ojczulkiem. Mama nie chciała, aby ojciec o tym wiedział, że mama szuka ratunku.

- Ach, tak... I pani Opolska odmówiła... No, a teraz? Co masz teraz do powiedzenia pani Opolskiej? Przyjechałaś po pieniądze. Czy nie tak?

- Nie! - odpowiedziała Irenka mocnym głosem.

- Więc po co właściwie?

- Ułożyłam sobie - mówiła Irenka - że padnę do nóg pani Opolskiej i wyblagam, aby ratowała moją matkę i mojego brata. To jeszcze dziecko... Może pani Opolska wzięłaby ich do siebie na wieś albo do Warszawy na tak długo, zanim ja nie będę mogła pracować.

- Aha! Pani Opolska miała wziąć do siebie matkę i brata... Ale czemu nie mówisz o sobie? Co miało stać się przez ten czas z tobą?

- Ze mną? Ja dobrze o tym nie myślałam, proszę pani.

Gdzieś byłabym się przytuliła i uczyłabym się pracy. Co tam ja! Ja mogę jeść byle co i spać na gałęzi, ale mama nie może i brat nie może. Ja nawet myślałam...

- Mów śmiało.

- Myślałam nawet o tym, że pani Opolska zajmie się nimi, a ja chociaż część tego, co im da, odśluzę jako pokojówka...

- U kogo?

- Myślę, że u pani Opolskiej.

- Jako pokojówka... jako pokojówka... - powtarzała siwa pani bezdźwięcznie. - Czemu tak wpatrujesz się we mnie? - zapytała nagle bardzo szorstko.

- Bardzo panią przepraszam. Ja mam takie niemądre przyzwyczajenie patrzenia w oczy. Już nie będę...

- Patrz albo nie patrz... Jak ci się podoba... Ile masz lat?

- Prawie piętnaście, a brat skończy osiem.

- A matka bardzo chora?

- Bardzo. Trzeba jej wielkiego spokoju.

Siwa pani odwróciła głowę i przez chwilę patrzyła w noc, kładącą się do snu za oknami.

- Co powiedziała twoja matka po otrzymaniu listu od pani Opolskiej? Pamiętasz?

- Pamiętam. Nic nie powiedziała, tylko miała bardzo czerwone oczy... Od łez.

Wytworna pani drgnęła, jakby mróz powiał spoza okien.

- Pani Opolska o tym nie wiedziała - powiedziała cicho.

- Jak mogła wiedzieć? - mówiła smutno Irenka. - Może gdyby była widziała łzy mojej matki...

- No, to co? Nikt cię o to nie pyta - zawołała gwałtownie siwa pani.

Irenka spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale widząc, że siwa pani znowu patrzy w okno, odważyła się rzec cichutko:

- Bo ja myślę, proszę pani, że pani Opolska nie jest taka zła, jak się wydaje.

Wytworna pani odwróciła powoli głowę i zapytała głosem niespodziewanie łagodnym:

- Dlaczego tak myślisz?

- Dlatego, że ja sobie nie wyobrażam, aby ktoś mógł być zły dla swojej najbliższej krewnej, kiedy obcy ludzie byli dla nas dobrzy. Musi być jakaś inna przyczyna. Pani dobrze zna panią Opolską. Może ona jest nieszczęśliwa albo może ktoś jej wyrządził co złego, więc pogniewała się na cały świat i na nas przy sposobności? Ja często o tym myślałam, ale nic nie wymyśliłam, bo jestem głupia.

- A gdybyś zobaczyła panią Opolską, co byś jej powiedziała?

- Dobrze nie wiem, ale powiedziałabym jej tak: jeżeli pani jest zła, to trudno, Pan Bóg panią osądzi, ale jeżeli pani pozwoli umrzeć mojej matce tylko dlatego, że pani ma żal do niej, nie wiem za co, to pani nie będzie miała w życiu spokojnej chwili, bo panią sumienie zadręczy. Powiedziałabym jej to takim głosem, że by struchlała. Siwa pani spojrzała na nią z dziwnym błyskiem w oczach.

- Czy tak bardzo kochasz swoją matkę?

- Moją matkę? Ponad życie!

- A pani Opolskiej nie kochasz chyba?

- Na to trudno odpowiedzieć. Gdybym ją była spotkała wtedy, kiedy mama przez nią płakała, byłoby jej gorąco. Byłabym jej powiedziała straszne rzeczy... Teraz to już mi przeszło. Zresztą, co innego list, a co innego żywa osoba. Mojej prośbie pani Opolska nie odmówi!

- Och, a czemuż to tobie nie ma odmówić?

- Bo nie może. Nawet krokodyl nie odmówiłby dziecku, które prosi o życie dla swojej matki. Zresztą, ja słyszałam, że pani Opolska miała też córkę, która, biedactwo, umarła.

- Umarła... - powtórzyła szeptem siwa pani.

- Może ona dlatego jest taka nieszczęśliwa?

- Moje dziecko, przestań o tym mówić. Powiedz mi teraz jasno: co zrobisz, jeżeli pani Opolska odmówi nawet tobie?

Irenka odpowiedziała smutno:

- Jeżeli tak się stanie, wtedy nie wiem, co my zrobimy. Moja droga, moja złota, moja jedyna pani. Niech pani tak urządzi, abym ja mogła zobaczyć panią Opolską! Ja zrobię wszystko, co ona każe, ja będę pracowała od świtu do nocy, byle tylko ją wzruszyć i byle wyratowała mamusię. Może mnie nawet bić codziennie, może mi kazać śmiać się albo płakać, ja wszystko...

- Uspokój się, moje dziecko. Zrobię, co można... Zobaczysz panią Opolską... Co ty wyprawiasz dziewczyno?

Pytanie było uzasadnione, bo bujna i czuła dusza Irenki wybuchnęła płomieniem wdzięczności; nie zważając ani na dostojność, ani na świetne maniery siwej pani, Irenka zarzuciła ręce na jej szyję i zaczęła ścisnąć jej dostojność z całego serca. Dostojność broniła się słabo, wreszcie udało się jej posadzić Irenkę na fotelu.

- Strasznie panią przepraszam, ale taka jestem głupia. Kiedy mi kto przemówi do serca, sama nie wiem, co robię. Czy pani wie, jak mnie nazywają w narodzie? „Panna z mokrą głową”! Dobrze, co?

- Lepiej nie było można.

- Niech pani tylko tego nie mówi pani Opolskiej, bo może pomyśli, że jestem po prostu wariat. Ja tylko pani mówię w zaufaniu.

- Tak mi wierzysz?

- Bardzo! Pani musi być bardzo, bardzo dobra, tylko...

- Tylko co?

- Przepraszam, wymknęło mi się. Pani nie pogniewa się na mnie?

~ Nie pogniewam. Więc?

- Tylko, że pani ani razu nie uśmiechnęła się do mnie. Do mnie zawsze wszyscy się śmieje. Ale może pani nie uśmiechać się, ja i bez tego wiem, że pani jest dobra, tylko że z początku to się trochę pani bałam.

Siwa pani starała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udawało. Głębokie bruzdy koło ust nie mogły się rozprostować. Spojrzeniem jednakże starała się okazać Irencie odrobinę życzliwości. Była bardzo jakaś zmieszana i ręce jej drżały.

- Zdaje mi się, że ciębie niełatwo nastraszyć - rzekła z jedną dziesiątą uśmiechu. - Wracajmy jednak do rzeczy. Czy możesz mi, moje dziecko, opowiedzieć o wszystkim, co działo się z wami od tej chwili, kiedy to pani Opolska tak niemiłosiernie odpisała twojej matce? Mów, jak umiesz, ale o wszystkim, o wszystkim. O ludziach i o zdarzeniach. Jeszcze nie jest późno, mamy czas. Mów, Ireńko...

Dziewczyna rozpoczęła powieść barwną i obszerną; wzięła do rąk długi, długi różaniec dni i cichym głosem, jak gdyby modliła się, przesuwała paciorki. Jedne były śliczne, z pereł utoczone, inne smutne, z czarnego drzewa. Głos jej czasem zadrżał albo wilgotniał od łez, kiedy mówiła o śmierci ojca; brzmiał cudownie, kiedy mówiła o matce. Jak złote nitki w szarej tkaninie błyskały dziecinne słowa, kiedy opisywała swoje dni szczęśliwe, wyprawy i szaleństwa. Potem głos jej rozeźmiał się, kiedy przed nieruchome, wpatrzone w nią oczy starszej pani wywlókła Jasia, zagrzebanego w śniegu lub odprawiającego medytacje z jajkami w ręku. O babce i ciotkach opowiadała rzewnie, wreszcie skrzesał ognia pan Podkówka. Mówiła o dobrotliwym księdzu i o jego testamencie, o wszystkim, o wszystkim. Ustęp osobny, wspaniały i rozgłośny, przeplatany śmiechem i wzruszeniem, poświęciła największemu swojemu przyjacielowi na świecie, doktorowi. Krótko i kwiecicie zdawała raport o swojej wyprawie i o przyjeździe do Zakopanego.

Siwa pani nie przerywała jej ani jednym słowem. Słuchała pilnie, zamykając czasem oczy, kiedy Ireńce głos zadrgał, lub patrząc na nią ciekawie, kiedy powieść stawała na głowie i wyrażała radość. Coś musiało dziać się z wytworną panią, bo jej twarz, zakrzepła w smutnej powadze, zaczęła tajać, jakby słoneczny płomień padł na lodową powłokę. Ireńce zdawało się czasem, że zmarszczki koło ust czyniły gwałtowny wysiłek, aby uczynić miejsce uśmiechowi, co cieniutką strugą spływał z oczu

wyniosłej damy.

- A teraz, na sam koniec - mówiła Irenka, znizywszy głos - powiem pani coś, ale w największej tajemnicy.

- Mów, mów, moje dziecko!

- Otóż tu, w Zakopanem, spotkało mnie wielkie i śmiertelne nieszczęście.

Dama wzdrygnęła się.

- Co ci się stało, na Boga?! zapytała z wyraźnym już wzruszeniem.

- Zakochałam się - ogłosiła Irenka z cichym jękiem. - W Zbyszku Mileckim... Śmiertelnie, powiadam pani: śmiertelnie!

- A on? - zapytała siwa pani pośpiesznie.

- A on gwizdże na mnie!

W tej chwili stało się coś nadzwyczajnego. Wytworna pani zaczęła dusić się, najwyraźniej dusić się. Zatrzepotała rękami jak tonący człowiek i chwyciła ustami powietrze, też jak topielec. A jak na rzece, kiedy słońce przygrzeje, lód trzaska i uchodzi do morza, a woda wygładza się i uśmiecha do słońca, taka sama radosna awantura odbyła się na twarzy owej pani. Lód spłynął z jej groźnej twarzy, wygładziły się zmarszczki, odetchnęły wreszcie usta. Dostojna, mroźna, twarda twarz zelżała i świetna pani wybuchnęła śmiechem.

Irenka chciała się obrazić, ale przez krótką chwilę. Ten nieoczekiwany, niespodziewany, może od wielu, wielu lat wyglądany śmiech tak ją rozradował, że zaczęła śmiać się także. A teraz z kolei siwa pani podniosła się nagle z fotela i objąwszy ramionami Irenkę zaczęła całować jej głowę.

- Och, ty śmieszne, drogie dziecko... - mówiła szybko.

- Głupi ten Zbyszek, że ciebie nie kocha, bo jakże ciebie nie kochać?

~ Żeby tak pani Opolska to powiedziała - westchnęła Irenka.

Siwa pani ujęła jej głowę w obie dłonie i rzekła ze wzruszeniem:

- Pani Opolska nie wiedziała o niczym. To biedna, stara kobieta, która wiatr nosi po świecie, bo jej serce nie zna spokoju. Prawdę o niej powiedziałaś, Irenko moja złota. Ale teraz, kiedy o wszystkim dowie się ode mnie, będzie inaczej, z całą pewnością będzie inaczej... Pani Opolska też miała córkę... A ponieważ jej już nie ma, chciałaby mieć taką jak ty... Taką jak ty... Co dla matki oddałaby życie... Kochane, drogie dziecko... Niech cię Bóg błogosławi!... Zaśmiałam się po raz pierwszy od wielu lat za twoją sprawą, a teraz znowu mam łzy w oczach... Też za twoją sprawą... Co ty ze mną wyprawiasz, zła dziewczyno?... Powiedz swojej matce, że pani Opolska żałuje z całego serca. I że będzie inaczej...

Nagle Irenka cofnęła się o krok. Zbladła i usta jej zadrgały.

Dobytając słów z trudem, szepnęła:

- Pani jest panią Opolską!

- Tak! - odpowiedziała jej siwa pani. - Nie gniewaj się. Chciałam usłyszeć prawdę o sobie... Nie chciałam cię przestraszyć... Przebaczysz mi, córuchno?

Irenka zawahała się na jedno króciutkie mgnienie. A po tym mgnieniu siwa pani i czarnowłose Cyganiątko objęły się w mocnym uścisku.

A chociaż to była zima, w Zakopanem wielka tej nocy była ulewa.

Albowiem powiada mędrzec: kiedy jedna kobieta płacze, wtedy pada rosa. Kiedy jednak płaczą dwie kobiety, i to z radości, wtedy jest ulewa.

Rozdział trzynasty

Pani Opolskiej zdawało się nazajutrz, że po ciężkiej chorobie obudziła się zdrowa i szczęśliwa. Nie powiedziała Irence wszystkiego tego, o czym ciotka Amelia mówiła doktorowi. Nie powiedziała jej, że załamała się w niej twarda, nieustępliwa duma, która dotąd lodowym pancierzem osłaniała jej serce. Odgrodziła się od wszystkich, przekonana, że jej nieszczęście jest innym nieszczęściem, większym i bardziej zbolącym niż szare nieszczęścia szarych ludzi. A ci ludzie byli jej obcy i jeśli musiała zetknąć się z nimi, czyniła to z niecierpliwą niechęcią. Nie obchodził jej los i żywot nawet najbliższych. Umieściła się na wysokiej skale swojego cierpienia i było jej to obojętne, że i inni cierpią. Dopiero kiedy słuchała opowieści Irenki, cichej, niewymyślnej, a tak napełnionej pokornym i wielkim cierpieniem, jak noc mrokiem i ciszą, zdumiała się, jak gdyby objawiło się jej coś nieznanego. Więc szare istoty też tak cierpią. Cierpią dotkliwie, boleśnie i gorzko, a nie skarżą się i nie zamykają się w swoim cierpieniu jak w trumnie, lecz dzielą się nim tak samo, jakby dzielili się radością. Przełamują serca jak chleb i mówią sobie: „Posil się moim sercem, jeśli twoje osłabło w boleści”. Dreszcz po niej przeszedł. Ci odsunięci od niej Borowscy, sami mając zaledwie kęs chleba, dzielą się nim z biednymi krewnymi, a kiedy go Borowskim zabrakło, jakiś cudaczny doktor, obcy człowiek, otwiera im swoje serce i dom. Staruszek ksiądz za grobem myśli jeszcze o tym, aby ratować tonących. Jakiś mizerak Podkówka kłamie serdecznie, aby pomóc temu ślicznemu dziecku. A cóż ona wtedy czyniła? Ona, bogata, wspaniała i tak strasznie, strasznie dumna? Odepchnęła wszystkich, zamknęła się jak ślimak w skorupie w swojej złotej, dostatniej ciszy i nie słyszała szelestu łez, najgroźniejszego głosu na świecie.

„Przebacz mi. Boże, przebacz mi, Boże!” - szeptała bez słów, słuchając Irenki.

„0, jakie to szczęście - myślała - że to rozsądne i mądre dziecko nie ma w swoim najczystszej sercu

tylę mądrości, aby rozumieć, co w niej dzieje się i co w niej łamie się; że nie widziało tej koszarnej dumy, oschłej, nielitościwej i nie znającej miłości, bo może przeraziłoby się tego widoku i odeszło, przelękłe. Niech niebu będą dzięki, że wzruszyło się dziecinnie i swoje rączki zarzuciło na jej szyję. Cudowne, drogie dziecko...” Pani Opolska jeszcze słyszy stuk wzruszonego serduszka, jeszcze widzi wielkie łzy w czarnych, zamglonych oczach.

Pokochała tę dziewczynę gwałtownie, całą mocą obudzonego serca. Rozeszły się późną nocą, a ona już za nią tęskni. Rozmawiały długo, długo jeszcze, a każde słowo Irenki zakwitało jak pęk i oto ona, stara siwa kobieta, ujrzała za jej sprawą wiosnę wśród mroźnej zimy; w mroku swego serca ujrzała uśmiech, a z dumy jej, jak ze skały, tryskało żywe źródło łez. Pragnęłaby mieć ciągle tę dziewczynę przy sobie, móc ją tulić do piersi, całować te oczy, co tyle widziały smutków, i ogrzewać w swoich dłoniach te ręce drobniutkie, co usiłowały dźwignąć ciężar ogromny i ratować rodzoną ziemię.

Wśród wzruszeń pani Opolskiej błyskały czasem rzewne, nie znane jej dotąd uśmiechy, kiedy sobie przypominała niektóre ustępy z opowieści Irenki. Ta dziewczyna rzuciła na nią czar. A przy tym wszystkim taka jest śliczna, zgrabna, śmiała i roztropna.

- Moje dziecko najdroższe! - powiedziała głośno pani Opolska sama do siebie i sama słów tych słuchała ze zdumieniem jak dalekiego echa. Tak przecież kiedyś mówiła do swojej córki.

Tak tedy stało się, że hrabina Opolska rozpoczęła nowe życie w dniu dwudziestym stycznia o godzinie dziewiątej wieczorem, a „Panna z mokrą głową”, wyspana, wesoła i szczęśliwa, rozpoczęła je nazajutrz, w dniu dwudziestym pierwszym stycznia o godzinie jedenastej rano. O tej godzinie odebrano jej, niemal przemocą jej skromną sukienkę, która miała wybitne skłonności do zupełnego rozpadnięcia się, i przybrano w prześliczne, kolorowe, wyborne kiecki, zakupione wśród radości i śmiechu. Pani Opolska naraziła swą powagę na wielki despekt, kiedy z młodzieńczą werwą, staczając z Irenką wesołe boje, usiłowała zakupić dla niej cały sklep. Ująwszy się pod ręce, szły potem słoneczną ulicą, a pani Opolska aż oczy mrużyła z radości, widząc że każdy przechodzień patrzy na Irenkę tak, jak gdyby zobaczył przed sobą cudo, jak na ślicznego ptaka, co zleciał na śnieg zbierać okruszyny słońca.

- Babciu! - rzekła Irenka, nazywając tak panią Opolską wedle murowanej umowy. - To za piękne dla mnie.

- Nie ma na świecie takiej rzeczy, która by była za piękna dla ciebie - odrzekła pani Opolska z taką serdeczną przesadą, jakby od razu chciała odrobić wszystkie zaniedbania.

- Wszyscy na mnie patrzą!...

- To dobrze, bo przy sposobności może kto spojrzy i na mnie - zaśmiała się pani Opolska.

- Oj, babciu! - szepnęła nagle Irenka.

- Co się stało?

- Nic, nic... Zaraz będzie wielka heca!

Pani Opolska spojrzała przed siebie w sam czas, aby ujrzeć wyborne widowisko. Naprzeciwko nich szedł młodzieniec, w którego nagle piorun strzelił i tak dziwnie go poraził, że młodzieniec otworzył oczy i cokolwiek otworzył usta.

- Dzień dobry panu! - zakrzyknęła Irenka mijając ów słup soli.

- Kto to był, ten niemowa, co ci nawet nie odpowiedział na przywitanie? - spytała pani Opolska.

- Ten? To sławny śpiewak, Zadora - odrzekła Irenka tak, jakby z każdego rękawa mogła wytrząść dziesięciu słynnych poetów, malarzy, tenorów, a na ostatek księcia Walii. - Ale go wzięło, co? - dodała z mrugnięciem lewego oka.

Nie tylko jego „wzięło”. W „Ustroniu” patrzono na nią jak na księżniczkę, co do tej pory udawała kopciuszka. Jeden tylko oparł się zjawisku, jeden, i to ten, który... Ech!... Zbyszek znowu spojrzał na nią jak na powietrze, po którym tułają się resztki kolorowej tęczy. Było to tym okrutniejsze, że pani Opolska wyjeżdżała z Irenka wieczorem tego dnia do Warszawy. A on o tym wiedział...

Już niedaleka była godzina odjazdu; Irenka siedziała w salonie i rozgarniając wzrokiem liliowy zmierzch, chciała raz jeszcze spojrzeć na góry. Pani Opolska rozmawiała z panią Milecką w pokoju obok; Irenka słyszała wyraźnie, jak jej nowa babcia mówi o czymś ze śmiechem. Nagle rozległ się wielki tupot ciężkich narciarskich butów i gwałtowne trzaskanie drzwi, nieomylny znak, że wraca Zbyszek. Zawsze wkraczał z hałasem, w tej chwili jednak awanturował się z nadprogramowym dodatkiem przeraźliwych odgłosów. Zdejmując w przedpokoju płaszcz, najwyraźniej śpiewał. Było to tak niezwykle u tego melancholika, że Irenka zaczęła nadśłuchiwać, zdziwiona. Zdziwiłby się każdy, usłyszawszy, że na ten przykład zaczął śpiewać kamień albo lód.

Zbyszek wpadł do pokoju rozpromieniony i burzliwy.

- Irenka, ty tu? - zaśmiał się wesoło. - Taka jesteś kolorowa, że nie wiedziałem w pierwszej chwili, czy to ty sterczysz, czy lampa z kolorowym abażurem. Wyjeżdżacie?

- Wyjeżdżamy - rzekła ona głucho. - Czy dlatego jesteś taki rozradowany?

- Bynajmniej. Możesz tu siedzieć przez cały rok... Mam inne powody do radości!

- Można wiedzieć jakie?

- Można! Wiedziałaś, dlaczego byłem smutny, możesz dowiedzieć się, dlaczego jestem wesoły. Zresztą, za godzinę wyjeżdżasz, więc wszystko pojedzie z tobą. Irenko, jestem szczęśliwy!

- Och, to dobrze, to dobrze! - szepnęła Irenka gorąco.

- A wiesz, czemu? Odkochałem się! Z Gretą Garbo koniec, amen, finis. Może do mnie pisać na Berdyczów!

Liliowy świat zakręcił się z Irenka. Z serca spadł jej ogromny kamień i bez szelestu potoczył się po dywanie.

- Zbyszku! - rzekła z radością. - Już nie będziesz cierpiał?

- Tego jeszcze nie wiem - odpowiedział z nagłą chmurą na czole. - Wprawdzie odeszło mnie tamto, ale przyszło nowe. Ja nie mogę żyć bez miłości. Zakochałem się na nowo...

- W kim? - zakwiliła Irenka.

Zbyszek wydobył z kieszeni na piersi fotografię jasnowłosej niewiasty, tak szeroko uśmiechniętej, jak gdyby prosiła publiczność o staranne policzenie jej zębów. Irenka spojrzała rysim wzrokiem.

Widzisz? To jest Liliana! - mówił Zbyszek.

- To jest czupiradło! - krzyknęła Irenka.

Chciał ja od razu zabić wzrokiem, ale ze zdumieniem spostrzegł, że jeszcze żyła. Usiłował przeto dobić ja jadowitym śmiechem jak gwałtowną trucizną. Śmiech silniej podziałał, bo Irenka cokolwiek zbladła i rzekła głosem zataczającym się z osłabienia:

- A co będzie ze mną?

- Jak to z tobą? - zdumiał się Zbyszek.

- Przecież ja... przecież ja... ja jestem zakochana.

Zbyszek najpierw otworzył usta z wielkiego zdumienia; poznawszy zaś wielką tajemnicę Irenki, zamiast chwycić się za serce, chwycił się niespodziewanie za brzuch. Ze śmiechu zarżał jak młody żreback, ze śmiechu zatoczył się na najbliższą kanapę i wił się też ze śmiechu.

- Ludzie, ratujcie mnie, bo zginę! - ryczał wesoło. - Ten pędrak jest we mnie zakochany!

- To to tak? - zapytała Irenka swego zrozpaczonego serca.

- Oj, skonam ze śmiechu! - darł się Zbyszek.

- Owszem! - krzyknęła Irenka. - Ty skonasz, ale nie ze śmiechu!

I zanim miał czas pojąć, co się stało, skoczyła ku niemu jak ryś na ogłupiałą ofiarę. W wielu bojach zaprawna, zręczna i silna, wparła się nogami w dywan, a dla równowagi rękami wparła się w jego czuprynę. Zrozpaczona miłość, zamknawszy oczy dla tym większej odwagi, zaczęła go okładać z cudowną pomysłowością, a jemu zdawało się, że spadł na mego grad wielkości gęsich jaj. Ona pokrzykiwała czasem głucho jak Amazonka, co pragnie zabić ducha we wrogu, a melancholik, broniąc się rękami i nogami, stchórzył w małym, robaczywym sercu i zaczął drzeć się jak opętany.

- To za Gretę Garbo!... A to za Lilianę! - zapowiadała Irenka każdy cios, aby nie było pomyłki, który pada za którą.

Pani Opolska i pani Milecka wpadły przerażone do pokoju i stanęły jak wryte.

- Co tu się dzieje? - krzyknęła pani Milecka.

Nikt jej nie odpowiedział, bo każdy widział, co się dzieje.

W tej chwili kanapa, zadrżawszy na czterech nogach, jak zmordowany koń, zwała się z wielkim traskiem, a zrozpaczona miłość w dalszym ciągu tłukła czarną zdradę już bez wyboru miejsca, na oślepie i bez wytchnienia.

Połączonym siłom, które przybyły na plac boju, udało się z trudem rozdzielić gladiatorów, z których jeden z roziskrzonymi oczami i z rozdętymi chrapami drżał, pomściwszy swoją krzywdę serdeczną, a drugi wyobrażał obraz nędzy i rozpaczy, blady, pobity, zhańbiony do końca swoich dni. Na domiar wszystkiego pani Opolska, zrozumiałwszy, że tu krzywdzą Irenkę, odrzuciła na najbliższe krzesło swoją wytworność i jak lwica postąpiła ku Zbyszkowi, jakby chciała zemścić się za swoje lwiątko. Lwiątko jednak rzekło zdyszczonym głosem.

- Niech mu babcia da spokój! Ja to już zrobiłam dokładnie!

- Podła! Podła! Podła! - darł się Zbyszek uciekając do swego pokoju.

- Pogadaj z piecem! - mruknęła Irenka, którą już „odeszło”.

Potem, nieco bezładnie, zaczęła wyjaśniać zdumionej i zawstydzonej pani Mileckiej, że miała ze Zbyszkim krwawe porachunki, ale nie może powiedzieć, na jaki temat, i serdecznie ją błaga, aby się nie gniewała, że z jej rodzzonego syna uczyniła kwaśne jabłko.

- Przyda mu się to - rzekła pani Milecka, bardzo niezadowolona z syna.

Pani Opolska szepnęła jej do ucha:

- To miłosna awantura i pożegnanie.

Pani Milecka dała jej znak oczami, że wie o wszystkim, uśmiechnęła się z przymusem i odeszła.

- Babuniu - rzekła wtedy Irenka cicho - ja bardzo przepraszam. Ja wiem, że nie powinnam bić się z takim dryblasem, ale on mnie strasznie obraził.

Pani Opolska udawała bardzo niezadowolona i wygładzała na niej sukienkę.

- Co ty tak zaciskasz w ręce? - zapytała w pewnej chwili.

Irenka spojrzała, sama nie wiedząc, co dzierży tak kurczowo.

- Ach! - zdumiała się. - To kosmyk jego włosów. Zabiorę je na pamiątkę.

W pokoju Zbyszka trwała długa, gorąca rozmowa, podczas której pani Milecka często podnosiła głos na wyżyny bardzo mroźne. W chwilę potem weszła tam i pani Opolska z palmą zgody i melancholik musiał wysłuchać drugiego kazania. Stał się pakt, że ten krwawy ustęp historii powszechnej zostanie

zachowany w tajemnicy, aby na rycerskim honorze Zbyszka nie było plamy, wreszcie długie targi doprowadziły do tego, że obie walczące potęgi nie będą się przeproszały wzajem, ale pożegnają się przy rozstaniu. Koszty bitwy miała zapłacić kanapa ze złamaną lewą tylną nogą.

Przy rozstaniu Irenka z niewinną miną wyciągnęła rękę do chmurnego melancholika.

- Żegnam cię, Zbyszku - powiedziała głośno. - Było mi bardzo przyjemnie.

A cicho dodała:

- Trzymaj się ciepło, zielony płomieniu Zakopanego.

Zbyszek dotknął jej ręki, jak gdyby dotykał węża, i odrzekł głośno:

- Żegnaj, Irenko!

A potem cicho:

- Jeszcze ja cię kiedyś przyłapię.

Irenka zaśmiała się głośno, pomyślawszy, że jej zbiór włosów, wydartych ze Zbyszkowej głowy, może powiększyć się bardzo łatwo.

Rzuciła się potem w objęcia pani Mileckiej, która dodała ze śmiechem na zakończenie:

- A jeżeli, droga Irenko, zechcesz jeszcze kiedy łamać meble, zrób to, ale u konkurencji, w pensjonacie naprzeciwno.

Pociąg potoczył się szybko na doliny, szerokie i smętne, pełne mgieł i smutnej rozwydrzonej zimy, nie takiej jak ta, co w górach toczy po niebie złotą kulę słońca.

Irenka, jadąca po raz pierwszy w życiu w wagonie sypialnym, nie mogła długo usnąć. Wracała lekka, wesoła i szczęśliwa. Każdy obrót żelaznych kół zbliżał ją do ukochanej gromadki, wypatrującej oczy. „Śmiertelna” miłość odeszła ją już zupełnie, wobec czego Irenka doszła do przekonania, że to nie była ciężka choroba, tylko lekka „wysypka”.

„Zbyszek nie był wart niezmiernej mojej męczarni” - rzekła sobie, ziewnąwszy, i usiłowała machnąć ręką, ale nie chciało się jej wyciągać rąk spod okrycia. Wobec tego usnęła. Śniło się jej, że śpi na poduszce wypychanej nie pierzem, lecz skalpem Zbyszka.

Obudziła się dopiero przed Warszawą z wielkim krzykiem:

- Jak to? To już?... Ledwie zmrużyłam oczy.

Po upływie pół godziny wchodziła do pałacyku pani Opolskiej.

Stary lokaj, przywitawszy z chłodnym szacunkiem panią hrabinę, ciekawie zaczął przyglądać się

Irence.

- Pan mnie nie poznaje? - zaśmiała się Irenka.

- Nie, panienko... Zaraz... zaraz...

- Przed dwoma tygodniami!...

- Już wiem! Panienka szukała pani hrabiny.

- To ja jestem, ta sama! - wykrzyknęła Irenka. - Niech się pan ze mną przywita.

Wyciągnęła do niego rękę. Stary człowiek spojrzał na nią dziwnie, lecz ręki jej nie dotknął.

- No! Niechże mi pan poda rękę!

On obejrzał się zalekłym wzrokiem, czy pani Opolska nie patrzy, potem z rozrzewniającą radością w starych poczciwych oczach, ujął szybko jej rączynę w swoje spracowane dłonie i tulił ją, zbliżywszy do swojej piersi.

- Niech pani Bóg zapłaci, złota panienko - szepnął i podreptał szybko w głąb domu.

Nie minęła godzina, a Irenka zwiedziła dom od piwnicy do strychu. Przywitała się serdecznie z resztą domowników, a smutny, wytworny pałacyk napełniła zgiełkiem i wrzawą. Co chwila wystrzelał w napuszonych ciszą jak adamaszkiem wybitych pokojach jej okrzyk wesołego zachwytu. Pani Opolska chodziła za nią jak matka, która cieszy się radością swojego dawno nie widzianego dziecka. Smutny dom wydał się jej jakiś inny. Wszystko w nim, dotąd senne i drzemiące w ciszy, otwierało zdumione oczy i patrzyło na dziwnego gościa, co niepoważnie biegał po wszystkich pokojach i pokrzykiwał radośnie. Przodkowie pani Opolskiej spojrzeli ze ścian i zdawało się, że wszyscy uśmiechnęli się. Największa jednak przemiana odbyła się tego dnia na twarzach służby: stary lokaj, Piotr, pokojówka, ruchliwa jak bąk, i kucharka, nieruchliwa jak omszały dąb, uczyniwszy krótką naradę orzekli społem, że pani Opolska odmieniła się jak pod wpływem czarów. Piotr przysiągł, że słyszał, jak pani Opolska śmiała się i nuciła sobie półgłosem. Było to zdarzenie tak niesłychane, że kucharka, wytrącona cokolwiek z równowagi, posypała wyborne ciastka solą, a Piotr po dziesięć razy brat ten sam przedmiot do ręki i nie wiedział, po co to uczynił. Od lat czterdziestu był u pani Opolskiej i od lat czterdziestu po raz pierwszy ważył się na bohaterstwo, bo nie wołany stanął przed nią i odważył się na zadanie jej pytania:

- Proszę pani hrabiny, czy panienka zostanie już u nas na zawsze?

Stał się cud. Pani Opolska, zamiast porazić go spojrzeniem, uśmiechnęła się:

- A czemu Piotr o to pyta?

- Bo, nie daj Boże, aby odjechała.

- Nie odjedzie, nie odjedzie - mówiła wzruszona pani Opolska. - Tak ją Piotr polubił?

- Czy można nie polubić słońca? - odpowiedział stary sługa pytaniem na pytanie.

Irenka jednak chciała wyjechać czym prędzej.

- Babuniu złota - rzekła przytuliwszy główkę do piersi pani Opolskiej. - Ja muszę czym prędzej pojechać do mamy.

- Wiem o tym, jutro pojedziemy.

- Jak to: pojedziemy? - zapytała Irenka, zatrzymując oddech w piersiach.

- Bo ty pojedziesz i ja pojedę.

- O, Boże! - krzyknęła dziewczyna. - Babunia jest cudna, droga, święta!

„Ładna święta...” - pomyślała pani Opolska tuląc ją z miłością.

Pani Opolska miała jeszcze kilka spraw do załatwienia; musiały to być sprawy bardzo ważne, bo zamyślona chodziła długo po pokoju, potem rozmawiała przez telefon. Irenka słyszała, że prosi do telefonu jakiegoś adwokata, ale zmartwiona odłożyła słuchawkę.

- Masz tobie - rzekła. - Mój adwokat wyjechał, a ja za wszelką cenę muszę z nim mówić jeszcze dzisiaj.

- Babuniu... - szepnęła Irenka. - Jeżeli o to idzie, ja babuni wytrzasnę adwokata za pięć minut.

- A któż to taki?

- Największy adwokat na świecie, tylko że nie ma szczęścia. Gdybym miała wielkie sprawy, tylko jego pytałabym o radę. To pan Podkówka.

- Ach, to twój dawny nauczyciel?

- I nauczyciel, i przyjaciel, i opiekun. Strasznie go kocham, chociaż to wielki Cygan. Ja babuni opowiadałam, jakie on zrobił szachrajstwo z moim biletem kolejowym do Zakopanego.

- Prawda! - zaśmiała się pani Opolska. - Dawaj go tutaj, tego adwokata.

Pan Podkówka, wezwany do telefonu, najpierw na długo zaniemówił, usłyszawszy głos Irenki. Kiedy zaś dowiedział się, że go wzywa pani Opolska w sprawach urzędowych, wyrzucił stół razem z telefonem, po drodze omal nie wyrzucił rodzonej matki, jak okręt na rafę wpadł na żonę i krzyknąwszy zdławionym głosem: - pierwsza sprawa! - biegał pędem, wdzierając na schodach płaszcz.

- Mój syn zwariował - zapłakała matka wielkim głosem.

Żona nic nie rzekła, tylko podniosła wdzięczne spojrzenie w stronę nieba.

Jej mąż zyskał tymczasem wielkie łaski u pani Opolskiej. Rozmawiała z nim długo, w wielkiej tajemnicy, wreszcie wyraziła uznanie dla świątłego jego umysłu. Po ukończeniu urzędowej części konferencji skierowała pani Opolska rozmowę na Irenkę, a wtedy poważny adwokat oszalał tego dnia po raz drugi. Z niepolitej liczby słów, którymi władca mowa polska, wybrał same słodycze, same rodzynki, słowa najtkliwsze, złociste, rumiane, pełne radości, wesela, chwały i szczęścia.

Pani Opolska aż oczy zmrużyła i z wielkiego ukontentowania, i dlatego też, że mowa pana Podkówki była tak promienista i pełna niezmiernych blasków. Proste, uczciwe serce tego szewskiego syna śpiewało hymn, a pani Opolska słuchała i oczarowana, i dziwnie tym zdumiona, że taki mizerak, co do niedawna mieszkał na dalekim przedmieściu, ma w sobie tyle radosnego zachwytu.

- Widzę - rzekła z drżeniem w głosie - że ta dziewczyna i pana opętała.

- Ona? - wołał pan Podkówka. - Ona najgorszego diabła owinęłaby dokoła palca. Proszę pani! Mój teść jest rzeźnikiem. To twardy człowiek i, jak wiadomo, zalany krwią, a kiedy wspomni Irenkę, to słycać, jak mu w sercu krew bulgoce. A moja matka, a moja żona!... Irenka to jest człowiek! Ho! Ho!

Bezmiar podziwu zamknięty był w tym okrzyku, a w spojrzeniu pana Podkówki był bezmiar miłości.

- Będzie pan jej adwokatem - rzekła pani Opolska. - Już pan wie, że Irenka będzie miała swoje sprawy, a nikt inny nie będzie ich prowadził, tylko pan.

- Ja wiedziałem, że ta dziewczyna przyniesie mi szczęście - powiedział pan Podkówka łzawym głosem. - Ona pani też przyniesie szczęście, na Boga przysięgam, że przyniesie!

- Już przyniosła... - odpowiedziała pani Opolska.

Dziwna rzecz! Głos pani hrabiny był tak samo łzawy, jak głos pana Podkówki. Niczym nie różnił się. Widać, że szczęście i nieszczęście równa z sobą wszystkich ludzi.

- Jutro wyjeżdżamy - mówiła po chwili. - Wyjeżdżamy do pani Borowskiej, a niedługo znowu ją pan zobaczy. Bardzo pan jest miłym człowiekiem, panie mecenasie. Czy pan chce jeszcze co powiedzieć?

- Tak... ale nie śmiem...

- Niech pan mówi, bardzo proszę...

- Trochę boję się, ale pani hrabina jest taka dobra, tak bardzo dobra... Niech pani uczyni mi wielką łaskę... Niech pani pozwoli pannie Irencie pójść chociażby na pół godziny do nas... Ją spotkało wielkie szczęście... Niech i moja matka zapłacze nad nią z radości, a moja żona niech ją uściska... Pani hrabino!

Pani hrabina miała łzy w oczach.

- Irenko! - zawołała przez otwarte drzwi.

Dziewczyna weszła rozpromieniona i szelmowsko mrugnęła w stronę pana Podkówki.

- Jesteś zaproszona na całe dwie godziny do pana i do jego rodziny.

- Cudo! - krzyknęła Irenka.

Pani Opolska wzięła ją na stronę i mówiła szeptem:

- Kupisz po drodze trochę kwiatów i oddasz je w swoim imieniu jego matce. A ode mnie powiedz tym ludziom, że im bardzo dziękuję za to, że ciebie kochają... Pan Podkówka jest dzielnym człowiekiem.

- Z mojej szkoły - zaśmiała się Irenka cicho.

- A wracaj prędko! Do widzenia, drogi panie! Kiedy wrócimy, damy panu znać przez telefon.

Dotknęła ręką dzwonka, który wywołał na widownię uśmiechniętego Piotra.

- Niech Piotr pomoże odziać się panience - rzekła.

- Także coś! - zawołała Irenka. - W naszym miasteczku jest dwóch paralityków, ale ja mam jeszcze zdrowe ręce.

Uściskała panią Opolską i wybiegła na ulicę, a pan Podkówka za nią. Ujęła go pod rękę.

- Miał pan kiedy take babkę? Klasa, nie babka!

I czym prędzej zaczęła mu opowiadać o pobycie w Zakopanem, a kiedy doszła do tej chwili, kiedy zdjęła skalp ze Zbyszka, zaśmiała się tak głośno, że wszyscy przechodnie obejrżeli się niespokojnie. Ujrzawszy jednak, że w chmurny, zasępiony dzień idzie dziewczyna taka roześmiana jak słońce, uśmiechnęli się także.

Rozdział czternasty

Nikt nie wie, o czym długo ze sobą rozmawiały panie: Opolska i Borowska. Zamknęły się w pokoju ciotki Amelii w domu doktora, a kiedy stamtąd wyszły, obie miały czerwone oczy, a na ustach uśmiech.

Triumf Irenki był wspaniały: zjednoczyła wszystkie serca. Dom doktora był pełen gwaru, śmiechów, gadaniny, płaczów, opowiadań, wzruszeń i miłości. Ciotka Amelia promieniała, jakby odmłodzona, mały Jaś wylazł po drabinie zachwyceń aż do siódmego nieba, obdarowany wspaniale książkami i zabawkami, którymi raduje się wiek cielecy. Jeden doktor wałęsał się, niemalże przerażony, i była taka chwila, że chciał uciec z własnego domu. Uradował się nieprzytomnie wszystkim tym, co się

stało: po swojemu, dziwacznym językiem podziękował Panu Bogu, że jego ukochana Irenka, ślicznie odziana, śmieje się w głos, niewypowiedzianie szczęśliwa, i że pani Borowska mogła uśmiechnąć się, spokojna. Stary samotnik i przezacny oryginał nastraszył się zgiełku i towarzyskiego życia. Z trwożnym lękiem patrzył na panią Opolską, przekonawszy się zaś, że nie może jej zastrzelić, jak to groźnie zapowiadał, i że musi jej być wdzięczny za tych, których kochał, uznał, że jako człowiek niezwyklej kultury, musi przez czas pobytu osoby tak wytwornej, jak pani Opolska, stać się równie wytwornym, i to przerażało go najbardziej. Uciec nie ma dokąd, zresztą nie wypada, aby gospodarz uciekał, a gości zostawiał w rozterce.

- Kobieta do rzeczy, chociaż hrabini - rzekł sobie głośno - a Irenka ma zbrodniczą duszę.

Irenka bowiem, przedstawiając go pani Opolskiej, mówiła wzruszona:

- A to jest pan doktor Lipień, który własnym sercem nakarmiłby głodnego... Ostatnia oddałby koszulę... Taki dobry, kochany...

I w bek. A on spłonił się jak róża najbardziej purpurowa. Stał jak żak, niewypowiedzianie zawstydzony, i nie umiał wydusić z siebie ani jednego słowa. Pani Opolska ścisnęła jego ręce i powtarzała szeptem: „Niech pana Bóg nagodzi... niech pana Bóg nagodzi”... Chciał zapaść się pod ziemię z tego powodu, że on, filozof, któremu służyło siedemdziesięciu siedmiu szatanów, porażony łzami tej zwariowanej Irenki, stał jak kołek z dębowego drzewa. Musiał przyznać, że serce zaśpiewało w nim z wielkiej, najszczęśliwszej radości, ale co tam serce, kiedy nogi, chude, patykowate, głupie nogi, odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł postąpić kroku, tylko stał w purpurze rumieńca, oszołomiony, nieśmiały, pełen rozpacz. Postanowił tedy naprawić złe wrażenie. Stał przed lustrem w swoim gabinecie, splunął na nie i z groźnym mruknięciem: „Przekłete muchy!” wytarł je chustką do nosa. Przyjrzał się sobie uważnie i z litościwym uśmiechem, nakrapianym boleścią, westchnął:

- Tej gębie nic już nie pomoże. Stary but jest równie przystojny...

Zakrzętnął się przeto, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, aby przynajmniej świetnym strojem wzmóc wytworność swojej figury. Odnalazł krawat, czerwony i płomienisty i przewiązał go tak przemyślnie przez kołnierzyk, bardzo rogaty, że tylko Aleksander Macedoński mógłby rozwikłać uczyniony węzeł cięciem miecza. W krawat wraził złotą szpilkę, kształtu końskiej podkowy, a tak wspaniałej, że można nią było okuć małego huculskiego konika. Koszulę wyszukał niebieską, w misterne białe groszki, za czym ubranie wdział uroczyste, w którym pragnął być pochowany. Mankiety przypiął do koszuli białe i od święta płóciennie i ozdobił je spinkami niebywalej wspaniałości i ogromu. Były to talerze ze złotej blachy, zaopatrzone w kółka takie, jakie na potężnych przybijają bramach. Nieskończenie wytwornego stroju dopełniały kamasze, jaskrawożółte jak ludzka zawiesz.

Tak strojny, oblekł twarz w powagę i poszedł pełnić rolę gospodarza przy wielkiej wieczerzy, obmyślonej starannie na wzór dworskich uczt. Wielkie święto zbratania nie mogło się odbyć bez wielkiej uczy, a hrabina nie mogła - wedle roztropnego pomysłu doktora - obejść się bez lokaja. W tym celu wypożyczył doktor chłopca do posług z zaprzyjaźnionej knajpy i długo go pouczał, że palca nie należy wsadzać do talerza z zupą nie dlatego, że zupa może być gorąca, lecz że nie jest to w

zwyczaju w wielkim świecie. Znakomity lokaj w czarnym obleczeniu i w białych rękawiczkach, które jeden starozakonny całym pokoleniom wypożyczał do ślubu, obiecał posłuszeństwo i rozwagę.

Irenka ujrzawszy doktora aż zawyła z radości:

- Boże, jaki wujaszek jest śliczny!

- Dziewczyno - rzekł doktor krwawym głosem - jeśli mnie będziesz hańbić publicznie, zastrzelę cię, siebie i wszystkich.

- Irenka mówi prawdę - szepnęła zachwyconym szeptem ciocia Amelia.

W tej chwili zły wiatr powiał przez jej serce.

- Czy pan doktor przystroił się tak dla pani Opolskiej? - zapytała gorzko.

- A panna Amelia myślała może, że do trumny?

- Niech pan odpuka, na Boga, niech pan doktor odpuka!

Na szczęście weszła pani Opolska pod rękę z panią Borowską.

„Jeżeli - myślał doktor - hrabini krzyknie przeraźliwie i ucieknie, podpalę dom i skoczę w ogień”.

Pani Opolska spojrzała jednak na niego wesołym wzrokiem i nieznacznie mrugnęła w stronę pani Borowskiej.

„Będę żył na hańbę świata” - pomyślał doktor wesoło.

Wpadł w przedni humor i stał się przedziwnie rozmowny.

Świetny wytwornis usiłował i słowom nadać polot i złocistą barwę. Widząc, że pani Opolska je niewiele, mówił pięknie:

- Niech pani machnie tego śledzia. Zaczna to jest ryba i ma smak niebywały, a że ją czasem czuć na dwie mile, to nie jej wina, lecz przede wszystkim cebuli.

- Nie mogę, panie doktorze, nie mogę! - śmiała się pani Opolska. - Z moim żołądkiem nie jest zbyt dobrze.

- Pewnie jakiś konował wmówił w panią chorobę. Niech się pani strzeże ognia, zarazy i doktorów.

- A jak by pan doktor mnie leczył? Pan doktor przepisuje podobno cudowne zabiegi i trzeba się żegnać, modlić czy coś takiego.

- Poznaję jaszczurczy język tej oto dziewicy. Owszem! Mógłbym panią wyleczyć. Niech pani weźmie codziennie o wschodzie słońca kawałek ananasa, dwie ostrygi i smażone fiołki. Proszę to razem

pomieszać, dolać odrobinę esencji pachnącej, używanej do skraplania włosów, trochę cynamonu i perskiego proszku.

- I wszystko to zjeść - śmiała się pani Opolska.

- Zaraz, zaraz... Potem proszę dodać do tego laurowych kropli, proszków na bóle głowy, wszystkich pigułek, które pani ma w domu, zwinąć razem i kazać wrzucić do zlewu, a uczyniwszy to, przeżegnać się nabożnie, głośno krzyknąć i zjeść pieczeń wieprzową z kapustą i kartoflami. Jeśli pani potem nie wyzdrowieje, to za trzy dni będzie pogrzeb. Myślę jednak, że pani wyzdrowieje.

Pani Opolska śmiała się w głos. Było jej niewypowiedzianie dobrze. Była szczęśliwa dlatego przede wszystkim, że wszyscy patrzyli na nią z miłością. Pachniał śledź, jedynym napojem była woda, mięso można było rąbać katowskim toporem, a jej to nie drażniło, ani nawet nie zwróciła uwagi na tę gościnną biedotę. Przed niewielu dniami byłaby dostała mdłości i uciekłaby przerażona na widok lokaja, który miał minę taką, jakby oderwał się od szubienicy. Teraz nie byłaby stąd odeszła za żadne skarby, bo tu obok niej siedzi słodka, wpatrzona w nią pani Borowska, siedzi Irenka, dziecko najukochańsze, jest Jaś, smyk wesoly i ładny, i ta ciotka Amelia, dobra, cicha, uśmiechnięta jak kwiat w jesieni. A ten doktor rozrzewnia ją, serdecznie ją rozrzewnia. Ma wrażenie, że przez czarne, złe morze dopłynęła do jakiejś malutkiej wyspy szczęśliwości, gdzie jest pogoda wieczysta, a ludzie tacy jak dzieci. Śmieją się, cieszą i radują, a przecież los bił w nich niemiłosiernie, a przecież tej dobrej pani Borowskiej już czasem brakło łez. Pani Opolska teraz czuła, że jak ten mądry lekarz pragnie podzielić się z nimi chociażby ostatnią koszulą. Jakimś wielkim szczęściem wywdzięczyć się im za to szczęście, że na dnie serca odnalazła uśmiech spokojny, łagodny i taki cudownie dobrotliwy jak uśmiech jesiennego dnia. Nie mogła utaić swoich myśli i nagle, kiedy cisza powiała nad stołem, powiedziała donośnie:

- O, jacy wy jesteście dobrzy, jacy dobrzy!

Doktor podniósł w górę palec.

- Pani myli się łaskawie - rzekł ponuro. - Może być, że są tu między nami ludzie dobrzy, ale są i zbrodniarze.

- Och, doktorze! - uśmiechnęła się pani Opolska. - Którzy to?

- Ja jestem jeden, człowiek niegodziwy, śmieszny i cokolwiek tknięty na rozumie, a ta oto Irenka to drugi zbrodniarz. Byłem spokojny, a przez nią przypominam furiata, nikogo nie kochałem, a teraz na tym punkcie jestem pomyłony i kocham nawet ja, robiłem w domu, co mi się podobało, a teraz muszę wycierać obuwie przed drzwiami, golić się codziennie. Ona ze wszystkimi tak robi... Zobaczysz pani, że nie minie rok, a będzie panią kręcić jak kucharz gęsią na rożnie... to jest... przepraszam... nie tak chciałem powiedzieć.

- Babuniu! - krzyknęła Irenka. - Wujaszek tak właśnie chciał powiedzieć, a teraz to się wykręca. On tak zawsze!

- Oto widzi pani żmiję, którą nakarmiłem własną piersią. Tfu, do licha! Znowu jakoś nie tak...

Zresztą wszystko jedno.

Ja wujaszka jeszcze ożenię - rzekła Irenka.

Doktor skrzywił się tak, jakby napił się octu z musztardą.

- Swatano mnie raz - mówił głosem używanym na pogrzebach - z nadobną panną. Miała ona zęza, garb i jedną nogę krótszą. Żebrak spod kościoła zrobiłby z tymi ozdobami karierę. Niezbadane jest jednak serce kobiety! Oświadczyła, że jestem dla niej za brzydki, i stąd pochodzi moja melancholia.

Pan doktor ma piękną duszę! - pocieszała go szmerem głosu ciocia Amelia.

- Duszę, powiada pani? Szkoda, że nie mogę dać kazać się przenieć, bo wtedy to, co jest na wierzchu, byłoby ukryte, a na jaw wyszłaby promienista piękność.

Pani Opolska poznała w lot tę duszę prostą i uczciwą. Rozmawiała z doktorem z przyjemnością, a czasem przyciszonymi głosami radzili nad przyszłością Irenki i całej rodziny Borowskich. Wtedy doktor, jak ojciec najlepszy, rozprawiał o tej dziewczynie, poza którą świata nie widział. Na jego stare, w małym miasteczku zaśniebiałe -lata padł promień z jej dziecięcych oczów; drgnął stary doktor i spojrzał na życie jak na błękit. Ucieszyła się jego samotność, bo miał do kogo przemówić, ucieszyło się jego poczciwe serce, bo miał zatroskać się o kogo. W tej chwili nie dawał tego poznać po sobie, lecz drżał na myśl, że niedługo zniknie z jego życia ta jasna, radosna młodość, bo Irenkę wywiozą daleko, daleko.

Dzień ten nadchodził nieuchronnie. Pani Opolska zapowiedziała wyjazd wspólny, jeszcze tylko na coś czekała. Codziennie otrzymywała depesze lub pośpieszne listy: to mecenas Podkówka pracował sumiennie, wykonując jakieś tajemne jej zlecenia. Nigdy jeszcze poczta w miasteczku nie wiodła tak niespokojnego żywota jak za owych dni.

Dotąd zdarzało się, że raz jeden w miesiącu wystukiwał telegrafista radosną wieść: „Jest gęś na sprzedaż. Nu?” - a potem przyjmował odpowiedź: - „Ile za te kościotrupy?” Teraz czasem dwa lub trzy razy w ciągu dnia spadały na nią zdyszane depesze pana Podkówki. Aż razu jednego zjawiała się depesza bardzo obszerna. Pani Opolska uśmiechnęła się. Wieczorem zaś, kiedy zebrali się wszyscy przy stole, spojrzała po wszystkich twarzach. Zaczęła mówić na pozór bardzo spokojnie, lecz głos jej drżał ze wzruszenia:

- Mam dziwną wiadomość, moi drodzy. Biały dom, w którym mieszkaliście tak długo, został znowu kupiony.

Oni wszyscy umilkli, jakby ujrzeni białe, smutne widmo czegoś, co bardzo, bardzo kochali. Zdziwieni byli, że pani Opolska o nim wspomina.

- Któż go kupił? - zapytał doktor, chcąc tymi słowami spędzić smutną ciszę, co cichym lotem zleciała na nich jak miękopióra sowa.

- Irenka! - odpowiedziała ze wzruszeniem pani Opolska.

„Hrabini musiała napić się spirytusu z mojej apteczki” - pomyślał doktor, sam przerażony swoim posądzeniem. Głośno zaś dodał: - Pani raczy żartować...

Wszyscy byli tego zdania i uśmiechnęli się blado. Ona zaś mówiła głosem drgającym:

- Może być, gdybym była w odpowiednim czasie zjawiła się wśród was, mieszkalibyście tam do dzisiaj... Nie zjawiłam się i stało się nieszczęście... Przebaczone mi...

- Babuniu! - wykrzyknęła Irenka boleśnie. - Po co o tym mówisz?

- Bo mi to sprawia ulgę... I ty mi przebac, moje dziecko... Ty chciałaś, biedactwo drogie, ratować ten dom... Ja wszystko wiem... Zaraz, zaraz... Wszystko wam powiem... Otóż pan Podkówka doniósł mi dzisiaj, że z polecenia jednej pani odkupiono ten dom dla tej, która go tak kochała... Dla Irenki.

- Rozumiem! - ogłosił doktor.

- Dom będzie wolny na wiosnę... Na wiosnę wróćcie do swojego domu... A jeżeli Irenka mnie zaprosi, na wiosnę zjadę tam i ja... Chlebem i solą powitam ją we drzwiach... i doktor przyjedzie, i... wszyscy... i wszyscy... Czy tak będzie dobrze, córuchno?

Nikt nawet słowa jednego nie wypowiedział. Szerokimi oczyma patrzono na panią Opolską, która szczęśliwa i rozjaśniona objęła ich spojrzeniem jak ramionami. Irenka podniosła się powoli: była blada i ręce jej drżały: chwając się, podeszła do pani Opolskiej i z nagłym szlochem rzuciła się w jej ramiona.

Doktor patrzył potem z rozrzewnieniem, jak cały świat zamienił się w radość wzruszoną do głębi serca: wszyscy ściskali wszystkich, a zjednoczonymi siłami czyniono to z panią Opolską, która wykrzykiwała:

Czego ode mnie chcecie!... Cóż tak nadzwyczajnego!.. Udusisz mnie, Irenko...

Doktor podszedł do niej ostatni i podniósłszy palec w górę, wygłosił uroczyście:

Morowa z pani kobita!

Zwróciwszy się zaś ku Irencie dodał:

Widziałem grube dziedziczki i cienkie dziedziczki. Widziałem takie, co miały czworo dzieci, i takie, co miały ośmioro dzieci. Widziałem rozmaite, ale takiej dziedziczki, co ma mleko pod nosem, jako żywo nie widziałem.

Irenka śmiała się do niego przez łzy.

Kiedy wielki rwetes tego dnia opadł wreszcie dopiero następnego dnia wieczorem (z przerwą nocną) i ukoił się jak ciepły wiatr, co przyleciał z końca świata, gdzie jest wieczyste lato, pani Opolska dała znak do wyjazdu. Wszyscy mieli na resztę zimy pojechać do Warszawy aby tam niecierpliwie czekać

owej wiosny najszczęśliwszej Doktor miał pozostać na gruzach i strzec tych mizernych pamiątek, które kurczyły się z zimna w dwóch izdebkach mieszkania pani Borowskiej. I one wrócą z wiosną tam, skąd je osypane łzami jak rosą wywieziono na wygnanie. Doktor przysiągł Irence, że ich będzie pilnował jak źrenicy lewego oka.

- Co nocy będę chodził tam z dubeltówką - przyrzekł groźnie - I biada temu, kto chciałby oderwać nogę od twojego stołu. Przede wszystkim zaś będę miał oko na burmistrza.

Doktor dziwnie nadrabiał miną. Coraz częściej gadał sam do siebie i coraz częściej zdarzało mu się, że na swojej drodze spotykał ściany domów lub latarnie. W wielkim roztargnieniu wołał: „przepraszam!” i szedł dalej, zadumany. Żywił wielki szacunek względem pani Opolskiej, równocześnie jednak i wielki żal. Jej dziełem jest ta cała rewolucja i to całe trzęsienie ziemi. Ale trudno: stało się, co najlepszego stać się mogło. Niech jej Pan Bóg da zdrowie... Wyratuje tę gromadkę z rozbicia i z potopu, bo co byłoby się z nimi stało? Doktorem wstrząsnął dreszcz na myśl, że musieliby zmarnieć na nic, chociażby on najdziwniejszych dokazywał sztuk. Coś tam kiedyś bredził w rozmowie z Irenką, że ma po prababce pończochę pełną potężnych skarbów. Pończocha może by się znalazła, tylko z tymi skarbami to było łgarstwo. A teraz Irenka zamieszka w białym domu. To szczęście, to wielkie szczęście, bo to przecież niedaleko. Będzie ją widział często albo też nie będzie jej widział. Zjedzie na wiosnę, ale potem będzie musiała pojechać do miasta, do szkół, a majątkiem będzie gospodarzył jakiś zawodowy rolnik Była już wczoraj o tym mowa. Nie będzie Irenki.

Dobry wieczór, panie doktorze! - zawołał przechodzień.

Daj mi pan spokój, do stu diabłów! - wrzasnął doktor. - Ja mam ciężkie zmartwienie mruczał oddalając się pośpiesznie - a ten do mnie z jakimiś interesami.

Ciężkie zmartwienie doktora zaczęło się naprawdę następnego dnia dopiero. Mieli wyjechać o zmierzchu, a od świtu rozpoczął się rwetes, pakowanie, przypominanie, nawoływania. Zdawało mu się że w jego domu wybuchnął pożar, podczas którego rozlegał się śmiech Jedna ciocia Amelia nie zaśmiała się ani razu i tak mogło zdawać się że ona jedna wyjeżdża nie chętnie Gdyby w tym domu naprawdę był pożar, ona byłaby go straszliwie rozdęta swoimi westchnieniami. Ile razy spojrzała na doktora, wzdychała smutno. Gdyby kto był jedno wyszeptał słowo, aby pozostała, zaśpiewałaby z radości. Nikt nie wiedział dlaczego. Jej serce wiedziało tylko. Chciało się jej płakać, ale udawała, że uśmiecha się, kiedy doktor dawał jej roztropne rady:

- ...A w Warszawie niech panna Amelia nikomu nie dowierza. Zjawi się tam pewnie jeden z drugim fatygant i powie: „Kocham cię, luba Amelio!” Wspomni pani moje słowa! A pani niech nawet okiem nie mrugnie i serca nikomu nie oddaje, bo im tam nie o serce idzie, ale o posag.

Posagu nie mam, a serca nie oddam nikomu - rzekła ona cicho.

A czemuż to, szlachetna ciociu Amelio?

Bo moje serce jest pęknięte! - powiedziała ona z trudem i łatwo uciekła.

Niech i ciebie, biedactwo. Bóg pocieszy - mrucał doktor serdecznie

Ale i jemu zdawało się że ma pęknięte serce kiedy zaczęli go zegnać. Nawet pani Opolska uściskała go serdecznie i tkliwie. Wszystko zniósł mężnie.

Aż wreszcie podeszła ku niemu ona - Irenka.

Doktor chciał przemowie wesoło ale coś go chwyciło za gardło W piersiach uczyniło mu się zimno jak w piwnicy Spojrzeli sobie w oczy takim spojrzeniem, w którym prócz niezmiernej miłości nie było nic innego Irenka też nic nie mówiła ale on słyszał najwyraźniej słowa drżące i rozplakane.

Niech ci Bóg zapłaci za wszystko, ty najlepszy na świecie. Otarłeś nasze łzy ręką miękką i miłosierną. Oddałeś nam serce, jasne złote serce. Pocieszałeś nas. kiedy byliśmy smutni. Kocham cię jak ojca, ty dobry, ty złoty, ty samotny człowieku. Będę modliła się za ciebie a póki mego życia będę pamiętać o tobie. A gdybyś kiedy potrzebował pociechy pomyśl tylko o mnie, o swojej ukochanej) Irencie, a ja przybiegnę. Żegnaj, żegnaj, wujaszku.

A nagle powiedziała szeptem:

Wujaszku! Wujaszku! Co to? Taki stary i płacze...

On zaś odrzekł nieswoim głosem:

- Ja śmieję się... ale czemu ty beczysz?

Objął jej głowę i całował wiele, wiele razy.

- Dziecko moje - powtarzał - dziecko moje jedyne... Niech ci Bóg...

Więcej już nie mógł powiedzieć, bo chociaż szukał z ogromnym trudem, nie mógł znaleźć słowa.

Koniec